

# KRONIKA

N<sup>o</sup> 12.

Warszawa, dnia 3 (15) Czerwca 1877 r.

Serya II.

### Warunki prenumeraty.

W Warszawie: w Biurze Redakcyi, z odnośnieniem do domu, rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.  
Prenumerować także można po tej samej cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism periodycznych.  
W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50. Pieniądze nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Kronika Rodzinna wychodzi d. 1 i 15 każdego miesiąca.  
Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Biuro Redakcyi  
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 6.

W Cesarstwie Austriackiem—we Lwowie w księgarni Gubrynowicza i Schmidta po cenie: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 80. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2 cen. 15.

W Krakowie w Księgarni Friedleina: Kwartalnie w miejscu fl. 1 cen. 65. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2.  
W W. Księstwie Poznańskiem w Księgarni Leitgebera i Sp. Kwartalnie w miejscu 1 tal., z przesyłką pocztową 1 tal. 6. gr.

TREŚĆ. Proletaryat kobiecy, przez dra Jana Olszycę.—Z za grobu, przez S. z Ż. D.—Ze świata naukowego, przez M. J. Z.—Zapiski z pobytu w Ameryce, Rogera Lubieńskiego.—Korespondencya: z Petersburga.—Wiadomości literackie.—Bracia rywale, obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII-go wieku, przez J. I. Kraszewskiego. (d. c.)—Silva rerum.

## PROLETARYAT KOBIECY.

### I.

Alboż proletaryat taki istnieje? zapytają może czytelnicy, a jeśli istnieje, w czym proletaryat ten różni się od proletaryatu w ogóle, który był podobno od początku świata, jest i trwać będzie zapewne do jego końca.

Niestety! nie przeczę temu bynajmniej, ani też myślę wdawać się w zawiłe socyalne kwestye, i w zawiłszą jeszcze, tak zwaną kwestyę kobiecą; trzymam się faktów, nie teorii, nie mieszam się wcale do zachcianek reformatorskich, obejmujących najczęściej tak wielkie, tak szerokie koło, że kontury jego gubić się muszą w mgłach oddalenia. Patrząc sobie po prostu na to co mnie otacza, obserwuję zmiany społeczne, nowo powstające potrzeby, cierpienia rodzące się z ich zaniedbania, a jeśli przyjdzie mi ku ich zmniejszeniu myśl jaka, radbym podzielić się nią z drugimi, ażeby uznali, czy myśl ta urzeczywistnić się może, lub też jest po prostu marzeniem starego dziwaka.

Proletaryat kobiecy jest wyrobem u nas bynajmniej obecnego wieku, wytworzył się ze zmiany zasadniczych ekonomicznych stosunków. Dawniej, dawniej jak pamięć moja sięga, nie było go wcale, dziś zaś pokazuje się coraz częściej; wzrasta z rokiem, co mówię, z dniem każdym i niestety! zapewne wzrastać będzie dopóki nie znajdzie się nań skuteczne lekarstwo, lub też nie odmienią z gruntu warunki, które go wytworzyły. A ponieważ warunki te nie zdają się łagodzić, ale cwszem zaostrzają się ciągle, nie można się spuszczać na los szczęścia, i lekceważyć go jako kłeskę przemijającą. Nie myślę też zastanawiać się, czy dawniej było lepiej lub gorzej, bo pytania podobne do żadnego rezultatu doprowadzić nie mogą. To co było, chociażby było najlepszem nie powróci już nigdy, jak oczy nasze nie ujrzą dnia wczorajszego. Zdaje mi się więc, że nie

spotwarzymy bynajmniej przeszłości, jeśli na potrzeby obecnej chwili, będziemy szukali nowego lekarstwa po za jej obrębem, bo potrzeb jakie nas przygniatają, przeszłość nie zaznała, a zatem w jej ustroju i obyczajach, nie znajdziemy nic, coby nam dało wskazówki co do potrzeb dzisiejszych.

Spółczeństwo nasze doznało od pewnego czasu szeregu wstrząśnień i przeobrażeń, które dotknęły wszystkie stosunki, wszystkie stany, ale nadewszystko stan średni, jego też głównie mam na myśli w obecnej pracy. W wysokich warstwach społeczeństwa materialne środki nie dopuszczają nawet idei proletaryatu, u ludu zaś proletaryat kobiecy nie różni się wcale od męskiego, i wchodzi do ogólnych ekonomicznych kwestyj, które nie leżą bynajmniej w moim obecnym zakresie.

W skutek rozmaitych okoliczności tak ogólnych jak krajowych, stan średni zubożał gwałtownie, ziemianom wraz z uwłaszczeniem i wzrostem podatków, odpadła większa połowa dochodów, w miastach wielu urzędników straciło urzęda, wielu kupców zbankrutowało, w skutek zmniejszenia zamożności kraju, a jednocześnie przy napływie obcych żywiołów, przy rozszerzeniu komunikacji, artykuły pierwszej potrzeby podniosły się w cenie. Tym sposobem budżeta rodzin mniej zamożnych straciły równowagę, to co wystarczało niegdyś, przestało wystarczać, a utrzymanie członków nieprodukcyjnych, okazało się niemożliwym.

Fakt ten podpada pod oczy i byłby może od razu obudził uwagę i znalazł skuteczne środki zaradcze, gdyby nie pomieszano go najniefortunniej z kwestyą emancypacji, równouprawnienia, głosowania kobiet, przypuszczenia ich do rozmaitych urzędów płatnych lub honorowych. Tym sposobem, zamiast szukać koło siebie źródeł zarobku, uzdolnić do nich kobiety, gubiono się w sentymentalnych lub cywilizacyjnych tyradach, zabijano się o to, czy mózg kobiety równa się mózgowi męskiemu, a inteligencya inteligencyi męskiej, czy kobieta może

być doktorem, inżynierem, prawnikiem i t. p.? Nieszczęściem te wysokie fizyologiczne, społeczne i filozoficzne kwestye, nie a nie nie posunęły arcy powszedniej kwestyi zarobku, nie mającej wcale koniecznej z niemi wspólności.

Zadrukowano nie mało papieru, przekrzyczano nie mało głosów; przemarnowano nie mało czasu i w rezultacie nie zrobiono nic, rzuciono tylko cień śmieszności na rzecz nagłą i bolesną, a co gorsza odstręczono od sprawy, będącej istotnie sprawą powszechnego pożytku tych wszystkich, co nie byli zwolennikami emancypacji, których waga stosunkowa mózgu nie obchodziła, a którzy lękali się, popierając kwestyę samodzielnego zarobku, oderwać kobietę od zajęć przypadających jej z natury.

Z pewnością nikt nie zaprzeczy i ja także przeczyć nie myślę, że najwłaściwszem polem pracy kobiety jest zajęcie domowe, pielęgnowanie dzieci, męża, domu, słowem zapobieganie codziennym potrzebom gromadki powierzonej pieczy matki i gospodyni domu. Zajęcia te w żadnym razie bez szkody ogólnej zaniedbane być nie mogą, nie są też małe, ani lekkie, tam zwłaszcza, gdzie materialne środki są szczupłe, a rodzina liczna. W takim razie praca domowa kobiety jest może zarówno materialnie jak moralnie najprodukcyjniejszą pracą, i nie tylko stanie za skromny zarobek, ale najprędzej zapewni szczęście jej samej, i tym co od niej zależą, zaciskając węzły rodziny, tej podwaliny każdego zdrowego społeczeństwa.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że kobiety średniego stanu, coraz mniej rachować mogą na związki małżeńskie, a zatem i na ten właściwy rodzaj pracy a to tem bardziej, jeżeli należą do proletaryatu kobiecego, to jest, nie posiadają posagu, lub posiadają go zbyt mały stosunkowo do potrzeb.

Nie myślę czynić z tego powodu zarzutów mężczyznom; nie można kwestyi tej brać jedynie ze strony uczuciowej, jest to po prostu wynik ekonomicznego stanu. Człowiek musi się ściśle rachować z pierwszemi potrzebami życia,

a więc często wbrew woli i sercu, nie może brać na siebie ciężaru przyszłości, którejby nie podolał, i zawiązywać rodziny bez trwałego fundamentu. Ztąd los panien bez posagu jest bardzo niepewny, najczęściej nie idą wcale za mąż, lub też co gorsza idą wbrew uczuciu, jedynie dla tego, że nie widzą przed sobą innej drogi, że nie nauczone zapracować na własne utrzymanie, muszą z konieczności szukać rąk, któreby to za nich czyniły. Nie potrzebują zdaje się zatrzymywać nad smutnymi następstwami podobnego faktu oburzającego zmysł moralny każdego uczciwego człowieka, a który niestety! jest dzisiaj na porządku dziennym u rozsądnych rodziców i rozsądnych panien, biorących życie jakiem jest i sądzących jasno położenie swoje.

Ale i takie małżeństwo nawet do wyjątków zaliczyć można; ażeby dojść do niego ileż upokorzeń znieść musi panna lub jej rodzice, ileż popełnić podłość, niestosowności, ile poświęcić ze słusznej dumy lub godności własnej. Patrzymy tylko co się dzieje w koło. Czyż tak zwane polowanie na męża, nie jest istotnym celem wychowania niewieściego? czyż nie dla tego tak bardzo dbają w niem o pozory, tak mało o grunt rzeczywisty? Dziewicze lata każdej niemal kobiety średniego stanu, to niepewność i trwoga, czy otrzymać zdoła położenie społeczne, do jakiego jedynie uzdolniło ją wychowanie? Czy wyciągnie los jaki na loteryi życia, los, od którego zawisło jej istnienie, lub też pozostanie na zawsze komparsem społeczeństwa? Lata te to lata bojowania, gdzie walne bitwy staczają się na balach, zabawach, wodach i t. p. targowiskach małżeńskich. Jest to nieustanna tragikomedya, która byłaby bardzo śmieszna, gdyby nie była tak bolesna. Czy nie z tych lat, nie z zawodów które przynoszą, rodzi się antagonizm płci, gorycz słabszej ku mocniejszej, i lekceważenie mocniejszej dla słabszej.

Z innej strony położenie kobiety ubogiej a niezamężnej, jest obecnie tak smutne, iż dziwić się nie można wszystkiemu, co przedsięwzięte, by się od niego wyzwolić.

Dawniej uboga panna, jeśli za mąż nie poszła, miała jeszcze rozmaite drogi przed sobą, nie potrzebowała koniecznie tulać się po świecie. Jeśli doznała sercowego rozbicia, poznała bole i zawody, klasztor otwierał jej gościnne wrota; tam mogła w pokoju cierpieć, płakać, pokutować, modlić się lub pracować. Jeśli lubiła świat, mogła przy jakim wielkim dworze zostać panną respektową. Wreszcie krewni choćby najmniej zamożni, nie odmawiali jej gościnności, nie potrzeba było jeszcze rachować się z kęsem chleba, ani z miejscem przy domowym ognisku, chleb był tani, a świat przestronny. Dziś co innego, dziś stara panna okryta śmiesznością, jaka dotyka każde niepowodzenie, nieuzbrojona do walki z losem, musi sama torować sobie drogę wśród wrogięgo społeczeństwa, i uderzyć się w piersi, wśród przesądu istniejącego jeszcze przeciwko rozmaitego rodzaju pracom.

Jedyny zawód otwarty dla niej, to zawód nauczycielski, chociaż najczęściej nie posiada ani naukowego uzdolnienia, ani pojęć pedagogicznych, ani wreszcie cierpliwości i daru nauczania.

Dla tego to mamy tak wiele nauczycielek źle odpowiadających swemu zadaniu. Bo czyż może być inaczej? Najczęściej chleba tego ima

się istota zawiedziona, nie zadowolona z siebie i drugich, istna ofiara losu, na który nieustannie narzeka. Jest to więc rzeczywiście najgorsza przewodniczka, jaka tylko być może, dla młodych umysłów i najmniej może wyrobić na przyszłość zdrowych członków społeczeństwa. Tym sposobem proletaryat kobiecy jest równie nieszczęśliwy jak szkodliwy. I nie dziw, jest to element błędny, bo odwrócony od swojego naturalnego powołania, i element buctowniczy. Czuje się on pokrzywdzony nie bez pewnej słuszności. Wychowywać kobietę w przekonaniu, że powinna być żoną i matką, nie tylko żoną i matką, a nie dać jej rodziny, względem której obowiązki te pełnić by mogła, jest to nielogiczność rażąca, wydająca koniecznie zgubne następstwa. Tak samo jak cały ustrój ludzki cierpi, skoro jeden z jego organów funkcjonuje anormalnie, tak samo cierpi i ciało społeczne, mając w łonie swoim nieprawidłowe żywioły, lub takie, których prawidłowe działanie uległo przemianie.

Faktem więc nie ulegającym zaprzeczeniu jest to, że źle istnieje, że mamy marnujące się siły, i cierpienia wywołane ich zmarnowaniem.

Czyż jednak w kraju naszym brakuje pracy? Czy wszystkie gałęzie zarobku są wyzyskane? Czy nie ma już nigdzie miejsca dla rąk umiętnych i czynnych? Rozpatrując się w koło, widzimy, że tak nie jest — przeciwnie, tysiące przemysłów upada, wiele produkcji jest zaniebanych, dla braku odpowiednich pracowników lub pracowni.

Zmiany stosunków ekonomicznych, jeśli podkopały stosunki majątkowe wielu rodzin i wyrobiły tym sposobem proletaryat kobiecy, stworzyły także potrzeby, zarobki i zyski, z których właśnie proletaryat ten mógłby korzystać, gdyby zamiast narzekać, marzyć, wojować, lub iść wydeptanym śladem ogółu, zbadał je należycie.

Wiele przedmiotów uważanych za bezwartościowe, obecnie nabyły ceny, i stanowiąby mogły znaczną rubrykę dochodów, gdyby tylko produkowano je systematycznie.

Słowem, nie waham się twierdzić, że istnieje w społeczeństwie naszym wielkie nieporozumienie, bo jeśli z jednej strony mamy dużo rąk szukających pracy, to z drugiej jest wiele pracy do wykonania: a my nie umiemy spożytkować pierwszych na korzyść drugiej, i tym sposobem przywrócić ekonomiczną równowagę, naruszoną zmianą istniejących stosunków.

Dla tego zamierzam nieporozumienie to roztrząsać w szeregu artykułów, zapewne bynajmniej nie wyczerpujących kwestyi, ale w których przynajmniej będę się starał oddzielić ją od marzeń i doktryn emancypacyjnych, i postawić na właściwym gruncie ekonomicznym, na jakim jedynie, według mnie, rozwiązać się może.

Najprzód zastanowię się po krótko nad tą niedaleką przeszłością, co przecież tak bardzo różną była od obecnego społecznego stanu.

Powtóre szukać będę zarobków, które nie odrywając kobiety od domowego ogniska, mogłyby ułatwić kojarzenie się związków małżeńskich, tam wszędzie, gdzie zarobek mężczyzny nie wystarcza na utrzymanie rodziny.

Następnie zatrzymam się nad zajęciami właściwymi dla kobiet bez rodziny, lub też dla takich, co w skutek wdowieństwa, choroby lub od-

dalenia męża, są zmuszone same utrzymywać rodzinę.

Wreszcie zastanowię się nad kierunkiem wychowania kobiecego, które powinno ich uzdalać do pożytecznej pracy, a nie ograniczać się na środkach podobania i powierzchownych przyjemnościach.

Dr Jan Olszyc.

## Z ZA GROBU

przez

S. z Z. D.

W początkach tego roku, umarł we Francyi poeta, który jeśli nie błysnął na świat promieniem nadzwyczajnego geniuszu, stał się jednak chwałą narodu swego. Józef Autran był poetą w pełnem tego słowa znaczeniu: umiował idealne piękno, dążył ku niemu duchem, opiewał je pieśnią natchnioną, a co większa, umiał ściągnąć ten promyk Boży na ścieżki codziennego żywota. Kochał Boga, kochał kraj, kochał rodzinę, kochał braci ludzi; przeszedł po ziemi nietknięty najmniejszą skazą. Takie świadectwo powtórzyła chórem Francya nad świeżym jego grobem.

Urodzony w Marsylii roku 1812, syn bogatego kupca i matki Greczynki, przeżył w rodzinnem mieście lat przeszło sześćdziesiąt, oddany wyłącznie pracy literackiej. Kierunek ten zawdzięczał Lamartine'owi. Kończył właśnie nauki szkolne, kiedy wielki poeta przybył do Marsylii, z kąd miał odpłynąć na Wschód z żoną i chorą córką. Młody Autran umiał na pamięć całe ustępy z *Harmonij i Medytacyj Poetycznych*, nieraz nawet usiłował naśladować te cudne dźwięki, lecz ukrywał pilnie próby niedoświadczonego pióra. Przybycie sławnego poety napełniło radością jego serce. W ciągu nocy palącemi zgłoskami nakreślił on odę na cześć Lamartine'a: *Le départ pour l'Orient*; drżący od trwogi—wręczył mu swoje wiersze. Lamartine odczytał je głęboko poruszony.

— I ty jesteś poetą! pracuj! — rzekł, sciskając z uczuciem przyszłego współzawodnika.

Nie dosyć na tem, Lamartine poznał się z ojcem młodzieńca, upewnił go, że syn prawdziwy ma talent poetyczny, upominał żywo, aby nie stawiał mu przeszkód w zawodzie literackim.

Chwila ta była stanowczą w życiu Józefa Autran'a. Podjął z miłością pióro, którego nie miał złożyć do skonu. Dla Lamartine'a zachował wdzięczność i uwielbienie; ten ze swej strony cieszył się powodzeniem młodziana i stałą otaczał go opieką.

W trzy lata potem, wydał Autran pierwszy zbiór pod tytułem: *Poemata morskie*. Były to słizne obrazki z życia rybaków i żeglarzy. Później z opowieści starego wiarusa, osmalonego prochem w zapasach z Arabami Algeru, wyspiewał rycerski rapsod p. t.: *Millianak*. Poemat ten przebiegał z ust na usta. Nazywano Autran'a Tyrteuszem armii afrykańskiej.

Wreszcie poeta spróbował sił na obszerniejszym polu. Rozmówiony w poezji greckiej, którą, jako Marsylijezyk, uważał za drogą spuściznę po swych focejskich naddziadach, wziął przedmiot z greckich podań, i pod tytułem: *Córka Eschileasa*, utworzył słizny pięcioaktowy dramat. Rękopism przez trzy lata

spoczywał w tece zbyt nieśmiałego poety, kiedy Aleksander Dumas odwiedził Marsylię. Autor Monte Christa, poznał się tu z Autran'em, gwałtem zabrał mu dramat; zachwycony jego pięknoscia, powiódł go do Paryża. Dyrekcya Odeonu przyjęła utwór, zapowiedziano przedstawienie na dzień 24 Lutego 1848 roku. Dzień to pamiętny w dziejach bieżącego stulecia! W obec krwawego dramatu, jaki w tym dniu odegrali na ulicach miasta Paryżanie, *Córka Eschileasa* ustąpić musiała z desek teatralnych. Odwleczono przedstawienie do Marca. Poeta obecny w teatrze, stał się celem najgorętszej owacyi. Wkrótce potem Akademia Francuzka uwieńczyła tę znakomitą pracę.

*Pieśni Rolników i Żołnierzy* (Laboueurs et Soldats), *Obrazy z życia wiejskiego* (La vie rurale), ustalały coraz bardziej poetyczną sławę Autran'a. Ostatni zbiór rozehwytano w oka mgnieniu; w ciągu miesiąca rozbiegło się pięć tysięcy egzemplarzy.

Po śmierci Ponsard'a w r. 1868, Akademia Francuzka ofiarowała krzesło marsylskiemu poecie. Odtąd umilkł chwilowo. Życie płynęło mu swobodnie przy domowym ognisku, w kole miłej sercu rodziny. Kiedy oskarżano go o zbyt długi spoczynek, on pracował w ciszy, i w głębokiem ducha skupieniu. Czasami tylko w miejscowych przeglądach, zadzwonił jakiś dzwiczny jego sonet, zabrzmiała jakaś rzewna piosenka. Powtarzamy z tych jedną, skreśloną na cześć starej sługi:

Nieraz mi z powiek łza rzewna spłynie,  
Gdy ciebie widzę, sługo pocziwa,  
Jak przy tlejącym słabo kominie,  
Ciągniesz z kądzieli nitkę przedziwa.

Wielkie ofiary nieznanie światu,  
Przetrwane próby, przebyte znoje,  
W jakiś tajemny blask majestatu  
Pokorne czoło zwieńczyły twoje!

W miarę jak zegar godziny dzwoni,  
Dzień się dla ciebie kołem obraca,  
Jedną robotę wypuszczasz z dłoni,  
A po niej nowa czeka cię praca.

Słodko pod jarzmem twój duch się korzy,  
I nigdy skarga nie zbiegnie z łona;  
Mysł twa skąpiana w promieniu zorzy,  
Cudem miłości rozpogodzona.

Kornie z ubogim godzisz się stanem,  
W modlitwie siły ty czerpiesz nowe.  
Pocziwa sługo, zowiesz mię panem,  
A ja przed tobą, pochylam głowę!

Kłęski Francyi głęboko dotknęły poetę, no-  
wy dały mu polot. W parę lat po wojnie wy-  
dał *Legendy Palatynów*, nacechowane myślą wy-  
soko patryotyczną. Stawia w nich poeta przed  
oczy młodych pokoleń, dawne walki praoców,  
ich niezłomną wiarę, ich bohaterski zapał.  
Francya przyklasnęła gorąco owym pięknym  
obrazom. Po tym zbiorze pojawił się inny;  
obok wierszy ulotnych, obejmuje on *Przysłowia Salomona*, owiane czystem tchnieniem poezyi  
biblijnej.

Do bolesci, jaką przejmował Autran'a los  
Francyi, przyłączyła się jeszcze osobista troska,  
z powodu gasnącego wzroku. Na lat parę  
przed śmiercią, zaniewidział prawie zupełnie.  
Przyjął bez sarkania wyrok Boży. Wówczas

to nakreślił sonet do małej córeczki; zowie ją  
swoją Antygonką. Sonet ten podobnie jak  
kilka innych poezyi z za grobu autora, dajemy  
tutaj w przekładzie.

Jam się nie wdzieriał w straszną tajemnicę,  
Którą Sfuks trzyma ukrytą przed światem;  
Jam nigdy miecza nie podjął w prawicę,  
Nigdy nie splamił ziemi krwi szkarlatem.

Ojca własnego ja nie byłem katem,  
Rumieniec sromu nie padł mi na lice;  
Jam edypowym nie błysł majestatem,  
A Bóg mi przecież zagasił źrenice.

Napróżno sarkać, tak w niebie sądzono!  
Chodźże maleńka do mnie Antygono!  
Wiedz mnie cierpliwie po ścieżce żywota.

Bóg czarnym mrokiem świat przedemną słoni,  
Lecz dał mi ciebie! I czemże ślepotą,  
Gdy twoją rączkę, czuję w mojej dłoni!

Od dawna dotknięty chorobą serca, Autran  
nie czuł się jednak blizkim ostatniej chwili.  
Gorący zapasnik ideału, dyktował właśnie se-  
kretarzowi swemu żartobliwy wiersz przeciw-  
ko realistom, kiedy śmierć nagle go zaskoczyła.  
Umarł jak szermierz na wyłomie!

Na krótko przed śmiercią rozpoczął ogólną  
publikacyę poetycznych prac swoich. Wyszło  
dotąd pięć tomów; szósty ma się niebawem  
ukazać. Obejmie *Córke Eschileasa*, tragedye  
*Cyklop*, dotąd niedrukowaną, i kilka innych  
dramatycznych utworów. W siódmym tomie,  
zamieszczone będą wspomnienia z życia poety,  
tudzież rozprawy krytyczne o literaturze współ-  
czesnej.

#### OKUP.

z Legend Palatynów.

Wojsko w żałobie, waleczni łzy leją:  
Trzej, którzy byli narodu nadzieją,  
Wpadli w moc wroga, w pętach jeżą społem.  
Jeden Lancelot, przewany Sokołem,  
Za dzielne czyny u świata on w cenie;  
A drugi Godfryd, urodzon przy Renie,  
Ten umie lotne ujeżdżać bieguny;  
A trzeci Hektor, słonecznemi łuny  
Twardy mu pancerz na barkach jaśnieje,  
Kołyaską jego strome Pireneje.

Gradoń Saracen pokonał te zuchy.  
Karki w żelazne okuł im łańcuchy,  
Płaczą druhowie, łza im oczy zaćmi:  
— „I któż, pytają, połączy nas z braćmi?  
Kto naszych dzielnych odbije z niewoli?”  
— „Ja — rzece Roland, — jeśli Bóg pozwoli!”  
Rzekł, i do czynu zabiera się żywo,  
Czem Saracena zmięczyć duszę mściwą?  
Na wozy kładzie złoto i bisiory,  
Spieszmy gdzie stoją Gradonia tabory.

— „Gradoniu! — woła — tys królewskie plemię,  
Ojciec twój Kappul dzierzył tracką ziemię,  
Wysoko cenię twe rycerskie cnoty,  
Za braci moich niosę okup złoty.  
Oddasz mi druhow, znam twe wielkie serce.  
Oto bławaty i perskie kobierce,  
Rzeźbione czary, szaty z złotogłowu,  
Lotne sokoły zaprawne do łowu,  
Sztuki bławatów i sukna postawy,  
Zabierz te skarby, emirze łaskawy!”

A emir na to: — Pyszne dary twoje,  
Lecz mam dość złota, o więcej nie stoję.  
Wszystkie te dary jeden mi opłaci,  
Jednym baronie okupisz twych braci!

Roland wzrok wlepił w oblicze Gradonia,  
— „Mów, czego żadasz?”

— „Twego żądam konia!  
Jego — wieść głosi — czarodziejskiej sile  
Zawdzięczasz wodzu przesławnych walk tyle!”

— „Żadasz emirze zbyt wielkiej ofiary!  
To wierny druh mój! towarzyszyć mój stary!  
Na nim z wichrami pędziłem w zawody,  
Na nim zdobyłem kappadockie grody,  
Obozy wasze burzyłem ze szczerem,  
Pod kopyt jego szalonym tętentem  
Drżał z trwogi Araks! On ze mną był wszędzie.  
Ja go nie oddam!”

— „Więc zgody nie będzie!  
Zatrzymam jeńców, ty zostań przy koniu.”

— „Serce mi z piersi wydzierasz, Gradoniu!  
Lecz przed ofiarą cofać się nie trzeba.  
Weź go emirze, tylko w imię Nieba,  
Zaczem go stracę, pozwól mi, niech jeszcze  
Po raz ostatni oczy nim napieszczę!”

Emir wziął konia, w złoty róg uderzy,  
Słudzy trzech młodych przywiedli rycerzy.  
Szczekając w pęta naprzód Hektor idzie,  
Lancelot za nim przy dzielnym Gotfrydzie.  
Słowu zadosyć emir wnet uczyni:

— „Jesteście wolni młodzi paladyni!”  
Rzekł, i łańcuchy z karków im postrąca.  
Wolni! a żalność ich myśli tak zmąca!  
Wiodą na wozach bławaty i złoto,  
Roland wśród wiernych powraca piechotą.

Stanął w obozie, już niebo się mroczy.  
Cóż to? Koń cwałem ku panu poskoczy!  
Dzieje nie mówią, jak wielka, jak szczerza  
Była w tej chwili radość bohatera,  
Lecz zapisały przygodę.

Rzecz taka:  
Gdy emir dosiadł pięknego rumaka,  
On zwierz pokorny i słodki jak dziecię  
Ze wstrętem wroga wnet poczuł na grzbiecie.  
Rozedmie nozdrza i grzywę najeży,  
Wściekle kopytem o ziemię uderzy,  
A gdy mu boki ostroga dobodła,  
Wspina się w górę!

Spadł Saracen z siodła,  
W krwawej kałuży potarzał się cały,  
A koń Rolanda pomyka w lot strzały,  
W czterech podskokach, krwawym oblan potem  
Stanął radosny przed wodza namiotem.

Cnoty Rolanda Niebo szczodrze płaci,  
Zachował konia i ocalił braci!

#### M Ó J G O Ś Ć.

Blado słoneczko połyska jesienią,  
Blado się grzędy w ogródku zielenią,  
Raz po raz padnie liść suchy.  
Z miłym mi gościem gwarzę u komina,  
W lot za godziną mija nam godzina,  
My przyjaciele, my druhy!

W jednej nam szkole zbiegły młode lata,  
Potem on pomknął gdzieś na krańce świata  
Wędrował długo, daleko!  
Aż troski czoło w brózdki mu zorały,  
I włosy kracze przyprószył śnieg biały,  
I wrócił ślepym kaleką!

—W długiej pielgrzymce, widziałem ja, rze-  
Wszystko, co zmysły raduje człowiecze, [cze,  
Co w duszy wielką myśl rodzi;  
Widziałem Romę, tę chwałę Cezarów,  
Cudny Neapol, ów gród pełen czarów,  
Skapan w słonecznej powodzi.

Widziałem Stambuł upowity w zorzę  
I w kryształowym odbite Bosforze  
Stu minaretów miesiące;  
A w cyprysowych gajów ciemnej głębi  
Widziałem groby i białych gołębi  
Po nad grobami tysiące!

Widziałem piękne Hellady wybrzeża,  
Tu Olimp nęci, tam Korynt uderza,  
Z wiekowej chwały swej dumny;  
Tam porywają mnie, sztuki czciciela,  
Bogi wykute dħtem Praksytela  
I Partenonu kolumny.

Dalej od Jaffy brnę przez mǳr głębin,  
Całuję drogą ziemię Palestyny,  
Z miłością, chlubą i żalem,  
Gdy mi w pomroku błysło miasto Boże,  
Istny krzyżowiec, jam wołał w pokorze:  
Zawitaj o Jeruzalem!

Wielbłęd mnie zaniósł pustynią wśród spieku  
Do bram Damaszku, pod mury Balbeku,  
Gdzie słońce żarem połyska.  
Z piramid szczytu gonię wieków ślady,  
Przebyłem wszystkie Nilu wodospady,  
Zbadałem Teb rumowiska.

I znów na okręt—wody zakipiały,  
Niosą mnie wartkie oceanu wały,  
Nademną równik... i oto  
Noc mi żałobne rozsuwa zasłony  
I dyamentów sypanie miliony,  
Rubiny, perły i złoto!

Dalej mnie pędzi wiatr siłą szaloną—  
Świeżego tchnienia zaczerpnę tu w łono,  
Inne tu ptaki i drzewa.  
O Ameryko! twe cuda czyż zliczę?  
Błogo mi lasy twe szumią dziewicze,  
Inaczej wiatr tu powiewał!

Com ja tam widział na ziemskim obszarze,  
Ani spamiętam i w snach nie przemarzę,—  
A dziś!.. świat ciemny i pusty!  
Tu, kędy nogi dowlekłem tulacze,  
Psa twego budy nawet nie zobaczę,  
Ni na twych grzędach kapusty!

Jam ślepy starzec! och! zapłacz nademną!  
Mnie dziś na świecie tak straszno, tak ciemno,  
Ty mi nie poskąp lzy bratniej!—  
Wstał... dłoń wyciągnął i omackiem zmierza  
W stronę, gdzie smętnie o szyby uderza  
Jesienny promyk ostatni!

Następnie damy jeszcze czytelnikom naszym  
wyjątki z *Córki Eschileasa*.

## ZE ŚWIATA NAUKOWEGO.

Fosforescencya.—Odkrycie prof. Radziszewskiego.—Spostrze-  
żenia Berthelot'a o pobieraniu azotu przez rośliny.—Dziwna  
własność selenu.—Okno sztuczne.—Roślina elektromagne-  
tyczna.—Fotochromia, czyli fotografie kolorowe.—Okręt  
Frigorifique.

Jednym z najwspanialszych zjawisk, podzi-  
wianych przez żeglarzy, jest fosforescencya

morza. Gdy światło dzienne zagaśnie, fale rozjaśniają się blaskiem łagodnym, płynący okręt zostawia po sobie ślady ogniste, każdy ruch tysiące iskier wydobywa z wody, błyszczące smugi, jakby wstęgi złote, snują się, migocą wśród ruchliwych nurtów, morze całe płonie ogniem tajemniczym. Już w XVII-m wieku, probowano objaśnić przyczynę fosforescencyi morskiej; objaśnienia te przytoczymy tu dla osobliwości. Jedni utrzymywali, że w skutek obrotu ziemi naokoło osi wywiązuje się tarcie pomiędzy powierzchnią wody i atmosferą, a ztąd powstaje światło, drudzy znów dowodzili, iż ocean pochłania w ciągu dnia promienie słoneczne, a później wydziela je w nocy. Ta ostatnia teoria przywodzi na myśl inny rodzaj fosforescencyi, powstającej w rzeczy samej pod wpływem promieni słonecznych, tak zwaną fosforescencyę przez insolacyę. Dyament wystawiony na blask słoneczny i natychmiast do ciemnego miejsca przeniesiony, świeci czas jakiś bladym światłem. Własność tę posiada wiele innych minerałów, w większym lub mniejszym stopniu. Szczególnie piękny przykład fosforescencyi przedstawiają związki siarki z wapniem, barem, strontem, cynkiem, w pewnych chemicznych warunkach otrzymane. Minerale te, wystawione na słońce, lub nawet na sztuczne światło magnezowe, świecą później w ciemności różnemi barwami, niezmiernie żywemi, a każdy odmienną przybiera i tworzą piękne pasy tęczowe, jeśli się ich kilka na raz użyje do tego doświadczenia. Fizycy objaśniają to zjawisko tak samo, jak w muzyce objaśnia się rezonans. Wiadomo, że struny instrumentów same się odzywają, jeśli ton odpowiedni zabrzmie gdzieś niedaleko, to jest, jeśli napotkają w powietrzu odpowiednie drganie. Przypuszczają tedy, że ciała świecące pod wpływem insolacyi, ulegają podobnemu wstrząśnieniu w skutek zetknięcia ze światłem, przejmując właściwe drgania eterowe, a ztąd powstają w nich pewne promienie światła, to jest pewne barwy. Co się zaś tycze fosforescencyi morza, każdemu zapewne wiadomo, że światło przedstawiające ten widok wspaniały, pochodzi od drobnych żyjątek, zwanych *noctiluca miliaris*, które zaludniają oceany w niezliczonych ilościach i błyszczą na kształt robaczek świętojańskich. Dodajmy, że jest oprócz tego mnóstwo innych istot morskich, większych lub mniejszych, które posiadają własność wydawania fosforycznego światła. Tym sposobem źródło zjawiska oddawna przestało być tajemnicą, ale przyczyny tej osobliwej własności ciał organicznych, pozostały nierozjaśnione, gdy oto świeże odkrycie, dokonane przez prof. Radziszewskiego we Lwowie, kwestyę tę, pod pewnym względem przynajmniej, stanowczo zdaje się rozstrzygnąć. Pan Radziszewski pewnego wieczoru przypadkowym sposobem znalazł się bez światła w swojej pracowni i spostrzegł charakterystyczny blask fosforyczny w bańce szklanej, pewnym płynem napełnionej, pozostawionej tu przed chwilą. Była to lofina, nalana alkoholowym roztworem gryzącego potażu. Lofina jest to ciało otrzymane przez chemiczne rozkłady z olejku gorzkich migdałów. Ciekawe to doświadczenie, które mieliśmy sposobność oglądać w pracowni jednego z chemików warszawskich, w uderzający sposób przypomina tak

często powtarzane opisy fosforescencyi morskiej. Płyn bezbarwny, nieco mętny, ogrzany nad gazową lampką, świeci potem dość długo w ciemności, pięknem, srebrzystem światłem, widocznem tylko na powierzchni, gdy płyn w spoczynku pozostaje, i wtedy w pewnej odległości od brzegów naczynia, występuje jaśniejsza smuga obrączkowa, przy wstrząśnieniu zaś, cała masa staje się świecąca. Dalsze badania wykryły liczny szereg ciał, które w podobnych warunkach wydają fosforyczne światło wszystkie one posiadają pewne określone chemiczne własności, mianowicie są aldehydami, albo też mogą wydać aldehydy. Do tych ciał świecących zaliczony jest między innymi i tran rybi, a ten ostatni równie jak kwas olejowy, nie tylko w alkoholowym, ale i w wodnym roztworze potażu okazuje własności fosforyczne. Wspomniemy tu jeszcze, że aldehydy są to związki organiczne, zajmujące miejsce pośrednie pomiędzy alkoholami i odpowiedniami tym ostatnim kwasami. Aldehyd może powstać z alkoholu, od którego się różni tylko mniejszym stosunkiem wodoru, a następnie, przybierając więcej tlenu, może się zamienić w kwas. Otoż prof. Radziszewski przekonał się, iż fosforescencya badanych przez niego płynów jest skutkiem *nadzwyczaj powolnego utleniania się aldehydów w reakcyi alkalicznej*. Na tej zasadzie fosforescencya roślin i zwierząt może być nakoniec wyjaśniona, tem bardziej, że jak widzieliśmy wyżej, udział alkoholu nie jest niezbędnym w obserwowanem zjawisku. Zauważono, iż świecące żyjątka, *noctiluca miliaris*, sprawia na skórze oparzenie, podobnie jak dotknięcie pokrzywy. Oparzenie przypisują wydzielaniu się kwasu mrówkowego. Ztąd wniosek prosty, że ciało żyjątko może wydzielać bezpośrednio aldehyd, który utleniając się, przechodzi w kwas mrówkowy i jednocześnie wywołuje zjawisko świetlne. Tymczasem zagranicą pozadzroszczono uczonemu naszemu rodakowi tego świetnego odkrycia. Najprzód tedy p. Chevreul w Paryżu wystąpił z zarzutem, że roztwory alkaliczne przyspieszają utlenianie ciał organicznych, że zatem działanie to w tych warunkach nie może być *nadzwyczaj powolnem*. Twierdzenie to zbił wszakże pan Radziszewski; reguła na którą się powołuje pan Chevreul bynajmniej ogólną nie jest, chociaż są w rzeczy samej ciała, które utleniają się szybko w alkalicznych płynach i te właśnie nie wywołują fosforescencyi. Potem znów chemik angielski p. Phipson nadesłał do Akademii Paryzkiej sprawozdania z prac swoich dawniejszych, dowodząc, iż wyprzedził pana Radziszewskiego w tem odkryciu. Trudno jednakże zrozumieć, dla czego skryty ten Anglik wcześniej tak ważnej wiadomości nie udzielił uczonemu światu?

Znakomity chemik francuzki, Berthelot, rozjaśnił temi czasy dość ważną kwestyę w życiu roślin. Dotąd panowało powszechne przekonanie, że azot znajdujący się w powietrzu, nigdy nie przechodzi bezpośrednio w tkanki roślinne, lecz pobierany bywa tylko pod postacią amoniaku lub związków mineralnych, zawartych w ziemi. Fakta wprawdzie przeczyły temu, gdyż przekonano się od dawna, że rośliny mieszczą w sobie znacznie większy stosunek azotu od tego, który mogą czerpać tym sposobem. Nakoniec p. Berthelot dowiódł za

pomocą licznych doświadczeń, że azot zupełnie swobodny, azot powietrza, łączy się bezpośrednio z rozmaitemi ciałami organicznymi, pod wpływem elektryczności; p. Berthelot używał w swoich przyrządach tak zwanego cichego wylądowania (effluves électriques). Próby swoje odbywał zrazu na rozmaitych węglowodorach, które pochłaniały znaczną ilość azotu, tworząc związki żywiczne, a z tych następnie azot znowu był wydzielany pod postacią amoniaku. Wreszcie, doświadczenie równie dobrze się udało z prawdziwymi roślinnymi tkankami, jak na przykład z roztworem zawierającym w sobie dekstrynę, z bibułką zwilżoną, a więc właściwie z cellulozą, która, jak wiadomo, jest głównym składnikiem tkanek drzewnych. Tak więc okazuje się, że gdy gwałtowne wstrząśnienia elektryczne, tylko w czasie burz wybuchające w atmosferze, sprzyjają więcej twórczości się amoniaku, słabe natężenia, nieustające nigdy, niemniej skutecznie wpływają na dostarczanie roślinom potrzebnej ilości azotu. Dotąd wprawdzie nie można twierdzić, ażeby azot pobierany był z powietrza przez same rośliny, tak jak tlen lub kwas węglany, lecz nie ulega wątpliwości, że nieustannie się łączy z organicznymi cząstkami, znajdującymi się na powierzchni ziemi różnej i tą drogą przynajmniej dostaje się do korzeni. To odkrycie Berthelot'a, z pozoru czysto teoretyczne, ma jednak ważne znaczenie dla rolnictwa i już nawet we Francji znalazło zastosowanie praktyczne. Przy wyrabianiu sztucznych, mineralnych nawozów, głównym warunkiem jest nie tylko sam skład materiałów użytych, ale własności sprzyjające tworzeniu się związków azotowych. Dotąd wpływ elektryczności nie mógł być uwzględniany w tym razie, ponieważ nie przypuszczano, ażeby słabe natężenia miały tak skutecznie działać. Teraz jednak zwrócono na to uwagę szczególną i pewna fabryka renomowana wyrabia nawóz mineralny, w którym części żelaza i alunu, potażu i sody, obliczone są w celu, ażeby przez zetknięcie się z sobą wywoływały pewne napięcie elektryczne, sprzyjające łączeniu się azotu z organicznymi ciałami, znajdującymi się w roli spulchnionej.

Elektryczność, ze wszystkich sił przyrody najwięcej podobno tajemnie kryje jeszcze przed wzrokiem człowieka. Od czasu do czasu zasłona uchylać się zdaje, nowe zjawisko żywiej pobudzi ciekawość uczonych, lecz często pozostaje niewytłomaczone. To pewna, że ścisły jakiś związek łączy elektryczność ze światłem; obie te siły jednymi zapewne kroczą drogami, też same drgania eterowe przenosić muszą po niezmiernie przestroni i świetlnie promienie i elektryczne prądy. Mniemanie to zdaje się potwierdzać świeże odkrycie szczególnej własności selenu. Selen jest to pierwiastek mineralny, dość zbliżony do siarki; ciało to, stosownie do tego, w jakich warunkach zostaje stopione i ostudzone, może przedstawiać postać bezkształtną, lub krystaliczną. Selen bezkształtny nie przepuszcza wcale elektryczności, krystaliczny jest dość słabym przewodnikiem. Parę lat temu pewny telegrafista amerykański spostrzegł przypadkiem, że bryłka krystalicznego selenu, wystawiona na światło, okazywała znacznie większą czułość na działanie prądu elektrycznego, aniżeli w ciem-

ności. Fizyk Willoughby Smith fakt ten natychmiast zanotował, lecz przez czas jakiś nie zwracano nań uwagi; dopiero w roku ubiegłym, William Siemens ciekawe to odkrycie stwierdził niezmiernie zajmującymi doświadczeniami, do których obmyślił przyrząd, przewzany nie bez przyczyny okiem sztucznym. Wyobraźmy sobie kulkę szklaną, wydrążoną, mającą dwa okrągłe otworki na wylot, kształtem swoim przypominającą oko ludzkie. W jednym otworze znajduje się krążek selenu, połączony z elektrycznym prądem i galwanometrem, krążek ten przedstawia siatkówkę w oku; w drugim otworze, na przeciwko, umieszczona jest soczewka, przykryta ruchomą zasłonką, rozdwojoną, nakształt powiek. W chwili, gdy zasłonka się rozsunie i światło padnie na soczewkę, działanie prądu natychmiast się objawia w krążku selenu i galwanometr się porusza. Zboczenie zależy od barwy światła; najslabiej działają promienie błękitne, silniej czerwone, najsilniej białe światło. Dowcipny ten przyrząd miał być jeszcze udoskonalonym przez zastąpienie zwyczajnych blaszek, przedstawiających powieki, małymi elektromagnesikami, które mogłyby się poruszać mechanicznie, pod wpływem prądu, zamykając się zupełnie tak jak powieki prawdziwe, gdy wzrok zbyt silnym blaskiem zostanie olśniony. W całym tem zjawisku to jest może najdziwniejsze, że czułość selenu na światło nie objawia się jednostajnie, ale po niejakiem przeciągu czasu zaczyna słabnąć, a nawet zupełnie ustaje, i dopiero po pewnym wypoczynku w ciemności czuć się daje na nowo, tak jak gdyby martwy minerał ulegał jakiemuś znużeniu, podobnie jak oko nasze, gdy przez czas dłuższy wystawione jest na działanie światła. Bardzo być może, że wszystkie te szczegóły zadziwiające, nawet dla fizjologii nie pozostaną bez znaczenia.

Elektryczność zwierzęca od dawna jest znana; ryby elektryczne przebywające w morzach i rzekach, wywierają nieraz działanie potężne, nie różniące się niczem od działania butelki Lejdejskiej. Nigdy jednak nie słyszeliśmy dotąd o elektrycznych roślinach, ale i to zjawisko istnieje na świecie; tak przynajmniej utrzymuje pewien dziennik amerykański. Nieraz już wprawdzie przybywały nam z Ameryki przeróżne kaczki naukowe, dla tego też i ta wiadomość z pewnem niedowierzaniem przyjęta została przez europejskich przyrodników. Pan Levy, Amerykanin, zamieszkały w Nicaragua, bardzo szczegółowo opisuje tę osobliwość światła roślinnego, która przedstawia szczególne własności elektro-magnetyczne. Jest to gatunek szkarłatki, *Phytolacca*, z rodzaju tak zwanych mięsistych roślin, otrzyma ona naturalnie nazwę *Phytolacca electrica*. Oderwawszy gałąź rośliny, powiada p. Levy, doznaje się tak silnego wstrząśnienia, jak gdyby ręka dotknęła baterji Rhumkorffa. Kompas, ustawiony w odległości siedmiu do ośmiu kroków, widocznie poruszać się zaczyna jakby pod wpływem magnesu; igielka w miarę zbliżenia zbacza coraz wyraźniej, ruchy jej stają się niespokojne, aż wreszcie w środku krzaku, przybiera szybki ruch obrotowy. W ziemi, na której roślina rosła, nie znaleziono żadnego śladu magnetycznych metali, tylko więc samej roślinie można było przypisać tę osobliwą własność.

Zjawisko występuje z największą siłą około drugiej godziny po południu, wzmaga się podczas burzliwej pogody, w nocy słabnie, a nawet ustaje. Zauważył też p. Levy, że nigdy ptaki ani owady nie siadają na gałęziach szkarłatki elektrycznej.

Do rzędu wynalazków, mających przyszłość przed sobą, zaliczyć można nieznaną jeszcze u nas *Fotochromią*, która we Francji zaczyna się obecnie rozpowszechniać. Jest to, jak łatwo odgadnąć z nazwy, sztuka odbijania fotografii z zachowaniem naturalnych barw. Nie należy jednak sądzić, że barwy te powstają od razu, pod wpływem słonecznych promieni, tak jak światła i cienie w fotografiach zwyczajnych. Już nieraz wprawdzie rozchodziły się pogłoski o podobnym wynalazku, zawsze jednak okazywało się w końcu, że były fałszywe. Trudno stanowczo twierdzić, czy zadanie to może być osiągnięte, to pewna, że dotąd nikomu się jeszcze nie udało otrzymać fotografii kolorowych, chyba za pomocą sztucznego zabarwienia. Fotochromia należy do tej samej kategorii, z tą jednak różnicą, że barwy tu nie są nadawane dowolnie od oka, ale najdokładniej zastosowane do naturalnych odcieni, odwzorowane wiernie podług rzeczywistych promieni światła. Wszystko się odbywa wyłącznie mechanicznym sposobem, możnaby nawet powiedzieć, że światło tu właściwie całą pracę wykonywa, cieniuje każdą barwę z osobna. Panowie Vidal i Cros we Francji, najwięcej się przyczynili do wydoskonalenia tej metody, o której sprobujemy dać czytelnikom niejaki wyobrażenie. Wiemy, że światło białe rozkłada się na siedm barw, tworzących tak zwane widmo słoneczne. Ale w tem widmie tęczowym trzy tylko są barwy zasadnicze: błękitna, żółta i czerwona, inne powstają z pomieszania tych trzech; i tak: czerwona z błękitną tworzy pas fioletowy, fioletowa z błękitną pas szafirowy, błękitna z żółtą pas zielony, żółta z czerwona pas pomarańczowy. Rzeczywiście więc tylko trzy barwy istnieją w przyrodzie i wszelkie odcienie z nich powstają przez rozliczne kombinacje. Wykonanie Fotochromii zależy na tem, ażeby w danym obrazie każdą z trzech barw zasadniczych pochwycić i na osobnej odbitce z całą dokładnością utrwalić. Następnie z połączenia trzech odbitek otrzymuje się właściwe zabarwienie obrazu. Obaczmyż teraz, jakim sposobem można odosobnić barwy zasadnicze. Malowidło, umieszczone przed ciemnicą optyczną, odbija się w niej z całym swoim zabarwieniem; na ściankę padają zarówno wszystkie promienie. Ale za pomocą szkieł kolorowych można te promienie przesiewać, jakby przez sito, tak że szkło przepuści niektóre tylko barwy, inne zaś pochłonięte zostaną. Na tej zasadzie, ustawiając kolejno pomiędzy obrazem a przyrządem fotograficznym szkła stosownie zabarwione, można otrzymać trzy odbitki, z których każda mieści na sobie promienie pewnej zasadniczej barwy. Na jednej zgromadzone są wyłącznie czerwone, na drugiej żółte, na trzeciej błękitne. Odbitki te nie różnią się niczem od zwyczajnych fotografii, przedstawiają tylko światła i cienie. Tu więc sztuka musi przyjść w pomoc; taką odbitkę przykładają na papierze, chemicznym sposobem przygotowanym, i powleczonym jednolitą farbą i umieszcza się znowu w foto-

graficznym przyrządzie. Działanie światła na papier zafarbowany modyfikuje się stosownie do światła i cieni obrazu, działania tego szczegółowo objaśniać nie będziemy, dość, że w końcu obraz daje się przenieść z największą dokładnością z papieru kolorowego na inny papier biały, do którego przylega farba, w miejscach właściwych i tym sposobem otrzymuje się odbitkę jednokolorową, zwaną *monochromem*. Dla otrzymania całkowitego obrazu, trzeba trzy monochromy, trzech barw zasadniczych, połączyć w jednej odbite. Dziś już wykonanie takich odbitek doszło do wielkiej doskonałości: trzy barwy jednostajne zlewają się harmonijnie w niezliczone odcienie, i oddają z nieporównaną dokładnością naturalne barwy odtwarzanych obrazów. Odbitki mogą być wykonywane w bardzo licznych egzemplarzach. Fotochromia szczególnie z wielkim powodzeniem zastosowana być może do reprodukcji malowideł i wszelkich dzieł sztuki; portrety i w ogóle wzory brane z natury, napotykają tu na trudność nie małą, przynajmniej przy sposobach dzisiejszych, gdyż odbicie każdego z tych monochromów daleko więcej czasu wymaga, aniżeli wykonanie zwyczajnych fotografii.

Nie tylko sztuki i rzemiosła, ale i gospodarstwo domowe nieraz naukę do pomocy przyzywa. Drożyzna mięsa daje się czuć coraz więcej w całej Europie. Tymczasem niezmiernie łąki i Pampasy amerykańskie obfitują w bydło i zwierzę wszelkiego rodzaju. Przewożenie żywego bydła, które się odbywa obecnie na wielką skalę, nadto jest trudne i kosztowne, mięso solone i marynowane nie może znów zadowolić wykwintniejszego smaku konsumentów. Podawano rozmaite sposoby przechowywania mięsa w stanie świeżości przez czas dłuższy, zawsze jednakże najskuteczniej w tym razie działa silny chłód. Wszak wiadomo, że mamut zagrzebany przez długie wieki pod lodami Syberyi, zachował w całości mięso, które dopiero w naszych czasach zostało przez psy pożarte. Idzie więc tylko o to, ażeby dostateczny stopień chłodu mógł być ustawicznie utrzymany w okręcie przeznaczonym do przewożenia mięsa. W tym celu i lód zwyczajny, który nie łatwo się topi na dnie statku, z dobrym skutkiem jest używany, o wiele jednak praktyczniejsem być może zastosowanie sztucznego chłodu, i taka właśnie jest metoda obmyślana przez Francuza Tellier'a. Urządził on okręt, charakterystycznie przewany, *le Frigorifique*, z osobną komorą, oziębianą za pomocą ulatniającego się nieustannie eteru metylowego, który się mieści w dużym naczyniu, zwanem frygoryferem; wentylator poruszany maszyną parową przepędza powietrze koło ścian frygoryferu i mocno oziębione tym sposobem, wpycha do komory mięsnej. Nie dość na tem, eter ulatniający się przechodzi następnie do pompy, gdzie zostaje zgęszczony i napowrót wtłoczony do frygoryferu, a tak jedna i ta sama ilość eteru, wystarcza na czas nieograniczony, gdyż ledwie jakaś drobna część ulotnić się może w skutek nie zupełnie dokładnej budowy przyrządu. Okręt *Frigorifique* zeszedł jesienią po raz pierwszy wypłynął z Marsylii do Ameryki południowej, wioząc z sobą na próbę zapasy mięsa we Francji zakupione; niezadługo spodziewany jest z powrotem. Wszystkie dotąd otrzymane wiado-

mości są bardzo pomyslnie i wróżą świetne powodzenie przedsięwzięciu. W czasie podróży załoga okrętowa żywiła się mięsem przechowywanem w chłodnej komorze, i mięso to do ostatniego dnia zachowało świeżość i smak tak wyborny, jak gdyby wprost od rzeźnika pochodziło. Przy końcu Lutego wyprawa przybyła do Buenos Ayres, i tu p. Tellier urządził ucztę, w której uczestniczył prezydent Rzeczypospolitej Argentynskiej i wielu znakomitszych obywateli miasta. Wszystkie potrawy mięsne przyrządzone były z tychże samych zapasów, przywiezionych z Francji, a licznie zebrana publiczność nie mogła zarzucić wybornej wołowinie i baraninie, przechowywanej w zupełnej świeżości od trzech miesięcy przeszło. Przedsiębiorca znalazł natychmiast czynne poparcie u rządu, zarówno jak u mieszkańców Rzeczypospolitej, mógł też niezwłocznie przystąpić do zakupu ogromnych zapasów mięsa, które okręt *le Frigorifique*, ma przewieźć wkrótce do Francji; akcyje wystawione w tym celu w Buenos Ayres, zostały pokryte gotówką w przeciągu dni kilku, przez bogatszych obywateli, idących za przykładem Izby, które przeznaczyły na ten cel sumę 5,000 franków. Takie powodzenie zachęci zapewne przemysłnych przedsiębiorców do urządzania wagonów chłodzących, na wzór okrętu *Frigorifique*, i z czasem kto wie, czy i Warszawa nie ujrzy na targach swoich amerykańskiej pieczeni. Przy wzrastającej drożyznie wiktuałów, niechże nas przynajmniej ta nadzieja cokolwiek pocieszy!

M. J. Z.

## ZAPISKI Z POBYTU W AMERYCE

Rogera Łubińskiego.

Ważność komunikacji. — Budowanie kanałów. — Kolej. — Subsydya rządowe. — Wielka kolej Transkontynentalna.

Mozolna to rzecz spisywać dzień po dniu to co się w podróży widziało, a nieznośna czytać takie dorywcze opisy, częstokroć bez namysłu, a prawie zawsze bez dostatecznej znajomości rzeczy skresłone. Postanowiłem więc podzielić się z czytelnikiem niektórymi tylko spostrzeżeniami opartymi na kilkoletnich studiach w czasie pobytu mego w Ameryce Północnej na licznych dokumentach i statystycznych wiadomościach tamże zebranych, które teraz dopiero do porządku doprowadzić mogłem.

Oklepane to i często powtarzane zdanie, że podróże horyzont umysłu rozszerzają.

To prawda, ale kto sobie życzy czytać z przyjemnością i korzyścią wrażenia z podróży, niechaj się do tego odpowiednio przysposobi. Sam zamknięty pomiędzy czterema ścianami pokoju, niech stara się zrozumieć usposobienie człowieka, który buja po nieprzejrzanym falach bezdenne go oceanu, lub przebywa tysiące mil dziewiczego kraju. O Ameryce całej, ani o Stanach Zjednoczonych, wypowiedzieć zdania ogólnego niepodobna, bo te ostatnie są krajem mającym przestrzeń większą aniżeli cała Europa razem wzięta, i jeżeli Amerykanin nie mógłby w kilku słowach wypowiedzieć zdania o zwyczajach w Peter-burgu i Madrycie, określić piękność kobiet Sztokholmu i Sycylii,

lub streścić stosunki ekonomiczne giełdy Londyńskiej i jarmarku w Niższym Nowogrodzie, tak też i mnie trudno o Stanach Zjednoczonych pisać dorywczo. Tu właśnie trzeba horyzont swej wiedzy rozszerzyć, od prostej wiadomości o egzystencji kraju, przejść do zrozumienia jego rozległości, rozmaitości obyczajów, różnorodności stosunków. Są tam cywilizacje istniejące od trzystu lat, jak Nowy York; są też stosunki ekonomiczne, wynikłe z osiedlenia się kilku rodzin na pustyni przed rokiem zaledwie, w domach z okrągłaków skleconych, o setki mil od najbliższego miasta. Wreszcie napotykają się tradycje, zwyczaje, narody całe, powołujące się na odwieczną swą egzystencję. Zwycięzkom Hiszpanom XVI wieku wskazywano ruiny miast kolosalnych już wtenczas nawet dziewiczymi lasami zarosłe. Niełatwo jest określić stanowisko tego olbrzymiego narodu, złożonego ze wszystkich pierwiastkowych i drugorzędnych rasy ludzkiej, żyjącego wśród najrozmaitszych okoliczności, którego jednostki dążą do najsprzeczniejszych celów.

To też pierwsze wrażenie, którego doznaje człowiek myślący, a które od początku do końca podróży mu towarzyszy, i z którym nigdy oswoić się nie może, jest wrażenie *podziwu*. Tu natura wielka, góry ogromne, rzeki olbrzymie, jeziora jak morza. Tu też i myśl potężniejsza, dzieła ręki człowieka zdumiewające, kanały olbrzymie, mosty najsmielej zbudowane, siła tu połączona jest z przebiegłością i twórczością nam zupełnie nieznaną i niepojętą. Tu niebo inne, ziemia inna, świat inny, nowy i wielki.

Czytając już tu na miejscu opisy Ameryki i Stanów Zjednoczonych niektórych rodaków i rodaczek, którzy z niepojętą śmiałością sądzą o tych krajach, wyglądając z okna jednego domku, na jednej uliczce, jednego miasta, ubolewam nad publicznością, której taką strawę publicystyka podaje, a sam mam zbawienną przestrożę, ażeby w ich tory nie wchodzić. Ktoby chciał poznać do głębi stosunki Stanów Zjednoczonych, ma taki ogrom pracy przed sobą, że życie ledwoby na to starczyło. Ja też nie odważam się na ogólniki, nie będę mówił, że w Ameryce „tak jest lub inaczej” — ale podając pewne szczegóły z życia i stosunków ekonomicznych niektórych miejscowości, pozostawiam czytelnikowi uzupełnienie tych wiadomości z innych źródeł lub na miejscu samem.

Główną trudnością dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych w postępie cywilizacji i zaludnianiu kraju, była i jest dotąd ogromna przestrzeń terytorium i wskutek tego nieprzezwyciężona trudność prostej i szybkiej komunikacji. Jak w ciele ludzkim najważniejsze i najuźniejsze organa połączone są wielkimi arteriami, po których pełnem tętnem życia bieży życiodajna krew, tak samo pojedyncze ogniska społeczeństwa, jeżeli nie są ściśle połączone ulatwioną komunikacją, zginąć muszą marnie. Bite drogi i mosty, kamienne zabytki rzymskich czasów, wskazują nam, jaką Rzymianie do tego przywiązywali wagę, jak w tem widzieli jedyną rękojmię zachowania swych rozległych posiadłości i torowania sobie drogi do coraz nowszych zdobyczy. W naszych czasach tylko nieświadomość kardynalnych wymagań społeczeństwa, może nie widzieć doniosło-

ści takich dzieł, jak most rzucony przez odnogę morską do Anglesca, przebiecie kanału Suezkiego, podwodna komunikacja Kaletańska, projekt linii do Indyj wschodnich, do Chin przez stopy Tatarskie, lub plan połączenia dwóch oceanów w Panamie, i upatrywać w nich tylko cele polityczne pewnych państw, chęć zysków kapitalistów, lub ambicję zdolniejszych inżynierów.

W tem dążeniu instynkt zachowawczy społeczeństwa, odbija się pod formą wymagań politycznych i handlowych, w rzeczy samej jest ono treścią i warunkiem samego bytu.

W Stanach Zjednoczonych znaczna ludność osiedliła się już przed laty wzdłuż wybrzeża Atlantyku po nad jeziorami, rzekami—ale te osady połączone komunikacją tylko wodną, z nieprzeliczonemi trudnościami walczyły i całe wieki czekaćby musiały na zaludnienie stepów, rozciągających się pomiędzy niemi. Nie będzie więc od rzeczy skreślić w krótkości obrazu działania rządu i obywateli usiłujących tę trudność przełamać, bo tylko z tego punktu wychodząc, zrozumieć można olbrzymi i gwałtowny wzrost państwa, zalanie pustyni ludnością, zamienienie lasów w żyzne pola, a to wszystko nie na przestrzeni mil kilkunastu i nie w długim przeciągu czasu, ale na tysiącach mil w ciągu naszego nieubiegłego jeszcze stulecia.

W początkach tego wieku przekopanie kanału łączącego jezioro Erie z rzeką Hudson, a tem samem z Nowym Yorkiem, a w skutek tego ułatwienie wywozu produktów żywnych wybrzeży jezior do tego miasta, podniosło je do stanowiska stolicy handlowej Nowego Świata, i dało pochop Stanom więcej na wschód posuniętych do pilnego zajęcia się kwestją komunikacji. Kraje te bogate w ziemię żyzną i wielkimi lasami pokryte, lecz mało zaludnione, nie były zdolne do przedsięwzięcia tak wielkich robót o własnych siłach i nie przedstawiały dostatecznej gwarancji dla zwabienia kapitalistów. W tym stanie rzeczy obywatele udali się z prośbą o wsparcie do rządu federalnego czyli centralnego w Washingtonie. Nie domagali się oni pieniędzy, ale żądali darowizny ziemi, któraby podnosząc ludność i dobrobyt Stanów pojedynczych, tem samem całej wielkiej Rzeczypospolitej pożytek przyniosła. Całe terytorium Stanów Zjednoczonych podzielone jest na mappach topograficznych na cztery kategorie: 1<sup>o</sup> Prywatne majątki. 2<sup>o</sup> Ziemię należące do pojedynczych Stanów. 3<sup>o</sup> Ziemię należące do rządu federalnego. 4<sup>o</sup> Obszary dla dzikich Indyan przeznaczone. Drugą kategorię pojedyncze rządy każdego z osobna Stanu sprzedają częściowo kolonistom i dochód ztąd na opędzanie wydatków publicznych obracają. Z trzecią kategorią rząd federalny tak samo postępuje. Na terytorium przeznaczone dla dzikich Indyan, wstęp białym ludziom zupełnie jest wzbroniony, a czasami jest i niemożliwy, bo dzicy na każdej skórze krwawo wynagradzają sobie utratę swych odwiecznych gruntów polowania. Powyższe więc Stany, a mianowicie Ohio, Indiana, Illinois, Michigan i inne udały się do kongresu zasiadającego w Washingtonie, z prośbą o darowanie na cel publiczny ziemi, do rządu federalnego należącej, położonej w tych Stanach. Wskazując korzyści dla ogółu wynikające z wykonania w kraju robót większych rozmiarów, obywatele

ei przypominali zarazem, jak ogromne summy Stany nadmorskie od rządu w obecnych czasach otrzymywały, aby otworzyć i zabezpieczyć porty swoje i uregulować rzeki do nich spływające. Zdrowa polityka przedstawicieli narodu poparła prośby współobywateli. Znaczne obszary ziemi nadane zostały prywatnym kompaniom Stanów do wykonania robót. Co większa, nowy ten sposób wspierania pożytecznych przedsięwzięć instytucji krajowych, darowizną ziemi, pozostającej bez użytku w ręku rządu, raz wprowadzony w użycie, odtąd w każdej ważniejszej potrzebie znajdował zastosowanie; tak na przykład, dla podniesienia wychowania narodowego oddawano w Zachodnich i Zachodniopółnocnych Stanach na własność szkoły pewną część ziemi w każdej nowotworzącej się gminie. Tak też subwencyonowane są gdzieś niedługo zarządy pocztowe.

Ledwo Stany powyższe rozpoczęły budowę swych kanałów, a już ludność sąsiednia szczególnie emigracya europejska rzuciła się do nich skwapliwie, bo praca w ekonomii politycznej jest towarem, który się tam gromadzi, gdzie najłatwiejszy i największy odbyt znajduje. Nowi przybysze zniewoleni taniocią gruntów nad kanałami położonych, które kompania im sprzedawała, i urodzajnością ziemi, zamieniali się w stałych mieszkańców, a kraje te w krótkim czasie zaludnione i wzbogacone, do pierwszorzędných Stanów Unii zaliczone zostały.

Ale celich przez to nie był jeszcze całkowicie osiągnięty. Ludność skupiała się około komunikacji wodnej, więc oddalone stopy nie znajdowały chętnych mieszkańców, bo sprowadzenie ztamtąd zboża za wielkie przedstawiało trudności. Przeprowadzenie kanałów w wielu miejscach napotykało fizyczne przeszkody, których Stany już i tak wycieńczone poprzedniemi ofiarami pokonać nie mogły. Zastój i upadek finansowy groził na wszystkie strony, gdy świst parowozu aż tu doleciał i kolej żelazna powszechnie zyskała uznanie. W pewnem poważnem amerykańskim dziele napotkałem ciekawę pogląd o tem zjawisku społeczno-naukowem w historii, że wynalazki ludzkie idą w prostym stosunku do nowo budzących się potrzeb życia społeczeństwa. Autor dowodził, że koleje dla tego właśnie w owym czasie odkryte zostały, ażeby zbawić naprężoną finansową sytuację Stanu Illinois. Nie wdając się w rozbiór powyższego dzieła, ani rozszerzając nad ciekawą kwestją, czy wynalazki są skutkiem potrzeb prawdziwych, czyli też potrzeby dają się czuć dopiero po dokonaniu wynalazków, na to jednakże zgadzam się w zupełności, że w żadnym kraju tak dokładnie nie pojęto ogromnych rezultatów wynalazku żelaznych kolei, i nigdzie także, śmiało to twierdzić można, nie przyniosły one tak zdumiewających korzyści i tak olbrzymich nie przybrały rozmiarów, jak w Ameryce.

Stan Illinois przed laty dwudziestu kilku przewodniczył w ruchu budowania kolei. Uznając potrzebę rozciągnięcia na wszystkie strony sieci komunikacyjnej, ażeby prawdziwą korzyść przynieść krajowi, prywatna kompania przeprowadziła linię z licznemi odnogami od rzeki Ohio ku północy do jeziora Michigan przez najżyźniejsze chociaż nie zaludnione stopy. Ażeby podnieść kredyt tej kompanii, nadano

jej wszelkie gwarancje i przywileje instytucji krajowej, a zarazem w kongresie domagano się dla niej znacznej subwencji rządowej. Petycja, którą podano wówczas w imieniu tejże kompanii, zasługuje na uwagę; była bowiem rzeczą zupełnie nową, zaznaczyła epokę w gospodarstwie krajowem, podług niej wszystkie późniejsze redagowane były. Domagając się dońcacyi ziemi, leżącej na linii zamierzonej kolei, kompania proponowała zarazem rządowi, aby podwyższył w dwójnasób cenę pozostałych gruntów federalnych, rozciągających się po tą linią, a zapewniając, iż kupców nie zabraknie, dowodziła, jak ogromne korzyści wykonanie takiego przedsięwzięcia przynieść może rządowi, zarówno jak pojedynczym Stanom.

Jeżeli dawniej kongres nie odmawiał subwencji do przeprowadzenia kanałów, których rozprzestrzenienie w kraju musiało być z natury rzeczy ograniczone, a które jednak korzyści tak wielkie przyniosły, czyż teraz mógł odmawiać czynnego poparcia tak zbawiennej myśli? Prawo przeszło przez obie izby. Kompania w skutek tego mogła wprowadzić swoje akcje na giełdy krajowe i europejskie. Po największych wysileniach pracy i finansów, koleje połączyły żelaznemi swemi ogniwami oddalone punkta kraju. Stan Illinois stał się najbogatszą prowincją Unii pod względem produkcji zboża, a nędzna wioska nad jeziorem Michigan, przy końcu linii kolei położona, zamieniła się w największy na świecie targ zboża, bydła i żelaza, zatrzymując swe dawne nazwisko Chicago. Ten przykład był aż nadto dostateczny. Subwencye tego rodzaju posypały się w Stanach Wisconsin, Minnesota, Michigan, Missouri, Kansas, Arkansas i innych, w wielkiej dolinie Mississipi. Znowu emigracya europejska rzuciła się w te strony, zwabiona taniocią gruntów, i łatwością przeprowadzenia produktów na sprzedaż, przynosząc z sobą jeżeli nie zawsze pieniądze, to przynajmniej wytrwałą pracę, bo rząd i towarzystwa kolejowe dawały im grunta na korzystne wypłaty. Stany, których położenie ekonomiczne nie było świetne, zawrzały nowym, pełnym życia ruchem. Tym to sposobem, te społeczeństwa od wczoraj zrodzone podniosły się szybko do takiego rozwoju, pod mądrym bezinteresownym rządem federalnego państwa, które w łatwości komunikacji upatrywało kardynalny warunek bytu politycznego i społecznego Unii całej.

W tej krótkiej wzmiance o powstaniu i rozgałęzieniu się sposobów komunikacji w Stanach Zjednoczonych, zbliżamy się do najważniejszej, najciekawszej chwili i do największego dzieła w tej mierze ręką ludzką dokonanego. Stany Zjednoczone podzielone były dawniej na Stany Wschodnie leżące na wybrzeżu Atlantyku północno-wschodniem; Stany południowe gdzie po większej części istniała niewola murzynów; i wreszcie stany zwane Zachodniemi, ciągnące się aż do brzegów rzeki Mississipi. Przyłączenie Kalifornii do Unii przeniosło miano Zachodnich do Stanów leżących za górami Skalistemi po nad wybrzeżem Oceanu Spokojnego. Kiedy w Kalifornii pierwsza gorączka złota przeminęła, kopalnie oddalonego zachodu (Far-West) nie tylko nie wyczerpywały się, ale coraz to większe plony wydawały, a zbiegowie z całego świata zżęceniu opowiadania mi o bajecznych ilościach drogiego kruszcza, osia-

dali tu, stając się spokojnymi i stałymi mieszkańcami. Komunikacje prywatne i rządowe musiały przybierać coraz większe rozmiary. Podróże odbywały się już to na około całej Ameryki morzem, już to przez przesmyk Panama, już to przez pustynie stałego lądu konno lub wozami, ciągnionymi przez woły lub muły. Wszystkie te sposoby podróżowania ze znaczną stratą czasu i z większym jeszcze niebezpieczeństwem życia połączone były. Całe karawany emigrantów ginęły z głodu lub braku wody na pustyni. Krocie ludzi chciwych tonęły ustóp przyładka Horn. A jednak nowe państwo nad Oceanem Spokojnym wzrastało i zaczynało zawiązywać stosunki handlowe z tą stroną świata, która była celem ambicji wszystkich wieków i wszystkich narodów, z Indyami Wschodnimi i Chinami. Do tych to krajów Kolumb szukał drogi, kiedy się przypadkiem potknął o nowy ląd. Fernando Cortez, który pomimo błędów swoich znakomitemi zdolnościami był obdarzony i bystrym poglądem od razu objął potrzeby nowo odkrytej ziemi, chciał przekopać kanał przez całą szerokość Meksykańskiego państwa i nieprzebyte jego góry, aby otworzyć drogę swym galerom do Indyi. Amerykanie oprócz miejscowych swych potrzeb, czuli, że handel świata całego z dwóch stron do nich się mógł skupić, domagając się gwałtownie połączenia Wschodu z Zachodem. Znalazł się wreszcie w Kalifornii człowiek przedsiębiorczy, Leland Stanford, który karierę swoją rozpoczął jako prosty ślusarz, i doszedł będąc jeszcze w sile wieku, do własnego składu żelaza. Zmierzył on trudności nieprzewyciężone prawie przedsięwzięcia, i z nieprzepartą siłą woli, z niepospolitą śmiałością postanowił stawić czoło wszystkim przeszkodom. Z jego to inicjatywy dokonane zostało olbrzymie dzieło noszące nazwę: *The Grand Central Pacific*.

Rząd federalny przyszedł w pomoc kompanii, na której czele stanął Leland Stanford, i obdarzył ją niezwłocznie żadaną subwencją, w gruntach leżących wzdłuż projektowanej linii kolei. Grunta te jednak znajdowały się na oddalonych pustyniach lub w górach wyniosłych; nie łatwo było znaleźć na nie kupców, lub kredyt pozyskać na ten rachunek. Kompania miała tedy czekać długie lata, a dzieło te zwłoki nie cierpiało. Lecz kongres uczynił więcej jeszcze; z funduszu państwa pożyczając kompanii w formie prostej prywatnej pożyczki i z zastrzeżeniem pewnych warunków summe 64,618,832 dollarów, czyli 323 milionów franków. Dzięki tej polityce państwa, zaufaniu, jakie to dzieło sobie zjednało wskutek energicznego prowadzenia, i tysiącom Chińczyków, którzy do robót sprowadzeni zostali, w pięć lat zaledwie od rozpoczęcia robót już pierwszy pociąg przebywał przestrzeń dzielącą Boston od San-Francisco.

Na pytanie, czy rząd federalny na tem cośkolwiek utracił, odpowiedzą najwymowniej cyfry. Komitet rządowy, *ad hoc* ustanowiony 24 Lutego 1871 r., zdał raport przed senatem Stanów Zjednoczonych, który może być streszczony jak następuje. Koszta przewozu rządowych transportów drogą lądową w ciągu całego czasu od nabycia posiadłości nad Oceanem Spokojnym aż do skończenia powyższej kolei, wynosiły przeszło 8 milionów dollarów (40 milionów franków) na rok. Koszta od czasu skończenia

kolei wynoszą 5 milionów rocznie, a zatem dają oszczędności 3 miliony dollarów. To wyrachowanie na tej podstawie dokonane zostało, że procenta od pożyczonego kapitału miały być wypłacane kosztem przewozu tych transportów. Zwracamy uwagę na to, że teraz transporta rządowe o tyle się zwiększyły, iż oszczędności państwa obliczone roku zeszłego, wynosiły 6 milionów dollarów.

Pomimo tych nadzwyczajnych powodzeń, które wślad za subwencjami rządowymi spotykały prywatne kompanie i zmieniały postać kraju, głosy zawistne odezwały się w prassie w ostatnich czasach przeciwko temu systematowi. Ta niechęć pewnego stronnictwa powstała nie tyle z powodu samego systematu, ile z powodu nadużyć, których towarzystwa od czasu do czasu się dopuszczały. Nikt nie zaprzeczy, że towarzystwo wielkiej kolei Transkontynentalnej nadużyło swej władzy i przeważającej powagi finansowej w kraju, że za transporta towarów kazało sobie nieraz płacić bajeczne summy bez obawy współzawodnictwa, że na passażerów nakładało opłatę jednakową za podróż z San-Francisco do Omarka lub do Nowego Yorku, że przekupstwem nawet umiało trafić do kongresu, gdy potrzebowało zjednać sobie większość głosów. Przymieszały się także i nieczemniejsze głosy zawiści, na widok ludzi, którzy z ubogich kupców stali się naraz bogaczami i na miliony swe dochody obliczali. Ale pomimo tego, jeśli ci przemysłowcy uczciwym sposobem do majątku doszli, kraj cieszyć się z nimi powinien, bo jest to rzeczą niezawodną, że bez porównania więcej otworzyli źródeł bogactw i samego dobrobytu w około siebie, aniżeli sami zarobić mogli. Nadzieja zarobku jest bodźcem do pracy, a takie nadzwyczajne wysilenia zasługują na stosowne wynagrodzenie. To towarzystwo energią swoją zapisało najpiękniejszą kartę w dziejach amerykańskich przedsiębiorstw.

Wzbogacając się, ludzie ci dokonali zarazem dzieła, które się stało dobrodziejstwem dla całego kraju, niemal dla świata całego, gdyż otworzyli nową drogę dla handlu obu półkuli. Śmiało też twierdzić można, iż tacy przemysłowcy chlubniejszą po sobie zostawili pamięć w kraju, aniżeli pierwsi zdobywcy, którzy mieczem i pożogą niszczyli całe narody, a nie zgoła nie czynili dla pożytku tej ziemi, tylko krwią ślady swoje na niej znaczyli.

## KORRESPONDENCYA.

*Z Petersburga, 1-go Czerwca 1877 r.*

*Morski kanał między Kronsztadem a Petersburgiem. — Liczba kursujących okrętów i ilość przewożonych ciężarów. — Kwestya zachowania lasów. — Nowy rodzaj paliwa. — Niezwykłe mrozy. — Dochody miasta. — Potrzeba opodatkowania przedmiotów zbytku. — Znaczniejsze ofiary na cele dobroczynne. — Pięciomilionowy dar kupca Timenkowa. — Wspomnienie o hrabiance Orłowej. — Nowe dzieło Zegimela o filantropii społecznej. — Towarzystwo zachowania zdrowia powszechnego. — Muzeum higieniczne. — Liczba chorych i zmarłych w ciągu zeszłego roku.*

Między Petersburgiem a Kronsztadem buduje się morski kanał, mający umożliwić dojście do samej stolicy tych wielkich kupieckich okrętów, które obecnie dla braku wody w zatoce Fińskiej, muszą się zatrzymywać w Kronsztadzie, i tam na mniejsze statki towary swe przeladowywać.

Jak wielkie znaczenie kanał ten mieć będzie dla handlu tutejszego, można sądzić z trwającego tu zawsze ogromnego ruchu w przewożeniu towarów i w ogóle ciężarów różnego rodzaju. Liczba tak przychodzących do Petersburga jak i odchodzących stąd corocznie okrętów dochodzi do 5,700, różnych zaś statków i tratów do 45,000. Okręty te i statki dostarczają do stolicy i zabierają stąd około 300 milionów pudów różnego rodzaju ciężarów. Dodajmy 100 milionów pudów ciężarów dostarczanych do Petersburga i zabieranych stąd przez pociągi czterech kolei żelaznych: Warszawskiej, Moskiewskiej, Bałtyckiej i Finlandzkiej, a otrzymamy bardzo poważną liczbę—400 milionów pudów—wyrażającą roczny ruch ciężarów, w obrębie stolicy, co stanowi więcej miliona pudów dziennie. Liczba ta nie pokaże się przesadzoną, gdy przypomnimy, że Petersburg utrzymujący znaczny handel zewnętrzny, potrzebuje oprócz tego niemało produktów dla siedmset-tysięcznej swej ludności, spożywającej, na przykład, samego tylko mięsa około 4 milionów pudów rocznie.

Nie tylko zatoka Fińska, ale i niemało rzek w Cesarstwie cierpi od mielizny, rok rocznie powiększającej się i przedstawiającej dla spławu statków wielkie niedogodności. Przypisują to, nie bez zasady, wyniszczeniu lasów, a więc kwestya zachowania istniejących i zasiewania nowych lasów stoi na porządku dziennym. Powiadają, że jest projekt wprowadzenia pewnych ograniczeń w wyprzedaży lasów przez prywatnych właścicieli, z zobowiązaniem ich zaprowadzenia prawidłowej leśnej gospodarki. Zresztą w niektórych guberniach, sami właściciele ziemscy, przewidując groźne w przyszłości następstwa od wyniszczenia lasów, zwrócili się do wyższych władz rządowych z prośbą o wyjednanie prawa, obowiązującego towarzystwa kolei żelaznych i parostatków, używanie dla maszyn parowych wyłącznie mineralnego paliwa. Chociaż pokładów tego ostatniego rodzaju paliwa obecnie nie braknie, nawet dochodzą wieści o coraz to nowych odkryciach, (np. w gubernii Nowgorodzkiej niedawno odkryto pokłady torfu na przestrzeni 4,800 dziesięcin), jednak niektórzy ekonomiści i przyrodnicy wyrażają obawę, że przy istniejącym porządku rzeczy, wszystkie znane dotąd na ziemi materiały palne mogą się w przyszłości wyczerpać. Dla tego to z radością powitano odkrycie przez zamieszkałego w Petersburgu Amerykanina p. Szandora, zupełnie nowego rodzaju paliwa. Na brzegach Wołgi, w gubernii Samarskiej, p. Szandor zwrócił uwagę na grunt tak mocno nasycony naftą, że porobione z niego cegielki, nazwane przez wynalazcę *ziemią naftową*, i sprzedające się na miejscu po 5 kop. za pud, stanowią paliwo, przydatne nie tylko dla maszyn parowych, ale i dla zwyczajnych pieców w domach mieszkalnych, o czem świadczy zarządzona dla zbadania tego wynalazku specjalna komisyja. Kwestya paliwa mocno wszystkich zeszłej zimy zajmowała, bo od Października do Marca mieliśmy stałe i niezwykle srogie mrozy, przy doskonałej sannej drodze, prawie nieprzerwanej odwilży w ciągu pięciu miesięcy; 10-go zaś Grudnia termometr Réauma wskazywał 30 stopni niżej zera, a w niektórych cyrkulach stolicy, bliżej wody położonych, np. w ogrodzie Botanicznym, mróz dochodził tego



dnia do 33½ stopni. Tak srogiego zimna nie bywało w Petersburgu w miesiącu Grudniu od 123 lat; tylko w roku 1868 podobny mróz czuć się dawał w miesiącu Styczniu. Można sobie wyobrazić, ile od takich chłódów ucierpiała biedna klasa ludu, bo chociaż municypalność stolicy ofiarowała kilka tysięcy rubli na zakupienie paliwa dla najbiedniejszych mieszkańców, lecz była to kropla w morzu.

Municypalność tutejsza nie jest wprawdzie głucha na wszelkie krzyczące potrzeby, ale też nie może być i zbyt hojną, bo ogrom różnorodnych wydatków miasta, całkowicie pochłania roczny dochód. Petersburg liczy obecnie około 10,000 domów, oszacowanych na 300 milionów rubli. Znaczne podniesienie ostatnimi czasy pobieranych z tych domów podatków (co z kolei podniosło cenę komornego), oraz podatek opłacany za prawo pracy przez robotniczą klasę ludu (wyrobników, stróżów, służących i t. p.), zwiększyły dochody miasta do sześciu milionów rub. sr. rocznie. Łatwy to, ale nie zasługujący na uznanie sposób powiększania dochodów. Byłoby nierównie słuszniej, aby municypalność tutejsza opodatkowała przedmioty zbytku, jak to w innych wielkich miastach oddawna się praktykuje. W Petersburgu liczy się naprzykład około 35,000 koni, z których 10,000 służy do własnego użytku właścicieli. Wtedy gdy 14,000 wozniców używających 25,000 koni do powozów publicznych płaci miastu podatek, prywatni właściciele koni, posiadający ich dla osobistej wygody, wolni są od wszelkiej opłaty. Dodajmy do tego ogromną ilość psów pokojowych, karmionych łakociami, i wiele innych podobnych słabostek ludzi majątnych, a przyjdziemy do przekonania, że opodatkowanie na korzyść miasta przedmiotów zbytku, mogłoby znacznie wpłynąć na zmniejszenie podatków od pracującej klasy mieszkańców.

O ofiarach tutejszego miasta, z powodu rozpoczętej na Wschodzie wojny, wiecie już z gazet codziennych; pozostaje mi więc zanotować tu kilka darów osób prywatnych na różne dobroczynne cele. Generałowa Marya Krasowska ofiarowała 6,000 rs. na urządzenie jednego stypendyum, po 300 rs. rocznie, w tutejszej szkole budowniczej. Radea Stanu Jerzy Kozłowski ofiarował kapitał przynoszący 3,000 rubli rocznego dochodu, na urządzenie pięciu trzysturublowych stypendyów dla studentów: Petersburskiego, Warszawskiego, Kijowskiego i Dorpackiego uniwersytetów, oraz pięciu dwusturublowych stypendyów dla uczniów: Wileńskiego, Mińskiego, Mohylowskiego i Witebskiego gimnazyów. Pozostające rocznie 500 rubli, mają być wydawane na pomoc kończącym kurs nauk stypendystom. Zmarła generałowa Katarzyna Polakowa, przekazała na różne dobroczynne cele 162,000 rs., z których 105,000 rs. na ochronki dla dzieci i szpitale dla starców, 46,000 na stypendya w różnych wyższych naukowych zakładach Petersburga i Moskwy i 11,000 rs. na cerkwie. Ale najznaczniejszą ofiarą stanowiącą epokę w historii dobroczynności krajowej jest wspomniany poniżej dar kupca Timenkowa.

Zmarły w roku 1871 bogaty petersburski kupiec, z profesji wekslarz, Andrzej Timenkow, jeszcze za życia ofiarował pięć milionów rubli na zbudowanie i utrzymanie Domu Miłosierdzia na tysiąc osób. Według woli ofiaro-

dawcy, zakład ten dzieli się na dwa przytułki: dla ubogich starców i dzieci płci obojej. Jeden z nich, już wprowadzony w życie, daje pomieszkanie, stół, odzież i w ogóle całe utrzymanie pięciuset starcom, którym dostarczają się różnorodne, stosowne do sił każdego zajęcia, z pozostawieniem zarobku na korzyść pracujących. Drugi przytułek ma być otwarty dla pięciuset najuboższych sierot, które obok całego utrzymania, odbierać będą wychowanie i naukę. Dzieciom udarowanym szczególnymi zdolnościami, dawane będą środki do ukończenia nauk w uniwersytetach i wyższych specjalnych zakładach naukowych. W Styczniu roku bieżącego została ukończoną i poświęconą należąca do tych przytułków cerkiew. Budowy te, wzniesione wśród gaju, przy prawym brzegu Newy, w części miasta zwanej *Wyborską stroną*, zajmują przestrzeń około 2,000 sążni kwadratowych. Koszt poniesiony i jeszcze oczekiwany na zbudowanie wszystkich gmachów tego olbrzymiego zakładu, ma wynosić półtora miliona rubli, zatem trzy i pół miliona rs. stanowi nietykalny kapitał, którego procenta przeznaczone są na utrzymanie całego zakładu.

Gdy już zaszła mowa o ofiarach na wielką skalę, nie od rzeczy będzie wspomnieć o zmarłej przed trzydziestu laty hrabiance Annie Orłowej-Cześmińskiej, która cały swój majątek wynoszący około 3¼ milionów rs. zapisała częścią na cele dobroczynne, najwięcej zaś na uposażenie klasztorów i cerkwi. Miała zrzeczność widzieć kopię sporządzonego w Nowgorodzie w roku 1848, ciekawego jej testamentu, którym przekazała: 300,000 rs. wdowom i sierotom, 100,000 rs. sługom swym i oficyalistom i około 2,850,000—greko-rossyjskim klasztorom i cerkwiom w całej Rosyi, najznaczniejszą jednak sumę, 300,000 rs. klasztorowi Św. Jerzego w Nowgorodzie.

Ludziom interesującym się sprawami filantropii, a interesować się niemi powinni wszyscy, zalecamy nową pracę p. Zegimela, w języku rossyjskim, wydaną pod tytułem: *Spółczesna filantropia Europy i Ameryki*. Niedawno ukazał się pierwszy zeszyt tego dzieła, zaznamiający czytelników z dobroczynnością Londynu. Dowiadujemy się, że w stolicy Anglii istnieją obecnie 23 kategorie różnych dobroczynnych stowarzyszeń, utrzymujących 1035 zakładów, których roczny dochód stanowi 3,377,810 funtów szterlingów, t. j. więcej niż 25 milionów rs. Według słów p. Zegimela, filantropia Londynu kieruje się tą zasadą, że rozdawanie jałmużny szkodzi celom prawdziwej dobroczynności, bo rozwija próżniactwo i że zatem główna uwaga powinna być zwrócona na środki uprzedzające nędzę. O stanie dobroczynności w Rosyi, autor tą razą zlekka tylko nadmienia, zaznaczając niektóre ujemne strony; najbardziej się uzala na mały rozwój w tym przedmiocie literatury i statystyki, gdyż przy braku jawności, ogół nieraz nie wie nie tylko o działalności, ale nawet o istnieniu niektórych dobroczynnych stowarzyszeń; ofiarodawcy zaś pozostają w wątpliwości, kto mianowicie najbardziej potrzebuje pomocy i najwięcej na nią zasługuje. Zresztą, ostatnimi czasy, niektóre z pism codziennych dopomagają w tem publiczności; ogłaszając adresa osób dotkniętych nędzą wyjątkową.

Niedawno, staraniem osób prywatnych, utworzyło się tu *Towarzystwo zachowania zdrowia po-*

*wszechnego*, mające na celu: 1) badanie przyczyn różnych chorób, 2) usunięcie szkodliwych dla zdrowia wpływów, zwłaszcza pochodzących od chorób epidemicznych i zaraźliwych, 3) okazywanie zakładom rządowym i prywatnym pomocy w roztrząsaniu różnych zadań w przedmiocie higieny, 4) urządzenie higienicznych zjazdów, wystaw i muzeów i 5) rozpowszechnienie potrzebnych o higienie wiadomości, za pośrednictwem publicznych odczytów i tanich wydawnictw. Towarzystwo to ma się składać z nieograniczonej liczby członków płci obojej, bez różnicy narodowości i stanów. Chociaż wypracowany na takich zasadach projekt ustawy, oczekuje jeszcze zatwierdzenia rządu, jednak częściowe urzeczywistnienie projektu już nastąpiło i 20 Stycznia roku bieżącego otworzono dla publiczności *Hygieniczne muzeum* składające się z pięciu oddziałów, mających na celu dotykane okazanie wpływów, jakie na nasz organizm wywierają: powietrze, woda, pokarm, grunt i odzież. Że wszystkie podobne przedsięwzięcia zupełnie są na dobie, wymownie o tem świadczą statystyczne wiadomości o chorych i umarłych. Według zapewnienia dziennika *Zdrowie* (Zdorowje), w ciągu zeszłego 1876 roku, w publicznych leczniczych zakładach Petersburga, znajdowało się 67,879 chorych płci obojej, z których 8,096 osób umarło, pomimo że żadnych epidemij nie mieliśmy. Ze wszystkich chorób, tyfus okazał się najzłotliwszym, bo zabrał najwięcej ofiar (1225 osób). A iluż jeszcze leczyło się i umarło w domach własnych! Zbytecznie byłoby dowodzić, że procent śmiertelności znacznieby się zmniejszył, gdyby nauka higieny nie była obca ogółowi i wszędzie zajmowała wydatne stanowisko w rządzie niezbędnych każdemu nauk elementarnych. A. D.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Wspomnienia Kaukazu p. St. Jaworskiego, Poznań 1877 r. Szkice podróży po Słowacyi Henryka Mildner'a, Kraków 1877 r.—Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego. Warszawa 1877 r.

W wydanym obecnie pierwszym tomie *Wspomnień Kaukazu*, autor obiecuje nas zaznajomić z miejscowością, w której lat kilkanaście przebywał. Cudzoziemcy opisywali już nieraz owe pasma gór, ciągnące się od Czarnego do Kaspjskiego morza, gdzie w samotnej ustroni, palą się jeszcze wieczne ognie ostatnich wyznawców Zoroastra; u nas wszakże bardzo pobieżnie je wspomniano, a jednakże piękne te kraje i lud ich dzielny, zasługują na uwagę, tem więcej, że obecnie połączone zostały z Europą linią kolei żelaznych. Natura uposażyła je hojnie we wszystkie plody ziemi. Według stopnia położenia i temperatury, rozwija się tam bujnie roślinność dwóch stref umiarkowanych. Wspaniałe sosnowe i jodłowe lasy szumią nad wesołemi dolinami, gdzie słowik śpiewa zwieszony na laurowej gałązce i wysmukłe cyprysy strzelają w niebo. Winnice pnąc się po górach, oplatają cieniste wiązy, wiatr szeleści liśćmi orzecha, jaworu i drzew daktylowych, a rododendron i: *azalea pontica*, w najcudowniejsze rozkwitają kwiaty...

Dalej bogate plantacje dostarczają tytoniu, bawełny, szafranu, indygo, marzanny i trzciny cukrowej, a prócz tego, krajowcy sprzedają

jedwab, ryż, migdały, jęczmień, proso i pszenicę...

Właściwy Kaukaz dotyka stepów południowej Rosyi i łączy się z łańcuchem Araratu, pasmem gór wyniosłych. Odznacza się tam jako śmiały wytwór wulkaniczny, góra Dzin-Padiszach czyli *Król Duchów*, tak nazwana przez górali z powodu, że stare podanie mówi, iż jary jej i przepaście prowadzą wprost do Dzinnistanu (krainy duchów) gdzie mieszka starożytny Zimurğ, bóg ptaków. Jednym okiem patrzy on w przyszłość, a drugim przeszłość ogarnia. Gdy na skrzydłach swych buja w powietrzu, drży ziemia, wichry wyją, dziko szumią potoki, morze się wzdyma, a huk bałwanów budzi duchy uspięne w otchłaniach. Czasami jęki i narzekania synów ziemi odbijają się o tron mądrego ptaka proroka; wtedy ucisza się szumy lasów, kwiaty smutnie pochylają głowy a gór wierzchołki, na znak żałoby, kryją w chmurach śnieżne swe korony. Gdy zaś przy dźwięku harf tysiąca dojdą słucho bożka odgłosy hymnu szczęścia błogosławionych, niebo przybiera lazuruową barwę, na błyszczących górskich wyżynach, niby złote myśli, odbijają się promienie słońca, szum bystrego strumienia przechodzi w szmer rozkoszny, a kwiaty wydają woń tak lubą, jak oddech cudnych wrózek Wschodu — Peri — wiecznie młodych i pięknych...

Wiele jeszcze legend podobnych, dowodzących poetycznej jego fantazyi, opowiada lud góralski. Fantazyę tę pobudzać mogą zresztą łatwo obrazy wspaniałej do koła przyrody. Jednym z uderzających jej zjawisk jest na przykład Aszperońskim, tak zwana ziemia ognista, na straży której zamieszkuje kilku Gwebrow. Miejsce poświęcone ich obrzędowi religijnym, obwarowane jest murem śnieżnej białości, z po za którego wznoszą się wysoko cztery słupy ogniście, przyświecając jasnym drogowskazem zbłąkanym wśród nocy żeglarzom. Wszędzie w około dobywają się również płomienie z rozpadlin ziemi, tak że z daleka, osobliwie w nocy, zdaje się jakoby cały kraj gorzał w ogniu. Ognie te pochodzą z gazu palnego, wychodzącego na wierzch przez szczeliny wapiennego gruntu.

Kraj kaukazki zamieszkały jest przez różnorodne plemiona, pomiędzy temi lud gruzyjski odznacza się pięknoscia i siłą. Kobiety szczególnie jaśniej tu niepospolitą urodą. Cywilizacya wszakże tak potężny wpływ wywiera na zewnętrzne formy, że Gruzycy nie mogą walczyć o lepsze z europejskimi kobietami. Napróżno bowiem szukać u nich tej duchowej piękności, gdzie rozum i uczucie odbija się w wejrzeniu. Twarz kobiety europejskiej, jakkolwiek nieraz niepiękna, zachwyca wymową spojrzenia, wyrazem i grą fizyognomii. Gdy przeciwnie Gruzycy, ołsniewającej nieraz urody, gasnie przy bliższem rozpatrzeniu. Lubo w ogóle autor podaje same ujemne strony moralnego charakteru ludów kaukazkich, pomimo to wszakże z niektórych rysów przytoczonych przez niego jak gdyby od niechcenia, wnosić można, że górale ci posiadają również szlachetne wrodzone przymioty, a mianowicie wielką prawosć i gościnność, czyniącą świętą i nietykalną osobę każdego, co próg ich przestąpił, chociażby ten był nawet śmiertelnym wrogiem. Waleczność ich w boju uwy-

datniała się w krwawych zapasach, których Kaukaz był niedawno widownią. Kobiety nawet dawały wtedy dowody odwagi i pogardy śmierci, jakich w wojnach europejskich nie bywa przykładów. Zdarzyło się, że w czasie jednej bitwy broniły przystępu do góry, na której się obwarowały, gdy zaś nieprzyjaciele wdzierać się tam poczęli, postanowiły zginąć, przyprawivszy ich wprzód o znaczną stratę. Jakoż poruszyły odłam skały i stoczyły go w końcu na oblegających, a następnie same skoczyły w przepaść. Wzięcie do niewoli Szamila zakończy wojnę i pierwszy tom *Wspomnień*. P. J. K. Żupański, wydawca ich, obiecuje wkrótce dwa tomy następne, w których znajdzie się pewnie opis dzisiejszych stosunków miejscowych.

*Szkice z podróży po Słowacyi* malują pobieżnie mało w ogóle znaną krainę Słowaków rozciągającą się na południowym stoku Karpat, których pełne majestatu i grozy widoki, przypominają najpiękniejsze obrazy Alp i Pireneów, a wnętrze ukrywa prawdziwie zaklęte skarby; nikt bowiem nie pokusi się o wydobywanie marmuru, soli, żelaza, a nawet złota, mającego się tam znajdować, nie chcąc ryzykować na to znacznych kapitałów. Uboga ludność słowacka, spiera się nieustannie z Węgrami, pragnącymi zatrzeć ślady jej odrębnej narodowości, i obstaruje przy języku swym i obyczajach, lecz nie ma środków starania się o materialne korzyści. Lód jedynie wytwarzający się w jaskiniach, jest przedmiotem handlu okolicznych mieszkańców. Całemi wagonami rozsyłają go do Wiednia i Pesztu, a mimo to nie ubywa go nigdy, coraz bowiem nowe tworzą się pokłady w słynnych jaskiniach Demanowskich, pełnych obok tego najpiękniejszych stalaktytów. Niema dotąd pewnych danych, na którychby opierać można sposób tworzenia się owego lodu, jedni powiadają, że działanie promieni słonecznych na sklepienie groty, podczas suchych i skwarnych dni letnich, sprawiając mocne parowanie części wodnych, znajdujących się po nad nią w ziemi, oziębia tak gwałtownie cienkie skaliste jej sklepienie, że unoszące się z dołu pary wodne, dotknawszy go w lód się zamieniają. Inni znów utrzymują, że te naturalne zbiorniki lodu, utrzymują się tak, jak nasze sztuczne lodownie, będąc doskonale zabezpieczone od przystępu zewnętrznego powietrza. Pieczara Dobszyńska w malowniczych okolicach Popradu, której wnętrze zbadane dopiero przed kilku laty, lubo od wieku wiadano o jej istnieniu, najwięcej lodu wytwarza; tam wszakże nie poruszają go wcale, aby nie psuć wewnętrznego układu groty, która jest najpiękniejszą ze znanych tego rodzaju miejscowości w Europie. Widok jej przy oświetleniu magnetyzowego światła, z niczem nieporównane czyni wrażenie. Arabskie powieści z *Tysiąca i jednej nocy* mogą tu prawdziwe znaleźć zastosowanie. Na wielkiej płaszczyźnie niby zamarzonego jeziora alabastrowej matowej białości, wznoszą się wspaniałe filary z przejrzystego kryształu, podpierające sklepienie zasiane brylantowemi gwiazdami. Ściany pokrywają równie kryształy różnorodnych kształtów, które do koła wyrastają z ziemi, to jak ostre słupy z gotyckimi wieżyczkami, to jak olbrzymie muszle, to wreszcie zwieszają

się w powietrzu jak mrozem ścięte kaskady. W jednej stronie kryształowa altana, zachęca do spoczynku; w innej znów pieczara przybiera kształt kaplicy, poświęconej samotnemu rozmyślaniu; przejrzysta lodowa zasłona przedziela ją w końcu, zakrywając oczom zdumionego wędrowca dalsze jej dziwy. Wspominając o nich, autor *Szkiców* zachęcić pragnie współziomków do zwiedzania tych cudów przyrody, istniejących w pobliskiej krainie. Zamieszcza w końcu przewodnik, którym kierując się, wyjechawszy z Mikolasz, stolicy Słowacyi, leżącej w romantycznej dolinie po nad Wagiem, przebiedziesz można kraj cały bez wielkich kosztów i trudów, zwiedzając wszystko co widzenia warte. Ponieważ zaś przy każdym kościele tamiecznym, mieści się zwykle skarbiec, w którym przechowują archiwa kościelne i rodzinne, jako dokumenta do historii Węgier i obcych krajów, wnosi stąd, że nasi badacze przeszłości znaleźby mogli pomiędzy niemi niewątpliwie materiały odnoszące się do historii polskiej.

3 Po zrzeczeniu się przez margrabiego Wielopolskiego zapisu s. p. Konstantego Świdzińskiego, spadkobiercy tego ostatniego, przelewając jego zbiory naukowe do biblioteki Ordynacyi Krasieńskich, jednocześnie zobowiązali się wnosić corocznie z dóbr spadkowych pewną sumę na utrzymanie owych zbiorów i wydawnictwo zawartych tam skarbów rękopiśmiennych. Okoliczności, w których wyszczególnienie wchodzić tu nie uważamy za stosowne, spowodowały były dość długą zwłokę w wypłacie owych kwot bibliograficznych, a tymczasem Ordynat Władysław hr. Krasieński, własnym nakładem wydawał do zgonu corocznie gruby tom *Biblioteki Ordynacyi Krasieńskich*, która względnie do zapisu Świdzińskiego stanowiła niejako dalszy ciąg *Biblioteki Ordynacyi Myszkowskiej*. Atoli po zgonie s. p. Ordynata Krasieńskiego, spadkobiercy Konstantego Świdzińskiego złożyli całą za ubiegłe lata należność w summie około 5,000 rub., i tym sposobem powstał nareszcie fundusz odrębny na wydawnictwo w myśl zasłużonego krajowi zbieracza pomników ojczyznej umysłowości. Z tego funduszu wyszły już przedtem dwa nowe tomy *Biblioteki Ordynacyi Krasieńskich*, noszące drugi tytuł: „Muzeum Konstantego Świdzińskiego,” a zawierające w jednym korrespondencyę wielkiego wojownika J. K. Chodkiewicza, w drugim szacowne materiały do dziejów ekonomicznych Polski. Obecnie z tegoż funduszu mamy wydany tom trzeci.

S. p. Władysław Chomętowski, który będąc bibliotekarzem zbiorów Ordynacyi, prowadził od początku całe wydawnictwo *Biblioteki*, z wyjątkiem jednego tomu opracowanego przez Dra I. Janickiego, zamierzał w trzecim z kolei tomie „Muzeum Świdzińskiego” zamieścić dalszy ciąg korrespondencyi Chodkiewicza, a mianowicie listy do niego pisane, których znaczny już zasób miał przygotowany do druku. Atoli śmierć tego zacnego pracownika musiała nieodzwownie spowodować niejaką mitręgę i zwłokę w skompletowaniu i przygotowaniu rękopismu do druku. Nowy zatem bibliotekarz zbiorów Ordynacyi, wspomniany powyżej p. Janicki, pragnąc nie uchybić terminu corocznego wy-

dawania *Biblioteki*, odłożył owe listy do Chodkiewicza na czas późniejszy, a skorzystawszy z nabytego do zbiorów Ordynacji po drukarzu Jaworskim gotowego do druku rękopismu pamiętników z wieku XVII, wydał go obecnie jako tom trzeci „Muzeum Świdzińskiego.”

Tom ten ma tytuł specjalny: *Pamiętnik Jana Władysława Poczubuta Odlanickiego (1640 — 1684)*. Przepisał go z nieczytelnego autografu s. p. Leon Potocki; on też opatrzył rękopism licznymi notami, zwłaszcza genealogicznymi z Niesieckiego i geograficznymi z własnej znajomości okolic zamieszkania autora w Wilkomierszczyźnie i Ormiańszczyźnie. J. I. Kraszewski dodał wstęp opisujący powierzchowność i treść wewnętrzną starej księgi, z której ów pamiętnik wyjęto, oraz pobieżne zestawienie nielicznych szczegółów życia prywatnego Poczubuta, rozproszonych w pamiętniku lub całkiem tam pominiętych. Nareszcie p. Janicki dodał szczegółowy spis rzeczy, wielce ułatwiający historykowi korzystanie ze znajdującego się w księdze materiału, tudzież dopiłnował naukowego przyobleczenia go w sukienkę druku. Tym sposobem wynurzyło się na świat jedno z najcenniejszych źródeł do rzetelnego poznania owego zagadkowego w naszych dziejach wieku XVII, o którym, mało go znając, tyle powierzchownych ćwiczeń historyzoficznych opisano.

Poczubut, kto wie czy nie dziad sławnego astronoma, mniej był wykształcony od współczesnego sobie Paska, mniej zwiedził świata, mniej doznał przygód; lata więc koło ziemi i jest od niego jednostajniejszy. W gruncie rzeczy jednak Poczubut jest jeżeli nie rodzony, to już co najmniej stryjeczny brat Paska: takie tu podobieństwo fantazyi, pocziwego serca, wichrowatej głowy, sposobu zapatrywania się na rzeczy, a nawet wysłowienia. Za ledwo skończywszy trzy niższe klasy, w 18-m roku życia już rusza na wojenkę, gdzie długie lata spędza wśród niesfornych towarzyszy; pomimo najlepszych intencji i ciągle powtarzając: „daj Jezu szczęśliwie,” dokazuje nie zawsze przykładnie. Pod tym względem studium nad Paskiem i nad Poczubutem, może więcej nauczyć o powodach i drogach upadku oświaty zyguntowskiej w kraju, aniżeli najkrasomówniejsze wywody teoretyczne. Oświata upadła, bo się nie uczono; Poczubut, który mógł zajaśnieć jako poeta, mówca lub dziejopis, tyle w nim daru wystawiania rzeczy, nie nauczył się nawet po łacinie, bo już chłopięciem poszedł do Infant na Szweda. Człowiek z natury słodkiego charakteru i delikatnego poczucia słuszności, wyrabia się w atmosferze wojennej na zawadykę, pojedynkowicza, gnębiciela Żydów—i zapewne wicherzyciela na sejmikach. Jeżeli nieraz na kartach pamiętnika błyska jeszcze słoneczny promień powodzeń orężnych, lub fajerwerk dowcipu w opisie biesiady z „po-bratymcami,” natomiast serce się kraje, czytając raz po raz dowody rozprężenia, niekarności, sprzysiężenia żołďactwa, uwięźzonego śmiercią męczeńską hetmana Gosiewskiego.

Opis tego zgonu stanowi jedną z najpiękniejszych, a zarazem najżałośniejszych kart „Pamiętnika” Poczubuta. Stało się to nie 25 Grudnia, jak chce Kochowski, a za nim inni, lecz dnia 28 Listopada 1662 r., pod Ostryną w Lidzkim, na drodze z Wilna, gdzie porwa-

no Gosiewskiego, do Wołpy w Kobryńskiem, gdzie było gniazdo spiskowych. Ostatnie chwile nieszczęśliwego podskarbiego i hetmana wielk. litewskiego tak opisuje autor:—Zatrzymawszy lektykę, rozkazali wysiąść z wozu, powiadając krótką, a straszną oracyę: „że całego wojska jest wola taka, abys już Waszmość nie żył.” Na co odpowiedział nieboszczyk Jmć. pan podskarbi: „Dla Boga! Mości panowie bracia, proszę chciejcie mnie prowadzić do wojska, niechaj mię sądzą; jeslim co winien, sam ściagnę szyję moją pod miecz katowski, gdyż ja będąc hetmanem tak wiele lat, najmniejszemu pacholiku bez sędzi nie stracił, a Waszmość panowie mnie, hetmana, tak chcecie zabijać?” Odpowiedzieli: „Już to być nie może inaczej; dysponuj się Waszmość kiedy chcesz, masz i kapłana, bo my dalej certować racyami z Waszmością nie będziemy.” Dopieroż nieboszczyk rzekł zapłakany: „Nie może być inaczej, Mości panowie, nie może, nie może!” A obróciwszy się do swoich przytomnych, tak wiele rzekł: „Bądźcie łaskawi bracia, widzieć jako hetman umiera.” A wtem przykłęknąwszy, z kwadrans albo pół godziny dysponował się. Potem krzyknęli na księdza: „Nie baw popie, bo się i tobie dostanie.” Tak szumnio kazali. Tamże ksiądz ledwie kłusem odbiegł od pomienionego Jmć pana podskarbiego, któremu *Dies irae* mówiącemu w łeb strzelono. Gdy padł na ziemię, drugi raz w pół uderzono z pistoletu, i tak nieszczęśliwie wieku swego, przez złych synów zapamiętałego sumienia i przez złą radę, dokonał. Któremu daj Jezu wiekuistą światłość...

Innych stron „Pamiętnika” dla krótkości nie poruszamy, choć byłoby się nad czem rozwodzić. Nabytek to ważny dla historii, a wydany bardzo troskliwie i ozdobnie, jak na to ze wszech miar zasługiwał.

## BRACIA RYWALE,

OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA WIEJSKIEGO  
z XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

Dawno też byłby kasztelanie Muchomory porzucił—lecz tak pobitemu i skonfundowanemu jawnie, trudno od jechać było. Z lekkomyślnością paniczykową, nie bardzo wiedząc co począć, obrachował, że puszczenie szmermela będzie zemstą najlepszą. Siedziała trochę na uboczu pani strukczasyna, mocno wykrywana, którą z postawy wnosząc, brał za osobę wielkiego tu wpływu używającą. Przystąpił więc do niej.

Bogu tylko jednemu wiadomo było, jak ją tem uszczęśliwił.—Nie pojmowała dotąd, jak takiej dystynkei kawaler mógł w niej nie poznać osoby swojego świata i wychowaniem sobie równej. Z radości drgnęła aż, wyprostowała się mocniej jeszcze, i wdzięcząc się a wachlując, odezwała:

— Co też to pana kasztelanica na tę pustynię

zagnało? Bo to... dobrzy ludzie—ale pustynia!! i parafia!! Al! al! Proste, dobroduszne kreatury... nie to, do czego ja i pan nawykliśmy...

Kasztelanie rozsiadł się tak szeroko i swobodnie, jakby był u siebie w domu, i bawiąc się dewizką od zegarka, począł:

— Pani dobrodziejko... jeśli się nie mylę... strukczasyna...

— Tak jest... z Olgierdowiczów Pomorska... tak jest... z Olgierdowiczów.

Skłonił głową kasztelanie.—Pani dobrodziejko, —ciągnął,—co mnie tu sprowadziło,—fama oczu panny Rewnowskiej...

— O te bałamuty! bałamuty!—zasłaniając się wachlarzem, szeptała strukczasyna. No i jakże te oczy? czy uczyniły impresyę?

— Zabójczą! okropną... Strzała utkwila mi w sercu...

— Już pan ją czuje?

— Pani wie,—wejrzenie jedno i po człowieku!! miłość przychodzi jak piorun!!

— Tak! tak! słyszałam to nieraz... Mówił mi to niegdyś pan Podskarbi koronny... który...

Uśmiechnęła się skromnie...

— I on i wy wszyscy,—dodała z melancholią strukczasyna,—wszyscy bałamuci! Nikomu wierzyć nie można. Wyjedziesz pan kasztelanie kilka mil i inne oczy, a miłość nowa wypędzi pierwszą impresyę.

— Bardzobym rad żeby się tak stało,—mówił kasztelanie,—bo—śmiertelnie jestem zakochany, a panna, jak uważam, sroga i nie łaskawa...

— Cóżes asindziej chciał, żeby zaraz mu affektem odpowiedziała?

— Choćby grzecznością...

Strukczasyna pochyliła się ku niemu, aż woń pudru jej i różnych ingrediencyj toaletowych go zaleciała.—Między nami mówiąc trochę dzika... niezbyt okrzęsana... Wychowanie jej dano takie... Ja dopiero się chcę nią zająć..

Kasztelanie westchnął przesadnie...

— Polecam się względem pani... O! te oczy! te oczy!!

Uszczęśliwiona zaufaniem kawalera, strukczasyna dała mu znak porozumienia głową i szepnęła:

— Będę mu służyła...

Kasztelanie wstał... Tego mu dosyć było.—Rzucił strzałą Parta, zostawiał za sobą nadzieję, że powróci—i że się rozmiłował na seryo. Mścił się tym sposobem, bo nie wątpił, że to głowy pozawracać miało i wszelkie rachuby na niego skierować.

Zyskać sobie Pocięja takiej szlachcianeczce, toć było przecie szczęście nie lada!

Przez cały ten wieczór przemęczył się Wacek, okrutną zazdrość i gniew obudzał w nim ten kasztelanie we fraczku, od którego piżmo czuć było; oprócz tego do panny Konstancyi przystęp był trudny. Rozpytawszy się o starościnę, od której przywiózł list, panną unikała go. Za drugim razem gdy się spotkali, a Wacek wdychać począł, i miał począć rozmowę o sobie—zapytała go—o brata.

— Brata mojego nielaska pani wypędziła,—rzekł Wacek—a gdzie i dokąd ona mnie pchniel to Bogu wiadomo!

Niby nie postyszała panna Konstancya. Młody Matuski i inni sąsiedzi ciągle ją brali do

tańca, a że unikała kasztelanica, szła chętnie z niemi, Wacek ani się mógł docisnąć.

W końcu już zdesperowany, gdy kasztelanica też odjechała zły i kwaśny, stanął Paczura pod oknem, ręce zwiesił i tak—patrzając na nią, skamieniał jak posąg. Smutno nań było spojrzeć, tak z twarzy mu biła rozpacz... i smutek. Już dobrze było późno, gdy zlitowawszy się nad nim panna Konstancya rękę mu podała, wybierając do przetańcowania. Rzucił się jakby go różczką czarodziejską dotknięto, poweselał, ale po chwili rzucono go i znowu został—sam jeden. Gonił oczyma uciekającą, gdy skrzyпки jakoś ustały, i panna idąc odpocząć usiadła około niego. Złożyło się tak, iż w bliskości niktogo nie było coby mógł podsłuchiwać. Mężczyźni poszli się chłodzić na ganku, kobiety z sobą szczebiotały...

— W istocie pana starościna do tej podróży namówiła?—zapytała Konstancya...

— Al! panno Konstancyo dobrodziejko,—zawołał Wacek,—alboż mnie do tej podróży namawiać było trzeba? Ja tam w tej pustyni wytrzymać nie mogłem. Wolałbym tu za parobka służyć, niż tam panować...

— Cóżbys pan na tem zyskał?

— Patrzałbym na panią,—rzekł Wacek.

— Wszak pan słyszałeś, com mu raz mówiła? To się odmienić nie może,—odezwiała się poważnie panna Konstancya,—nie może!!

— Pozwól mi pani choć łudzić się i spodziwiać.

Zamilkła panna i wachlowała się chusteczką.

— Gdybys mi pani powiedziała, że inny jest szczęśliwszy, żeś pani uczyniła wybór...—rzekł Wacek po chwili.

— Cóżby to pomogło!—szepnęła panna,—jam panu mówiła, nigdy za mąż nie pójdę, bo nie mogę. Mocne to moje postanowienie. Wiem że stryjostwo wydaćby mnie chcieli—ale mnie przymuszać nie będą...

Ze spuszczonej oczyma mówiła to spokojnie i powoli.

— Takie moje przeznaczenie!—dodała.

— Ale powód?..

— Powodu panu powiedzieć nie mogę,—przerwała panna Konstancya. Sprzyjam mu mocno... wdzięcznam mu za dobre serce dla mnie... proszę byś pamiętał o mnie... ale zarazem abys gdzieindziej szczęścia szukał... tu—tu pan go próżno będziesz czekał...

— Jakto? nawet mi pani zostać nie pozwalasz!!

— Bronić nie mogę—proszę...—mówiła, wahając się panna Konstancya. Mówią, że u mężczyzn uczucia te prędko przechodzą, pan pojedziesz, zapomnisz i—będziesz szczęśliwy... Ja panu tego z serca życzę!

Mówiła i głos jej drżał przejęty—wstała potem żywo i uśmiech kłamany na usta przywoławszy, pobięła do sędziny. Wacek siedział jak wkuty.

— Niechże to kto zrozumie!—mówił w sobie.—Zdaje się życzliwa. Gdy mówi,—czuję, że nie gniewa się na mnie, a odpędza... To oszaleć trzeba...

Zamyślił się Wacek co ma czynić.

— Zostanę,—rzekł w duchu,—niech choć poprobuję, co Bóg da to da, zawsze będzie czas iść precz.

Nazajutrz strukczaszyzna z wielkimi ceremoniami, w tajemnicy największej powierzyła

sędzinie sekret kasztelanica, — kasztelanica się kochała; od pierwszego wejrzenia śmiertelnie był ranny—i niezawodnie się mógł ożenić. Cóż to za szczęście byłoby dla rodziny Rewnowskich, skoligacić się tak, taką partyę znaleźć dla sieroty...

Ktokolwiek wie, jak u nas wielką do rodu i związków familijnych przywiązywano wagę, nie zdziwi się tem, że sędzinę sama ekspektatywa takiego mariażu niesłychanym sposobem uniosła i wyegzaltowała. Uwierzyła strukczaszyźnie i miłości bałamutnej kasztelanica.

Strukczaszyzna podniosła głowę ku sufitowi, rękę jedną po nad głowę i ramionami ruszyła.. w milczeniu... Sędzina się kręciła niespokojna. Co tu było począć?

Pobiegła do męża...

Sędzia siedział u siebie czytając z Warszawy nadesłaną jedną z tych gazetek *à la main*, które przepisywane naówczas, po kraju całym krążyły, gdy żona weszła z rumieńcami na twarzy, po których nawykł był poznawać, że albo ją co bardzo ucieszyło, lub mocno rozgniewało.

— Co ci to, mój aniele?—spytał.

Stanęła mała pani sędzina naprzeciw męża, ręce założyła na piersiach i niema poczęła długo patrzeć na niego.

On cierpliwie czekał.

— A co?—bąknęła.

— Co? co? A toż to, kochanie ty moje najdroższe, bąka strzeleliś takiego... ale takiego.

— Ja? bąka?

— Tak—ty... Wiesz! kasztelanica się chce żenić z Kostusią. Oświadczył to strukczaszyźnie! A tyś sobie ręce związał tym Wackiem... Oślupiały słuchał sędzia.

— Kasztelanica chce się żenić z Kostusią! Oszalała baba! Co jej takiego! kasztelanica? ależ on nie emancypowany, a kasztelan dumny pan, prędzej by mu dał pod fraczek sto odlewanych, niż żonę szlachciankę... Al! to mi się podoba!

Sędzina, istota łatwo się dająca przekonać, czarno i biało, zmieszała się.

— Strukczaszyzna—poczęła...

— Strukczaszyzna tylko o romansach myśli, marzy i mówi. Coś jej się przysniło...

— No—toż się da widzieć,—przerwała nieco zwątpiwszy sędzina,—o to idzie, aby się z tym Wackiem nie śpieszyć, kasztelanica musi się przecie starać—aby się wystarał.

— A no—zobaczmy! a ja—ja asindźce mówię—przez imaginację wyjechała na koronację, tej kobiecie zawsze świta w głowie...

— O! już bo jegomość a starosta co na kobiety nie wymyśla! Uszy wędzną...

— Zobaczmy!—dokończył sędzia,—zobaczmy. Da się widzieć!

Żona wyszła—ale sędziemu klin zabity nie ustąpił z głowy...—Kasztelanica! Pocięje! Rewnowscy z Pocięjami! Co za liść wspaniały na genealogicznem drzewie... Rozum jednak powiadał, że z tego nic być nie mogło...

Wszelako—z Wackiem Paczurą był ostrożniej, unikał rozmowy i trochę się stał chłodniejszym. Wacek zaś, mając pozwolenie dawne, siadł jak na rezydencji.

Micka supponowała, że jej czarne oczy mogły też nie być bez wpływu; z czego daleko domyślniejsza Rózia śmiała się do rozpuku, bo już wiedziała dobrze o co chodzi...

Wacek polował, jeździł, stękał i siedział. Z panną Konstancją ani się już mógł rozmówić, unikała go widocznie.

W półtora tygodnia, gdy nikomu, oprócz strukczaszynej, nie był na myśli kasztelanica, ujrzano jego konie—przyjechał... Sędzia się zdziwił bardzo.

— Co u kaduka! czyby ta baba miała istotnie z nim taką konfidencyę?...

Gdy dano znać sędzinie o przyjeździe, wbiegła do Kostusi, poczęła ją całować, śmiać się, i zapowiedziała jej przybycie konkurenta. W tej chwili spojrzała na nią, Konstancya jak trup była blada i drżała jak w febrze...

— Jezu miłosierny! co ci to jest?

Podano wody—ale panna wnet do siebie przysła. Nim sędzina dalsze mogła rozpocząć badanie, schyliła się do nóg jej i z uczuciem błagalnym szepnęła:

— Matusiu moja!—gdyż tak mi się nazywać pozwalasz,—matusiu, ja proszę, ja modłę,—pozwólcie, bym do niego nie wyszła...

— Do kasztelanica!—zawołała z rozpaczą sędzina.

— Matusiu kochana—jest dla mnie wstrętliwy—to lalka nie mężczyzna... Dla czego mam się męczyć? Niech wie, że ja go nie chcę, jeśli ma jakie zamiary... i niech sobie z Bogiem jedzie...

Sędzina chciała jej prosić—ale Konstancya poczęła ścisnąć, całować, łasić się jej, ulitowała się więc—i jak zawsze była łatwą i dobrą, przystała na to, żeby powiedzieć, iż chora...

Ledwie z tem wyszła, gdy w sieni spotkała strukczaszyinę, śpieszącą na konferencyę o stroju:—Wystaw sobie—wyjść za nie nie chce za nie!—zawołała, łamiąc ręce...

Obie natychmiast powróciły nalegać, ale—Kostusia była niewzruszona, odmówiła wręcz strukczaszyźnie.

— Już to ja do panny Konstancyi szczęściem się pochwalić nie mogę,—westchnęła urażona staruszka. Cóż tedy? Jak sobie kto pościele... Wyszła stara gniewna, mówiąc w duchu:—Przewrócona głowa! Głupie dziewczę... Na to niema ratunku...

Kasztelanica, który sądził, że drugą tą bytnością wywoła wrażenie niezmierne, i będzie miał zręczność zabawiania się z piękną panną, o dalszych następstwach nie myśląc,—z razu oczekiwał apparycyi, pochlebiał sobie, że fioki na jego intencyę pannę zabawiły tak długo—wreszcie, gdy mu oznajmiono, że chora, a strukczaszyzna minę pewną zrobiła, mocno to uczuł. Doszedł jednak, i znalazł zręczność rozmówienia się na osobności z protektorką.

— To są kaprysy,—szepnęła mu stara,—fonfry! panna widać kim innym zajęta, a sędziostwo dają jej sobie dogadzać... wszelkim kaprysom!! Nie chora... jako żywo...

Ruszyła ramionami... Kasztelanica zarumienił się z gniewu i apprensji, pierwszy raz w życiu afront go taki spotykał... Gotowało się w nim zemsty pragnienie, — ale na kim ją tu wyrzucić było?... Piękna panna, co go tak nielitościwie odpychała, jeszcze mu się wydawała piękniejszą... jeszcze pożądanszą...

Ukrywając w sobie to wzburzenie, kasztelanica pozostał dłużej umyślnie. Po raz drugi zbliżył się do strukczaszynej, ciekawy dowiedzieć się, kto mógł być jego rywalem. Jejność nie wahała mu się wyrazić podejrzenia

iż Wacek Paczura, mizerny szlachetka, mógł być tym— wyraziła się— preferowanym.

Na pierwsze spojrzenie już kasztelaniec czuł jakiś wstręt do tego wąsatego gładysza w czarzarze. Nie powiedział ani słowa... zabawił do wieczora, i wyjechał. Wacek powracał tą samą drogą z lasu, którą kasztelaniecowi już po nad wieczor przebywać było potrzeba...

Gościńcic to był piaszczysty, szeroki, lasem otoczony do koła, wyjeżdżony przez chłopskie wozy, szukający sobie lżejszej drogi... Wacek szedł bokiem ze strzelbą na ramieniu... Zdała po koniach poznał wracającego kasztelanica... Pocięj też zobaczywszy go, ponieważ piasek był spory, pod pozorem ulżenia koniom, wyskoczył i pieszo skierował się ku lasowi, obrachowawszy, że się spotka z Paczurą. Sam dobrze nie wiedział, na co się to zdało, ale buta podrażniona wiodła go do zaczepienia szlachetki.

Z dała kilka razy się zmierzli oczami, a że Wacek nie był mu osobiście znany, tylko go widział kręcącego się po pokoju,—witać go nie myślał. Skręcił nieco w las... Kasztelaniec, któremu to było nie na rękę, zdjął kapelusz...

— Za pozwoleniem,—rzekł,—zdaje mi się, że miał przyjemność...?

— Tak jest, spotkałem pana kasztelanica w Muchomorach...

Skłonił się Wacek zimno.

— Ja właśnie ztamtąd powracam,—odezwał się kasztelaniec, śmiejąc się żartobliwie. Nie miałem dziś szczęścia, bom panny Konstancyi nie widział, a nie taję, że dla niej szczególnie się wybrałem, piękna bo panna! Jak pan znajduje?

Zdziwiony tą rozmową, Wacek się zasepił.

— Znajduję jak wszyscy, że panna Konstancya Rewnowska piękna jest bardzo,—ale dziwi mnie tak lekka mowa o niej.

— Pana to dziwi? — roześmiał się kasztelaniec, jakby szukał przyczepki,—a mnie to dziwi, że pan się dziwuje! he? Co pan na to?

Wacek stał dalej, już nie wiedząc co mówić.

— Za pozwoleniem pana kasztelanica — rzekł,—ja nie dobrze rozumiem...

— A! pan nie rozumie! — począł się śmiać sucho kasztelaniec, — pan rozumieć nie chce? he? co?

— O co panu idzie? — zimno odezwał się Wacek.

Pocięj zmierzył go od stóp do głowy oczyma, przystąpił bliżej i rzekł cicho:

— Pan niema ochoty...

I ręką wskazał fechtowanie.

— Owszem,—odparł Wacek,—dla czegoż nie? tylko nie widzę racy!

— A gdy komu ręce świerzbią? to nie jest racya? — zapytał Pocięj.

Wacek głową dał znak potakujący.

— Pan się bijesz na szpady? — spytał Pocięj.

— Biję się i na szpady — cheć na szable wolę...

— Na szable nie służę... Szpad i rapirów zawsze parę mam z sobą... a gdybyśmy...

Odwrócił się do służącego i mrugnął. Ten już dobywał dwa rapiry równe, które nigdy Pocięja nie opuszczały. Z gracyą podał jeden przeciwnikowi Pocięj, zrzucił frak i stanął. Wacek, nie wiedząc za co i dla czego ma się bić, troszkę się śmiejąc w duchu z napastnika, a nie wiele wając te żelaza, które naówczas

z pogardą rożenkami nazywano, — postawił strzelbę pod drzewem, zakasał rękawy, rozpiął suknię i czekał...

Przez ciekawość raczej niż z potrzeby, oba oni z bratem probowali się na szpady fechtować—ale Wacek nie miał wprawy. Zdawało mu się, że to rzecz i łatwa i w porównaniu do szabli—igraszka. Naprzeciw niego stał przeciwnik znany z wielkiej biegłości i fechtmistrz jakich mało.. Zaledwie się złożyli, Pocięj poczuł z kim miał do czynienia, zwyciężyć a nawet zabić antagonistę było dlań igraszka; począł więc przyskakując, odsakując, odsadzając się, parując, koląc z gracyą, chyżością i wprawą taką, że Wacka nim się opamiętał, dotknął kilka razy, aż krew trysnęła—na ostatku z wielkim śmiechem, wytrącił mu szpadę z ręki i kolnął go w bok tak, że mu z prawej strony po nad żebrami skórę na wylot przeszły. Wacek chwycił się za bok—lecz nadto był silny, aby go to obalić mogło... Nim się opamiętał co czynić z krwią ubiegającą, co z kasztelanicem, spostrzegł, jak ten mu się skłonił, z rąk sługi wziął frak, poskoczył ku powozowi i skinął na woźnicę, aby jechał.

Tuman pyłu wznosił się na gościńcu... i kasztelaniec znikł mu z oczu.

Długo nie mógł przyjść do siebie Wacek... Opatrzył się... miał cztery pchnięcia, a z tych jedno zdawało się groźnem... bok przebity nie głęboko wprawdzie, krwawił mocno... Zawiazanie na prędcie chustką nie wiele pomogło... Paczura lękał się osłabnąć i paść; pospieszył więc co prędzej ku dworowi... W pochodzie istotnie parę razy słabo mu się zrobiło. Spojrzawszy na siebie, postrzegł, że cały był krwią obmazany... Chciał się cofnąć właśnie, bo w tej chwili wchodził w dziedziniec, gdy sędzia zastąpił mu drogę... Krew na odzieży przerażiła go.

— A to co! — krzyknął...

Wacek się uśmiechał.—Nic... nic...

— Przypadek? strzelba? zwier? mówże! — wołał sędzia, i nie czekając odpowiedzi, począł krzyżeć: — Jest tam kto? — Po cyrulika! Jest tam kto?

Głos, którym się Rewnowski rzadko odzywał, bo zwykle mówił cicho i spokojnie, cały dwór na ganek i podwórze ściągnął.

Najpierwszy przypadł Hadziakiewicz, bo gdzie krzyk było słyhać i zamieszanie, a hałas się wszczął, nigdy go tam nie brakło... Zobaczywszy krew, wnet począł nie pytając rozdziewać rannego, aby dojść do źródła... stało się to tak szybko, że nim Wacek pomyślał o obronie, ten już go rozpiął, opatrzył, ręką machnął i zawołał:

— Nic,—szelma jestem—mizerya! od rożna.

Sędzia stał nie rozumiejąc... Sędzina z dała zobaczywszy okrwawionego, biegła ręce łamiąc.—Co się stało? Tuż za nią panna Micka, Rózia, ks. Sobrański, w ganku stary o kijach Rewnowski... biegli, stawali coś widząc i domyślając się straszego, a nie mogąc dopytać, co się stało?

Napadano milczącego Wacka pytaniami do koła, ten jeszcze rozmyślał, przyznać się czy zmilczeć.—Utaić pojedynku nie było podobna... Hadziakiewicz krzychał na cały głos:

— Ale nie! furda! No cóż? co? pokłóli się rożenkami... Szach! mach... i tyle—zalepi się, zasklepi... i nic... Jak Pana Boga Kocham...

— Rożenkami? z kimże? gdzie?

Wacka na pół niemego prowadzono na ławę w ganku... Siadłszy, począł się uśmiechać...

— Spotkałem się w lesie z kasztelanicem,—miał ochotę próbować się ze mną na szpady... Odmówić nie było podobna.

— I naszpikował! — wołał Hadziakiewicz,—naszpikował,—ale to nic. A jemuż się co do stało?

— Nie wiem,—rzekł Wacek.

Zawiazywano rany,—i przestach pierwszy przechodził, gdy panna Konstancya wyszła niespodzianie na ganek, o niczem nie wiedząc. Spostrzegła bladego i okrwawionego Wacka... krzyknęła i zapomniawszy się, przypadła ku niemu z takim wyrazem rozpacz i bólu, że przerażona sędzina pochwyciła ją, obawiając się, aby nie omdlała. Nie była to zwyczajna litość dla ranionego obojętnego człowieka, w tym krzyku i zmienionej twarzy łatwo mógł poznać każdy, że Wacek nie był jej obojętnym..

Nie postrzegła się biedna panna Konstancya z razu, iż zdradziła serca tajemnicę, nie zawstydzila się, ale przypadając ku siedzącemu, począła wołać z wyrazem niemal rozpaczliwym: —Zabity!

— Duszeczek... aniolku! — opamiętaj się... ale zmiłujże się... nie mu nie jest... lekko ranny,—wołała sędzina.

Wacek wstał chwytając ją za rękę wzruszony... Nie wyrwała mu jej... stała odrętwiona, zwolna przekonała się i z mowy Wacka i z twarzy przytomnych, że nie było niebezpieczeństwa, dopiero rumienić się począła, cofnęła krok i zakryła oczy...

— Ranny? — spytała głosem cichym... —ale któż pana ranil?

— Żartem—tak—probowaliśmy się z kasztelanicem.

— Żartem? z kasztelanicem? — powtórzyła panna Konstancya, — żartem? — Spojrzała na otaczających,—krew? niema niebezpieczeństwa?

— Najmniejszego! — wykrzyknął Hadziakiewicz.—Co to to! jakby szpilką pokłóty! furda! Jednakże Wackowi dosyć krwi upłynęło, blady był i poprosił, aby go do jego pokoju zaprowadzono. Sędzina zamysłona wzięła za rękę Konstancyę i weszła z nią do dworu... Mężczyźni ciągle się spodziewając wyjaśnienia jakiegoś—pociągnęli za rannym...

Panna Konstancya w milczeniu doszła z sędzina do swojego pokoiku, tu padła na krzesło, i zakrywszy twarz chustką, rzewnie płakać zaczęła..

Biedna Rewnowska stała nad nią z niecierpliwością doświadczonej niewiasty, która wie, że się trzeba dać wyplakać, nim się badać zacznie. Powtarzała tylko pół głosem niekiedy: — Ale moje dziecko!

I podawała jej wodę w szklance.

— Napij się—to cię orzeźwi...

Żyły tymczasem nie ustawały... Długo czekać było potrzeba, dopóki panna Konstancya nie uspokoiła się nieco. Podniosła zapłakane oczy ku sędzinie, i pocałowała ją w rękę...

— A! pani! co teraz ludzie powiedzą o mnie! Milczała zapytana długo..

— No, cóż tam—co tam mają mówić? Złękaś się... Zresztą dawny znajomy, razemeście się wychowali...

Przeszła się po pokoju sędzina.

— Między nami mówiąc—mój aniele, chyba wy się kochacie? Hm! moja duszko, toż wiesz, my przeciwko temu nie mamy nic... Uspokój się. Sędzia sobie życzy tego mariażu... ja twojego szczęścia pragnę...

Ręce złożywszy, porwała się z krzesła panna Konstancya.

— A, moja najdroższa pani—matko kochana—za nic w świecie! ja za niego iść nie mogę!

Sędzina stanęła tak zdziwiona, iż uszom wierzyć nie chciała, patrzyła na nią wielkimi oczyma, jakby nie rozumiała.

— Tak! al! tak!—kończyła Konstancya,—ja iść za niego nie mogę, ale nie pójdę za nikogo..

— Tego to ja już nie rozumiem, duszeńko moja,—z cicha, łagodnie poczęła sędzina,—ale, uspokój-no się— wytłómacz...

Na rozpłomienionej twarzyczce panny Konstancyi znać było egzaltację i poruszenie niezwykajne... W milczeniu łamała ręce, chcąc mówić i nie mogąc się zebrać na słowo. Gdy nareszcie odezwała się, głos jej zachrypły był i cichy...

— Posłuchaj mnie, mameczko,—mówiła,—potem powiesz sama, że inaczej uczynić nie mogę! Al! tak, ja go kocham—to prawda... kocham go.. a nie godzi mi się ani mu tego przyznać, ani pójść za niego...

Zrezygnowana na to, iż nie tu zrozumieć nie będzie mogła, sędzina czekała wyjaśnienia...

— Ja go kocham—szepiała Konstancya,—a ukrywać to przed nim muszę... Ich jest dwóch braci... oni oba się razem pokochali we mnie, oba mnie kochają... Póty są w zgodzie, dopóki odmawiam obu — ręka moja wniesie waśń śmiertelną między braci... Mamże ja dla szczęścia mojego rozdzielić ich i uczynić wrogami! Al! to nie może być i nie powinno... Kocham tego, tamtego mi żal—nie pójdę za żadnego z nich, aby w zgodzie i pokoju żyli z sobą..

Mówiła żywo, patrząc w oczy sędzinie, która słuchała z natężoną uwagą, ale zdawało się, że tego rozumowania jakoś pojąć nie mogła.

— Uspokój-no się, kochanie moje,—rzekła powoli—bo zbyt mocno jesteś jakoś zaafektowana... Rozmyślisz się... Ducha Świętego wezwiesz na pomoc... wszystko się ułoży... tylko się uspokój, kochanie moje... pomódl się... Słowo daję... ja nic nie rozumiem!

Pocałowała ją w głowę sędzina,—mysłać w duchu:—Ani wiem co począć.. błałamuci... egzaltowana... Trzeba się poradzić z jego mością.

— Uspokój się,—dodała całując znów Konstancyę, która płakała ciągle,—zostawiam cię na chwilę samą... połóż się... odpocznij...

I wyszła na palcach z pokoju, mocno skłopotana, wprost do męża na naradę.

Sędzina poruszony i gniewny, właśnie był od rannego Wacka, zdawszy go Hadziakiewiczowi, powrócił do swojej kancelaryi i przechadzał się po niej, pomrukując sam do siebie, gdy weszła żona na palcach, po cichu... Z twarzy jej widać było jeszcze i strach zaledwie przebyty i smutek a niepewność. Spojrzało na siebie małżeństwo...

— No, cóż jejność na to? A to mi się pięknie spisał kasztelan... Niewinnego człowieka, na szerokiej drodze napaść... ni przypiął ni przyłatał! bij się... to fiksat! furyat! zamknąć go do czubków!

Sędzina stała zamysłona...

— A już to prawda,—odezwała się,—Bóg nam dał niespodzianie odnaleźć tę zatraconą sierotę, ale powiem ci, kochanie... że kłopotu z nią... Ja już nie wiem, jak my z tego wyjdziemy? Wystawże sobie...

— No cóż! co? Kochają się z Wackiem! powiesz mi? Ja to dawno przewidywałem.. Nie ma w tem nic. Sprawi się wezele i będą szczęśliwi...

— Tak to jegomości powiedziec łatwo... Gdzie! zas! gdzie!

— Ależ o mało nie omdlała, gdy go zobaczyła rannym,—krzyknął sędzia... Słupyby zobaczył, że go kocha...

— A kocha,—rzekła sędzina smutnie potrząsając głową... Sama mi się do tego przyznała, ale to w tem wlesnie sęk... wyobraź sobie...

Tu w czoło uderzyła się ręką.

-- W głowie u niej... lichy wie co!

-- Jak to? cóż? co?

-- Co? albo ja wiem co? Dosyć, że mi powiedziała:—Kocham go, ale za niego pójść nie mogę.

Sędzina stanął dziwne miny robiąc z podziwu.

— Tobie się przysłyszało? kochanie moje! Cóżby to znaczyło...

— Jakaś historia romansowa... Jak żyję podobnego nie słyszałam—ciągnęła dalej sędzina. Jest ich tych Paczurów dwóch braci. Otoż ona powiada, że oni się oba w niej kochają i przez to między sobą się zaczęli nienawidzić. Ona tedy postanowiła nie iść za żadnego, aby między bracią waśni nie robić...

Słuchał sędzia, słuchał i splunął.

— Racya fizyka!—odezwał się wreszcie,—racya fizyka!.. At! babskie gadanie... Wszystko się to ułoży.. Bracia się pogodzą, Kostusie wydamy i będzie po Bożemu. Tamten sobie drugą znajdzie... ale kasztelanowi tego nie daruję...

Gdy sędzina się przekonała, że mąż jej nie brał tego na seryo—i w nią duch wstąpił,—nabrała otuchy, że się to wszystko da jakoś ułożyć szczęśliwie.

Przybyły cyrulik poobwiązywał rany Paczurze; nie opuszczał go też Hadziakiewicz, rad, że się przy tej zręczności wykrzyczeń i wybalasować może. Ks. Sobrański przez litość znowu zaszedłszy do chorego, siedział nad nim, modląc się po cichu, ze złożonemi rękoma... Stary Rewnowski pierwszy odszedł, gdy się dowiedział, jak rzeczy stały. Rany nie były niebezpieczne... ale nudnie wymagano od Wacka szczegółów o tym pojedynku, których on opowiadać nie chciał, znajdując go śmiesznym. Był takim w istocie. Nie pochwalił się tem nawet, że i on—tak było w istocie,—kolnął parę razy kasztelanica, nim mu ten szpadę wytrącił. Pocięj miał rękę przebitą, i bok raz dotknięty... Nie zważał na to w pierwszej chwili, choć wsiadłszy do powozu, uczył, że mu krew płynęła z ręki obficie. Trafem, rana ta była niemal niebezpieczniejsza od zadanej Wackowi, bo sięgnęła nadwężyła, i Pocięj zaledwie dojechawszy do miasteczka, musiał dla bolu i krwi upływu kazać się opatrzyć...

Sapieżyński doktor, Niemiec, kiwał głową, grożąc mu, że na flotrowersie, na którym wirtuozem był, może już grać przestać będzie musiał,—kłał więc kasztelanica szlacheckie dwory i znajomości, gdy we dworze szlacheckim na-

wzajem na pańską butę i fantazyę narzekano. Choroba Wacka przeciągnęła się, musiał siedzieć w izbie dla obwiązanego boku, tak, że nawet panny Konstancyi nie widywał, której współczucie za serce go ujęło tak, iż się czuł niemi szczęśliwy i obiecywał sobie wiele.

Sędzina tym czasem usiłowała ciągle płaczącą i smutną synowicę nawrócić i przekonać, że dla imaginowanej niezgody braci, nie powinna siebie poświęcać, gdy ma do jednego z nich przywiązanie. Panna milczała, ale mocno przy swoim stała.

Wyzdrowiał w końcu Wacek o tyle, że mógł przyjść do pokoju, a śpieszno mu było, aby prędzej pannę zobaczyć. Powitała go Konstancya bardzo mile, serdecznie, a sędzina, ułatwiając im porozumienie, zostawiła ich samych, nie wątpiąc bynajmniej, że dziecinna obawa Konstancyi ustąpi.

Miał tę nadzieję i Wacek, jakoż korzystając ze sposobności, chwycił za rękę pannę, zaklinając ją, aby mu szczęścia dla skrupułu dziwnego nie wydzierała... (Dok. nast.)

## SILVA RERUM.

Z prawdziwą boleścią przychodzi nam zaznaczyć pojawienie się w społeczeństwie naszym smutnego faktu amerykańskich pojedynków, kończących się zawsze jak wiadomo śmiercią jednego z przeciwników. Nie chcemy tu rozpowiadać szczegółowo zajścia, które dało niedawno powód do tej straszliwej rozprawy pomiędzy dwoma młodymi ludźmi, bo nie o sam wypadek nam idzie, ale o potworność, tak jest o potworność obyczajową, przyswojoną z obczyzny naszemu społeczeństwu.

Dwaj przeciwnicy nie uzbrajają się tutaj, nie stają naprzeciw siebie, aby zmierzyć w boju siły i odwagę. Nie—w naszym praktycznym wieku wynaleziono coś prostszego,—ohydne sprawy wzajemnej nienawiści inaczej się rozwiązują.

Wyzwano się,—jeden z przeciwników będzie samobójcą — który? — ten kto wyciągnie los czarny.

Kiedyś pojedynek, jako jedna z form *Sądów Bożych*, miał także charakter losowy. Wierzono wtedy, że palec Boży kierować będzie wszakże ciosami broni. Z czasem stał się on walką. Dziwna ironia wypadków! nasz postępowy wiek wysmiałszy tyle zabytków przeszłości, a między niemi i *Sądy Boże*, sam używa dzisiaj najwstrętniejszej ich formy,—losowej gry o życie. Ta sama rzecz na tle religijnego przesądu, miała przecież podnioslejszy charakter. A cóż mówić o pojedynku jako o walce! Wprawdzie z punktu widzenia chrześcijańskiego wszelkie godzenie na życie bliźniego jest złem i w społeczeństwach wysoce moralnych i odpowiednio wykształconych trafiać się nie powinno, dużo bowiem więcej potrzeba rzeczywistej odwagi, żeby wznieść się po nad ogólnie rozpowszechniony przesąd, niżeli aby spotkać się z przeciwnikiem dla dogodzenia urojonym pojęciom honoru. Porównujemy przeto dwoje złego: pojedynek walkę, jako wypadek namiętnego uniesienia z zachowaniem umówionych reguł, t. j. z powstrzymaniem się od środków walki podstępnych, dających łatwe zwycięstwo,—ze zmuszeniem jednego z przeciwników do po-

pełnienia samobójstwa, — tego który czarną gałkę wyciągnie. Sądźmy, iż w wyborze mniejszego złego nikt się nie zawaha.

To też ulgi prawodawcze zapewnione dopuszczającym się przestępstwa w pojedynku z uwzględnieniem ich położenia, pobudek i warunków samej walki, nie stosują się bynajmniej do pojedynkujących się na sposób amerykański.

Tu stosować wypada przepisy o skłonieniu kogoś do samobójstwa. Za przestępstwo takie grozi kara równa jak za pomocnictwo w rozmyślnem zabójstwie. Pomocnicy przestępstwa są dwojacy: *konieczni* i *niekonieczni*. Pomocnik konieczny ponosi karę na równi ze sprawcą przestępstwa, to jest, jak w wypadku w mowie będącym, roboty ciężkie w kopalniach na czas od 15 do 20 lat. Takiej więc karze podlegać powinni pozostali przy życiu przeciwnicy ofiar pojedynku amerykańskiego. Taką odpowiedzialność nieść powinni i sekundanci w pojedynku amerykańskim, o ile używają się oni do tej ohydnej sprawy. Myliłby się, ktoby chciał do podobnych wypadków stosować przepisy prawa karnego o pojedynkach odbywanych z warunkiem, iż skończyć się muszą śmiercią jednego z przeciwników. Pojedynek amerykański nie jest walką, prawodawca zaś wyraża się: *kiedy przy wyzwaniu na pojedynek postawiono warunek zakończenia go nieodzownie śmiercią jednego z walczących...* (1504). Kara za pojedynek z takim warunkiem umówiony i odbyty, jest wprawdzie surową, polega ona wszakże tylko na zesłaniu na osiedlenie w Syberii.

Sądźmy więc, iż nikt nie uzali się nad skazanym za konieczne pomocnictwo do samobójstwa uczestnikiem pojedynku amerykańskiego, jeżeli stosować się będzie do jego przestępstwa wprawdzie wymierzona kara surowa, lecz przeciwnie każdy uważać ją będzie jako cios sprawiedliwości uderzający w zwykłego zbrodniarza. Synonimem pojedynku w zwyczajnej mowie potocznej jest wyraz: *sprawa honorowa*; nazwy tej nie użyje z pewnością nikt z ludzi zacnych, tem więcej jeżeli będzie mówił o pojedynku amerykańskim, który raczej *sprawą nie honorową, lecz sprawą hanbiącą*, zwać się powinien.

v. Towarzystwa dramatyczne prowincjonalne rozgościły się już na całe lato w ogródkach warszawskich. Jest ich w tym roku aż pięć w gościnnych murach Warszawy, a mianowicie: w „Alhambrze” towarzystwo p. Kopystyńskiego, — w „Alkazarze” towarzystwo p. Rybackiego, — w „Arkady” towarzystwo p. Trapszy, — w „Bellevue” towarzystwo p. Doroszyńskiego, — w „Eldorado” towarzystwo p. Texla. Są to wszystko co przebrańsze siły dramatyczne prowincjonalne, a towarzystwa p. Doroszyńskiego z Poznania i p. Texla z Królestwa, lubo chodzą rozmaitemi drogami pod względem zapatrywania się na przepisy moralności, należą do wcale dobrych. Chwalebny od lat kilku zwyczajem, przybyłe do nas ptactwo wędrowne, dało pierwsze widowiska na cele dobroczynne. W pierwszych już widowiskach teatryki zarysowały swój program: p. Doroszyński stanął na prawem skrzydle repertuaru poważnego, p. Texel na lewem skrzydle płochego; inni chwiją się w lewo i w prawo według znanego paradoksu króla Jagiełły. Wyznać należy, iż nadzieja, którąśmy z całą

poważną prasą warszawską pokładali w teatrykach prowincjonalnych, w części się tylko ziszcila. Mniemaliśmy, że tanie widowiska ogródkowe odciągną od szynków klasę uboższą nie mogącą chodzić do teatrów stałych; mniemaliśmy, że pomnąc na zdanie, iż „teatr jest szkołą obyczajów,” będą ubogim w duchu dawały pożywną strawę umysłową. Tymczasem stosunkowo znaczna cena wstępu zamyka drzwi ogródków Melpomeny dla większej części klasy ubogiej; dla tych zaś, którzy chodzić tam mogą, zamiast strawy umysłowej, dawano nierazdo takie potrawy, że śnieżna Melpomena grecka rumienić się musiała za swoich kapłanów. Napomnienia prassy mało w tej mierze skutkowały; dopiero przesyt i odraza w publiczności ogródkowej, która na rozkiełznane widowiska cisnąć się przestała, włożyły poniekąd hamulec na *offenbachy* i inne podobne utwory. O radykalnej jednak zmianie repertuaru dotychczas nie ma mowy, — i dla tego nim nastąpi taka zmiana, pięknie rozpoczęta przez pp. Doroszyńskiego i Terenkoczego, ostrzegać o tem nie zawadzi. Oddając sprawę starszych pod wyrok ich własnego rozsądku, trzeba przynajmniej czynić zastrzeżenie co do dzieci, ażeby ich na widowiska sztuk szkodliwych nie wodziło. Młodzi szkolnej płci obojej uczęszczanie na te widowiska surowo jest zakazane; rodzice i opiekunowie wypełnią tylko obowiązek sumienia, jeśli ten zakaz i na nie chodzących do szkoły rozciągną. Rozumie się, że pod tym względem nie czynimy wyróżnienia między teatrami stałymi a ogródkowymi, o ile jedne i drugie odbiegają od wysokiej swej roli. W niektórych ogródkach bywa na widoku w ciągu jednego wieczoru po 1,500 osób: ileż to dobrego można przelać w umysły ze sceny!

Dziwić się zaiste należy, jak przy znacznej liczbie powieści wychodzących dla klasy wyższej czytającej publiczności, tak mało rzeczy bywa wydawanych dla ludu, a jednak lud ten częstokroć czytać już umie, a zatem i czytać potrzebuje. Pożądane są też nader wydawnictwa kilkugroszowe, jak p. Kazim. Promyka. Nie trzeba wszakże łączyć z niemi książeczek teje ceny i formatu, które pojawiły się w zeszłym roku w handlu księgarskim. Są to dwu, trzy, i cztero groszowe powiastki, lecz przeznaczone wyłącznie dla ludu wyznania protestanckiego, które bardzo mało jest u nas rozpowszechnione. „*Święty Augustyn*” „*Prawdziwy Katolik*” „*Dwie Zakonnice*,” i inne podobne opowiadania w formie powieściowej, zachęcające do protestantyzmu, nie odpowiadają zadaniu ogólnej literatury ludowej, której obowiązkiem jest rozwijać moralnie i umysłowie, a nie zaszczeplać chęci rozbierania zasad wiary.

w. Szczupły już zastęp weteranów b. Akademii Duchownej w Warszawie, zmniejszył się prawie jednocześnie o dwie wybitne osobistości: w Warszawie zmarł s. p. ksiądz Józef Szpaderski, w Sandomierzu zaś s. p. ksiądz Melchior Buliński, obaj niegdyś profesorowie najwyższego zakładu duchownego w Królestwie.

Ks. Szpaderski urodził się w r. 1816 w Skaryszowie, kształcił się zaś w gimnazyum radomskim, seminarjum sandomierskim i akademii warszawskiej, poczem wyświęcony na kapłana w r. 1830, był nauczycielem religii

w Końskich, regensem seminarjum w Sandomierzu, proboszczem w Bedlnie i Osieku, a wreszcie professorem zwyczajnym homiletyki i patrologii, na katedrze akademickiej w Warszawie. Prócz artykułów różnej treści rozrzuconych po czasopiśmie warszawskich, a szczególnie: w *Pamiętniku Religijno-Moralnym*, w *Przeglądzie Katolickim*, w *Pielgrzymie* i *Bibliotece Warszawskiej*, s. p. ks. Szpaderski w pracach osobno wydawanych, pióro swe poświęcał prawie wyłącznie młodzieży, którą kochał sercem kapłana i dobrego obywatela. Mamy w druku jego *Katechizm dla młodzieży*, dwukrotnie wydawany w Warszawie w latach 1865 i 1870, *Wykład nauki moralności* podobnie dwukrotnie drukowany w Warszawie 1864 i w Krakowie 1869, *Książkę do nabożeństwa dla uczącej się młodzieży* drukowaną w r. 1866 i 1867, oraz parę innych pomniejszych. Z opracowanych wykładów miewanych w akademii, powstało obszerne dwutomowe jego dzieło: *O zasadach wymowy mianowicie kaznodziejskiej*, którego tom pierwszy poświęcony jest teorii, drugi zaś dziejom wymowy w zwięzłym, ale umiejętnym zarysie. Oddawał się też badaniu dziejów krajowych, i owoc tej pracy musiał pozostać w papierach nieboszczyka.

Ks. Melchior Buliński był o lat kilka starszy od ks. Szpaderskiego, przeżył go zaś niecałe parę tygodni. Urodzony w r. 1810, przeszedłszy wszystkie szczeble rozległych nauk potrzebnych duchownemu, wyświęcony został w r. 1836 na kapłana, był proboszczem w Mikułowicach, zakończył zaś żywot, będąc kanonikiem warszawskim i sandomierskim. Powołany do Akademii Duchownej, której chlebem umysłowym był wykarmiony, wykladał w niej alumnom historię powszechną Kościoła, ze szczególnym względem na dzieje Kościoła polskiego. Z tych wykładów przerobionych i uzupełnionych, powstały dwa obszerne dzieła, świadczące o rozległym odczytaniu i wielkiej pracowitości autora. Pierwszem z nich była *Historja Kościoła Powszechnego*, ogłaszana w latach 1860—1866 u Jaworskiego w Warszawie, zawarta w sześciu tomach przeszła na 2,000 stron. Drugą pracą s. p. księdza Bulińskiego była *Historja Kościoła Polskiego*, której trzy tomy ogłoszono. Prócz tego pisywał do *Pamiętnika Religijno-Moralnego* i innych czasopism popierających dążności katolickie, a w rękopiśmie pozostawił obszerną monografię historyczną Sandomierza, której zarys drukowany przed 30-tu laty w Warszawie, zaznaczył pierwsze jego wystąpienie na niwie literackiej.

Po zamknięciu Akademii Duchownej warszawskiej w r. 1867, ks. Szpaderski i ks. Buliński opuścili tutejsze miasto, by na prowincyi, złożwszy dostojną togę professorską, wziąć na siebie skromniejszą, choć nie mniej ważną suttannę proboszczowską. Tam w pracy i modlitwie zbliżyli się do kresu, przy którym robotnik godny zapłaty swojej, odbiera ją sowicie w Niebiesiech.

z. Straty zapisane w dzisiejszej *Silva Rerum*, przychodzi nam pomnożyć jeszcze jedną nie najmniej bolesną. Dnia 4 bież. mies., w dobrach Sterdyni, w gubernii Siedleckiej, zakończył żywot s. p. Sebastyan Rosicki, dr. medycyny i chirurgii, znany i szanowany na mił kilkanaście w około, dokąd jego uczona, skwa-

pliwa, a bezinteresowna pomoc cierpiącej ludzkości sięgała. Studya lekarskie s. p. Rosicki odbywał w Krakowie, i był tam ulubionym uczniem zacnego Dietla; następnie zyskawszy już stopień doktora medycyny, słuchał jeszcze wykładów słynnego Oppolzera w Wiedniu. Zdobyte w ten sposób stanowisko naukowe, biegłość w rozpoznawaniu chorób i szczęśliwe ich leczenie, pozwalały Rosickiemu słusznie marzyć o świetnym powodzeniu w wielkiem mieście; wolał jednak z powołania lekarskiego uczynić pewny rodzaj kapłaństwa, poświęcić się na usługi najuboższej ludności na wsi, pozostawianej bez pomocy przez lekarzy wolałych w nadmiernej nawet liczbie trzymać się murów miejskich. Osiadłszy przed dwudziestu laty w Sterdyni, wkrótce potem postarał się tam o założenie szpitala wiejskiego; a gdy inicjatywa jego chętnie znalazła przyjęcie i urzeczywistnienie, był w tym zakładzie „nie tylko lekarzem, ale głównym opiekunem i najistotniejszą podporą,” jak pisze naoczny świadek długoletniej pracy zmarłego. Opis tego wzorowego zakładu, urządzonego na 30 łózek, był zamieszczony przed kilku laty w *Gazecie Warszawskiej*, i do niego odsyłamy po nauczające szczegóły. Zresztą nie sam szpital był polem nieustannej pracy s. p. Rosickiego: sławą jego poświęcenia dla chorych, miłosierdzia dla ubogich, gorącej miłości chrześcijańskiej dla wszystkich, szeroko brzmiała okolica.

Głęboka wiedza przyrodnicza, właśnie dla tego że głęboka, nie przeszkadzała s. p. Rosickiemu być gorliwym katolikiem; owszem im rozleglejsze ogarniał umysłem przestwory, tem cześć jego dla Sprawcy wszystkiego była głębsza. Towarzysze jego z wydziału lekarskiego w Wiedniu przypominają, jak na nabożeństwach akademickich, nie zważając na docinki współsłuchaczy, sam jeden modlił się przez całą mszę świętą na klęczkach. Takim był przez całe życie, takim i w ostatniej chwili rozstania się ze światem, który pożegnał zasilony na drogę Św. Sakramentami. Wierze tej nieodstępnie towarzyszyły dobre uczynki, bez których najgorętsza wiara byłaby martwa. S. p. Rosicki nie zostawił żadnego mienia—bo do podziału wszystkiego co miał, jak do swego, ustawicznie przychodzili biedni.

Pokój sprawiedliwemu!

Parę tygodni temu, na parowcu francuzkim *La Revanche* wypływającym z portu Villa-franca, miał miejsce straszliwy wypadek, który mógł przybrać groźniejsze daleko rozmiary, gdyby nie szczytne poświęcenie jednego z mechaników okrętowych. W chwili gdy statek podnosił kotwicę, jeden kocięł pękł nagle, zasympując pokład szczątkami blachy rozpalonej i buchając kłębam pary. Przeszło sto osób znajdujących się w pobliżu uległo skaleczeniu i oparzeniu, dwadzieścia kilka zginęło na miejscu. Lecz nie dość na tem, co chwila należało się spodziewać pęknięcia innych kotłów, a wtedy żywa dusza nie pozostałaby na okręcie, który uległby niezawodnie zupełnemu zniszczeniu. Jeden był tylko sposób powstrzymania okropnej klęski, trzeba było niezwłocznie przerwać komunikację pomiędzy kotłami, zamykając klapy. Lecz dostać się do nich, było to iść na zgubę niechybną, bo w tem miejscu buchała najsilniej taż sama para wrzą-

ca, która przed chwilą śmierć tylu ludziom dała, śmierć w najokropniejszych męczarniach. Ale znalazł się człowiek, prawdziwy bohater, który poświęcił życie bez namysłu, wskoczył w ten żar straszny, i tyle tylko miał czasu, że klapy zamknął, bo w tejże samej chwili padł przy nich trupem. Człowiek ten nie miał tam ani żony, ani dzieci, któreby ratować pragnął, nie był też pod wpływem zapału, jak żołnierz na polu bitwy, gdy słyszy huk dział i zapach prochu go odrzuży; on widział tylko przed sobą trudną powinność do spełnienia, był mechanikiem, opatrzenie kotłów należało do niego. Nazywał się Gueit, nazwisko to z uwielbieniem powtarzają wszystkie dzienniki. Zostawił wdowę i czworo dzieci, zamieszkałych w Tulonie. Składki dla tej osieroconej rodziny napływają z całej Francji, lecz pamięć bohaterskiego czynu, będzie dla niej zapewne najcenniejszą spuścizną.

Stronnicy determinizmu, broniąc swoich przekonań, zazwyczaj powołują się głównie na statystykę zbrodni; te cyfry nieubłagane stanowią dla nich najsilniejsze argumenta. Rozumowania ich ostatecznie prowadzą do wniosku, że zabójca, podpalacz, złodziej, musieli koniecznie spełnić zbrodnię, które już naprzód miały wyznaczone swe miejsce w statystycznych wykazach. A jednak sumienie ludzkie wzdryga się na myśl podobną, odpycha ją także i nauka, na poważnych podstawach oparta. Akademia paryzka rozbiła niedawno dwie rozprawy niepospolitej doniosłości; obie dopełniają się niejako, w obu myśl przewodnia dotyka ważnej kwestji wolności woli człowieka, w jednej i drugiej wywody czerpane są z nauki najściślejszej, najpozytywniejszej i nieulegającej żadnym dwuznacznym lub wątpliwym tłumaczeniom, mianowicie z wyższych matematycznych rachunków. Tylko więc matematyk specjalista potrafi je zrozumieć i ocenić podług wartości. Jedną z tych rozpraw nosi tytuł: *Sur la conciliation de la liberté morale avec le déterminisme scientifique, par M. J. Boussinesq, professeur à la faculté des sciences de Lille*. Drugą: *Accord des lois de la mécanique avec la liberté de l'homme dans son action sur la matière, par M. de Saint-Venant*. Jak wspomnieliśmy wyżej, autorowie przemawiają obaj językiem czysto matematycznym, przytaczają na dowód swoich twierdzeń formuły rachunku różniczkowego i całkowego, a wyniki tych ścisłych badań nie przyznają wcale ani materji, ani ślepych siłom przyrody, tej wszechpotęgi, wyłączającej wszelkie inne, nadprzyrodzone wpływy. P. Boussinesq czyni przytem uwagę, że współcześni przyrodnicy byłiby zapewne o wiele ostrożniejsi w poglądach swoich ogólnych, gdyby zawsze posiadali gruntowne wiadomości z wyższej matematyki. Wtedy łatwiejby zapewne umieli pogodzić z sobą pojęcia na pozór tylko sprzeczne, jak na przykład, że kierunek rozumnej woli może zmieniać porządek zjawisk, nie naruszając bynajmniej praw mechaniki, tak jak w świecie moralnym wola każdej pojedynczej jednostki może zachować całą swoją potęgę, nie wpływając wszakże na ogół wypadków dziejowych. Właściwą cechą wolnej woli jest to, że może się zwracać zarówno ku dobremu, jak ku złemu. Każda więc jednostka ludzka z zupełną swobodą obiera jeden lub drugi kierunek, zka-

ostatecznie muszą wypływać czynności złe i dobre, a wola ludzka musi być uważaną za przyczynę, której wpływ działa jednocześnie w dwóch kierunkach przeciwnych, znoszących się niejako wzajemnie. Przyczyna ta zatem w obliczeniach ogólnych może się stać zupełnie niewidoczną, a dla statystyki, którą autor nazywa determinizmem naukowym, redukuje się nawet do zera.

φ. Towarzystwo święcenia Niedzieli, o którym wspomnieliśmy obszerniej w Nr. 5 Kroniki, z okazji napisania w tym przedmiocie broszury przez p. Wł. Miłkowskiego, dość zresztą upowszechnione zagranicą, zawiązało się też niedawno w Krakowie i Lwowie. Stary gród Wandy, która nie chciała Niemca i jego „kultury,” pierwszy z miast polskich dał przykład, który obecnie naśladować poczęli Lwowianie. Nie byłoby rzeczą zbyteczną, ażeby takie stowarzyszenie, po wyjednanii odpowiedniego upoważnienia i regulaminu, mogło też powstać między ludnością chrześcijańską naszego miasta. Święcenie jednego dnia w tygodniu, wskazywane jako niezbędne dla ciała i ducha zarówno przez przepisy religijne, jak przez najznakomitszych prawoznawców i przyrodników,—na szczęście nie jest u nas tak lekceważone jak w Europie Zachodniej. Trudno jednak zaprzeczyć oczywistości, że pochop do gwałcenia dni świątecznych pracą ręczną, a tym sposobem zaniedbywania obowiązków religijnych i ćwiczeń umysłu, coraz śmielej występuje na ulicach Warszawy. Nawet największa uroczystość doroczna, w które jeszcze niedawno rwestes handlowy całkiem ustawał, są obecnie coraz częściej nieszanowane, za poszeptem chciwości i ślepej rachuby. Rachuba to bardzo zawodna, ale potrzebaby jej błędność wykazywać zaslepionym,—i tu zabiegi stowarzyszenia mogłyby wydać dobre owoce. Anglicy, naród najpracowitszy, niedościgły w potęgze produkcyjnej, a najsurowiej przestrzegający obchodzenia dni świątecznych, powinni być wzorem dla nas.

#### Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Edwardowi Tad...mu w Winnicy. Książki wysłane.

Panu A. K. Ma.....mu w Krasławku. „Kronika” i książki wysłane. Panu Wit.....ej w Wilnie. „Kronika” od 1-go kwietnia do 1-go stycznia 1878-go roku kosztuje 3 rs. 75 kop. pozostaje zatem kop. 25.

Ks. Seneń...ko w Krzywem Jeziorze. Rok cały opłacony przez *Przeгляд Katolicki*; dwa ruble przysłane obecnie są za nadto, i pozostaną u nas do dalszego rozporządzenia.

## OD REDAKCYI.

Prenumeratorem 1go półrocza r. b., którzy złożyli przedpłatę na półrocze następne, jeżeli tego życzyć będą, otrzymają bezpłatnie książki dodawane prenumeratom całorocznym, a mianowicie: **Angela**, powieść **Bolandena**; **Kopernik** dramat **Szujskiego**; **Karol Lineusz Engeströma**; i powieść **Pamiętnik Ewuni**. Przypominamy przy końcu kwartału, którego numer obecny Kroniki Rodzinnej jest numerem ostatnim, wczesne złożenie przedpłaty dla niedoznania opóźnienia w przesyłce pisma.

#### AGENTURY KSIĘGARSKIE

Warszawskiej Księgarni Komisowej Spółki Wydawców przyjmują na prowincyi i załatwiają prenumeratę na *Kronikę Rodzinną* oraz wszelkie zamówienia księgarskie.



## ŁABĘDŹ.

Letni wieczór... jasną skroń  
W mgłę różowej słońce chowa;  
Wygladzona, kryształowa,  
Lśni w zaroślach wody toń.  
Nad nią smętne brzozy płaczą,  
Po niej srebrne kręgi znaczą,  
Dwoje skrzydeł śnieżnej bieli  
Ptaka, stróża tej topieli.

Jak jeziora srebrny duch,  
Biały Łabędź cicho płynie,  
Z wolna płynie po głębinie,  
Tem zwierciadle światów dwóch!  
Bo w nie rzuca, w pełni kraszy:  
Ziemia swoje góry, lasy,  
Niebo swoje błyskawice,  
Słońca, gwiazdy i księżycel!

Nad skarbami, co na dnie  
W kryształowy gmach zamknięte,  
Nad przybytki ich zakłete,  
Stróż zakłety—Łabędź mknie.  
Cichy, piękny, tajemniczy,  
W piersi kryje głos słowicy,  
Lecz—odjęta mu jest mowa,  
By nie zdradził—zakłęb słowal!

Może tylko marzyć... śnić...  
W nieskończony błękit płynąć,  
Ale skrzydeł nie rozwinąć,  
Ale wszystko w piersi kryć!  
Bo tak każe zazdrośnica,  
Czarodziejka—„Tajemnica,”  
Trwożna, czy jej skarbów na dnie  
Chciwy człowiek nie wykradnie!

Codzień słońce schodzi z wzgórz,  
Mknie godzina za godziną,  
Chwile płyną, wody płyną,—  
Z niemi cichy skarbu stróż.  
On choć pani swej nie zdradza,  
Skarby w piersi swej zgromadza,  
Wszystkie, które milcząc prześni,  
Łzy, zachwyty, jęki, pieśni!

O! bo wie milczący ptak,  
Że śmierć wróżka litośniejsza,

Sprawiedliwsza, potężniejsza,  
Jasny kiedyś da mu znak!  
I królewskim swym rozkazem  
Wróci cudny głos zarazem,  
Co raz jeden, raz przy zgonie  
Czarodziejskim hymnem wionie!

A przedgonnych owych pień  
Słuchać będą, chyląc czoła,  
Wszystkie twarze dookoła,  
W ten tryumfu wielki dzień!  
Patrzeć będą w czei, zachwycie,  
Jak ulata z pieśnią życia!  
Jak w głębinach śpiewak znika,  
I grób szklany się zamyka!

Skonał Łabędź!—ucichł śpiew,  
Ale cóż tak ptactwo gwarzy?  
Czemu wicher tak się skarży?  
O czym szemrzą listki drzew?...  
Strzeż się, wróżko Tajemnico!  
Ludzie gwary te pochwyć,  
Ludzie wkroczą w twe odmęty,  
I zdobędą—skarb zakłęty!

*Marya Bartusówna.*

## W SPRAWIE CZYSTOŚCI JEZYKA.

Niejednokrotnie spotykamy w rozmowie i w pismach naszych, ubolewania i przestrogi z powodu manii cudzoziemszczyzny panującej u nas. Słyszymy skargi, że dzieci nasze od kolebki niemal, nim się nauczą języka rodzinnego, już są wprawiane we władanie mową francuską, włoską, angielską lub niemiecką, a czasem i kilku razem. Zdawałoby się tedy, że przy takiej troskliwości o klucze do skarbów wiedzy zagranicznej, liczba ludzi posiadających zasadnie obce języki powinna być znakomita, a zatem i o tłumaczy przyswajających naszej literaturze dzieła zagraniczne powinno być bardzo łatwo. Że tak jednakże nie jest, dowodzi fakt, iż wszystkie prawie czasopisma nasze zawierające tak wiele przekładów, zbyt mało przedstawiają takich tłumaczy, któreby odpowiadały najskromniejszym nawet pragnieniom.

Nie mówimy tu bynajmniej o arcydziełach poezji, wymagających w tłumaczu prawdziwe-

go talentu i doskonałego władania językiem ojczystym; nie mówimy nawet o dziełach naukowych, wymagających znowu specjalnych wiadomości: mówimy po prostu o powieściach, zapelniających łamy tygodników i odcinki pism codziennych,— o tych powieściach, od których odwykliśmy żądać, ażeby były odbiciem stylu pierwowzoru, ażeby dawały wyobrażenie o potędze słowa autora, lub żeby nawet pod względem treści trzymały się ściśle oryginału. Wymagania nasze nie sięgają bynajmniej tak daleko, ani tak wysoko, i ograniczają się na tem jedynie: I-mo, byśmy byli w stanie rozumieć myśl autora w przekładzie; II-do, by tłumaczenia nie zawierały rażących błędów językowych. Tymczasem nawet te dwa arcy skromne i arcy elementarne żądania, rzadko zadowolane bywają.

Oczywiście więc musi być w tym względzie brak ludzi uzdolnionych, skoro tłumaczenia powierzone są takim, których siły umysłowe i lingwistyczne nie mogą sprostać tej pracy. A co za tem idzie, oczywiście nauka cudzoziemskich języków jest u nas niedokładna i mało upowszechniona pomiędzy władającymi piórem, a w każdym razie mało odpowiada pożytecznym celom znajomości obcej mowy. Nie myślimy tu obwiniać redakcyj pism naszych o brak specjalnych wiadomości w tym względzie; przypuszczamy tylko, że zarzucone foliałami najrozmaitszego rodzaju umysłowych produkcji, pomiędzy którymi pierwsze miejsce trzymają tłumaczenia, nie wczytują się w ich karty. Pragniemy zatem skłonić je do zwracania na ten przedmiot baczniejszej uwagi.

Do olbrzymiej większości tłumaczy, którzy, przyznać to trzeba, nie są wybrani, a i powołani wcale nie byli, zastosować można zdanie: że „najniebezpieczniejsze dla społeczeństwa są zajęcia, którym przepisać nie można stałej miary wiadomości.” Plagą jest tutaj pozorną dla każdego dostępność pracy, gdy przeciwnie zadanie tłumacza wcale nie jest łatwe, skoro potrzebna mu jest gruntowna znajomość obcego i swojego języka, i potrzebne ogólne encyklopedyczne wykształcenie (mówimy zawsze o przekładach z dziedziny belletrystycznej), a przynajmniej świadomość swej niewiadomości, bo inaczej można z łatwością w każdym wierszu popełniać rażące i śmieszne

błędy. Błędy te tak mnogie w łamach pism naszych, podzielić można na trzy kategorie:

I. Błędy wynikające z nieznanomości języka obcego.

II. Błędy z nieznanomości własnego.

III. Błędy świadczące o niedokładnem zrozumieniu przedmiotu i o braku odpowiedniego wykształcenia.

Ludzie nieobeznani dobrze z językiem obcym, radząc sobie jedynie za pomocą dykcjonarza, nie są w stanie zrozumieć zwrotów każdemu językowi właściwych, i popełniają niejednokrotnie z tego powodu nadzwyczaj komieczne omyłki.

Tej to niewiadomości zawdzięczamy *zbiory rodzenek* uskuteczniane we Francyi, z powodu, iż tak winogrona jak rodzenki oznaczają się po francuzku jednym wyrazem *raisin*. Z tego to powodu pewna młoda osoba przyszła do swojej przyjaciółki *między psem a wilkiem* (*entre chien et loup*), co oznacza po francuzku w ogóle rzecz nieokreśloną, a mianowicie czas zmierzchu pomiędzy dniem a nocą. Z tego to powodu maść konia bywa brana jako imię własne, gdy tłumacz nie domyślając się oczywiście, że *alezan* znaczy po prostu *kasztan*, objaśnił nas, że bohaterka wsiadła na *alezana*, pisząc notabene „alezan” przez duże A. Z tego również powodu, określenie kapłańskiego stanu *abbé* (ksiądz) używane bywa czasem w znaczeniu nazwiska i także pisane przez dużą literę; czasem znow tłumaczone bywa najmylniej i najdowolniej wyrazem *opat*, oznaczającym u nas urząd piastowany w zgromadzeniu zakonnem. Cóż mówić o imionach chrzestnych, pisanych z cudzoziemska, jakby takowe nieznane były w naszym kraju, jak np. *Serge* zamiast *Sergiusz*, *Desirée* zamiast *Dezyderya*, lub frazesa jak np. *odpadłości sklepien na przodzie okrętu*, które aby zrozumieć, przypomnieć sobie musimy, że wyraz *nawa* ma zastosowanie w architekturze.

Gorzej jeszcze dzieje się, gdy przychodzą zwroty zawilszej natury, które literalnie przetłumaczone nie mają żadnego sensu. Na przykład gdy w spokojnym dyalogu spotyka się frazes widocznie na inny ton nastrojony: *Trzymaj, oto go masz!* Czy tu mowa o złodzieju? pyta zdumiony czytelnik. Nie, jest to po prostu często używany wykrzyknik francuzki, na widok kogoś przychodzącego: *Tiens! le voilà!*

Lub co znaczy w świeżem tłumaczeniu *Historji Zbrodni* Wiktora Hugo, umieszczonem w jednym z pism tutejszych, kilkakrotnie powtarzany frazes „*bite na kassie?*” Istotnie, trzeba na powrót frazes ten przełożyć na francuzkie, (a zdaje się, iż nie dla tych, co są w stanie to uczynić, przeznaczone są tłumaczenia), aby zrozumieć, że ma to być: *uderzono w bębny, (on battait la caisse)*.

Nad zaniebdaniem znajomości własnego języka rozwodzić się nie potrzebujemy; wyręczyli nas co do tego inni, a świadectwa złego codziennie mamy przed oczyma. Nie dosyć jest wyuczyć się grammatyki i trochę stylistyki; prawidła niewcielone w praktykę, nieograniczone technieniem życia, pozostają martwą głośką, i wkrótce wychodzą całkiem z pamięci. Są piszący do druku, którym nigdy nie przychodzi wątpliwość co do użycia pewnego wyrazu lub zwrotu, którzy zatem grammatykę i słownik uważają w swej podręcznej bibliotece za rzecz zbyteczną, i kładą wyrazy jak się nawinie. Są znowu tacy, którzy prócz dzienników i własnych utworów nic nie czytają. Ztąd w ich pismach ubóstwo wyrazów, stereotypowość zwrotów, szara jakaś jednostajność, niewymownie nużąca czytelnika. Czy rozumują, czy się unoszą zapalem, czy śmieją się, czy płaczą, zawsze u nich te same zwroty i te same wyrazy wytarte jak stare trzygroszówki. Trudno jednak, żeby było inaczej, kiedy się nie czyta pisarzy złotego wieku, znakomitych mówców, poetów, historyków, a nawet autorów specjalnych, z których każdy własny swój świat otwiera przed czytelnikiem i oswaja go z coraz nowymi barwami i odcieniami wypowiedzania myśli. Nie mając w głowie tego rodzaju nabytków, niepodobna być kolorystą we własnych utworach, ani oddawać kolorytu pewnego pisarza w tłumaczeniu. Z pomiędzy tylu piszących w Warszawie, zaledwo kilku można odgadywać po stylu; z tłumaczy zaś jeszcze mniej da się wymienić umiających wyciskać na przekładzie właściwości stylu tłumaczonego autora.

Jeżeli na takiej szarej zgrzebninie stylu, rozsypią się paździerze dziwolągów składni rządu i szyku, a nawet czasowania i przypadkowania, których długie szeregi spisał s. p. Skobel, p. Walicki, a niedawno i *Gazeta Polska*,

—naówczas pismo staje się prawdziwie jednym wielkim grzechem przeciwko duchowi narodowemu. Dość tu przypomnieć owe *osłonięcia* od słowa na *ić*, owe *wojować przeciw komu* zamiast *z kim*, owe we wszystkich przypadkach *Trapszo* albo przypadkowanie *Trapszego*, zamiast *Trapszy*, owe *wypośrodkować* przekute z *ermitteln*, owe *szukać za czem* wedle niemieckiego *nach*, owe *regent przeszkodzony*, owe *mieć miejsce* dosłownie z *avoir lieu* lub *stattfinden*, zamiast kilkudziesięciu do wyboru słów polskich jak np. *zajść, stać się, wydarzyć się, odbyć się* i t. p., —dość choć to tylko przypomnieć, ażeby się przekonać, jak pod piórem lekkomyślnych pisarzy mowa rodzinna ubożeje, staje się pastwą nieuctwa. Płochosć przestaje być płochoscią, wyrasta na występek.

Spotykamy też nader często w tłumaczeniach wyrazy nieobjęte żadnym słownikiem, nieuprawnione ani potrzebą, ani duchem języka; wyrazy, które z pewnością nie wejdą do jego składu, a których twórcy zapewne ani się domyślali, że popełniają innowację. Tak np. uderzyło nas niedawno w pewnym czasopiśmie takie pytanie i odpowiedź:

— „Ty jesteś *zgoryczowana*.”

— „Mylisz się, nie jestem *zgoryczowana*.”

Zapewne potrzeby myśli rozszerzają się, wyrazów przybywa ciągle i przybywać powinno; jednakże tworzenie takowych, a szczególnie tam, gdzie istnieją zupełnie wystarczające wyrazy równoznaczne, powinno być pozostawione kompetentniejszym autorom, posiadającym na tem polu zasługi i uznanie.

Najliczniejsze jednak, i może najbardziej rażące są błędy, dowodzące, iż ludzie biorący się do przekładów, nie mają często najelementarniejszego pojęcia o rzeczach, o których piszą, a jakkolwiek tłumaczenie nie jest tworzeniem, jednakże i w jego zakresie niepodobna wkraçać w dziedzinę zupełnie obce. Gdyby istniał specjalny egzamin na tłumaczy, kandydaci powinni składać przynajmniej egzamin z geografii elementarnej i potrzebnego zasobu encyklopedycznej wiedzy. Ponieważ jednak nikt egzaminu podobnego nie żąda, przypatrzmy się niektórym przykładom tłumaczy. I tak: *Via Appia*, staje się dla nich *drogą do Appienne*; *Kampania Rzymska*, *wioską rzymską*; *Vienne* w Delfinacie, *Wiedniem w Dauphin*; człowiek

podobny do figurki z meisseńskiej porcelany, *panem Meissenem Porcelanem*. Moglibyśmy bez końca przedłużać te cytaty, gdyby przytoczone nie wystarczyły aż nadto, i nie świadczyły o gorszącym lekceważeniu czytelników, których się zbywa byle jakim towarem, a nawet frazesami niezrozumiałymi dla nikogo, nie wyjmując tłumaczy.

Krytyka tak ostra w wielu razach, tutaj milczy uparcie, bądź że uwagi wcale zwracać nie chce, bądź że błędy rozpowszechnione są tak gęsto, iż w końcu przyjmuje się je jako rzecz powszednią. A przecież należałoby dawać na nie większą bacność, chociażby tylko ze względów językowych. Tłumaczenia, gdy są dobre z osnowy i wykonania, stanowią bezwarunkowo bogactwo literatury, są nawet koniecznością dzisiejszej cywilizacji, pozwalają bowiem ludziom nie posiadającym obcych języków, wyjść z jednostronnego koła narodowych poglądów i porównywać je z poglądami postronnymi. Tłumaczenia więc coraz liczniejsze są bezwarunkowym wynikiem ruchu dziewiętnastego wieku, zbliżającym narody przy zapoznawaniu ich z sobą i z tysiącami nabytkami wiedzy. Ale w obec tych wzrastających potrzeb, jest rzeczą niezbędną, by tłumaczenia odpowiadały przynajmniej najskromniejszym żądaniom krytyki, by były przynajmniej jasne i zrozumiałe.

Tymczasem dzieje się przeciwnie. Powstają u nas głośno na rozmaite błędy językowe, na szpikowanie wyrazami francuzkimi, na prowincjonalizmy wreszcie, i bardzo słusznie: podobne rzeczy wpływają zgubnie na mowę, bo przez nawyknienie ucha, nabierają w niej powoli prawa obywatelstwa. Błędy podobne są nie do darowania; nawet w mowie potocznej, w ustach profanów zasługują przynajmniej na chłostę śmieszności. Ale cóż powiedzieć, kiedy podobnego skażenia języka dopuszczają się organa, które powinny być stróżami jego czystości, które niejednokrotnie sami upominają i nawołują o bacność w tym względzie! Jest to już prawdziwie grzech wołający o pomstę, grzech nieobrachowany w następstwach.

Często spotkać się można ze zdaniem i pochwałą, że ten lub ów poprawnie wyraża się obcym językiem, ale mało kto zapytuje czy ten lub ów poprawnie mówi i pisze po polsku?

A jednak to powinno być jedną z pierwszych cech starannego wychowania; o to głównie powinny starać się matki i nauczyciele; tym tylko sposobem wpłynąć możemy na rozwój mowy własnej i jej odbicie w druku.

Wówczas dopiero, gdy strzeżenie się powszednich błędów w mowie polskiej stanie się cechą starannego wychowania, nauka obcych języków zajmie właściwe miejsce w planie kształcenia; zrozumiemy bowiem powszechnie głębsze zadanie lingwistyki, która bynajmniej nie jest jedną z mniej ważnych gałęzi umiejętności. Wówczas też z pewnością tłumaczenia podobne do tych, któremi dziś zarzuceni jesteśmy, staną się niemożliwe.

Nim jednak to wszystko faktem się stanie, zwracamy błagalny głos do redakcyj, aby większą miały bacność na tłumaczenia, przez litość nad naszym językiem.

## PIERWSZA REWOLUCYA FRANCUZKA

w oczach dzisiejszych filozofów.

Wyszła obecnie książka H. Taine'a pod tytułem: *Początki współczesnej Francji* (*Les origines de la France contemporaine*), ze wszech miar zasługuje na uwagę poważnej krytyki, szczególnie jednak wzbudza tu zajęcie część traktująca o rewolucyi, gdyż jest niejako wyrazem wybitnego zwrotu opinii publicznej, a nawet rzecz można, przebudzenia sumienia ogółu. Już dziś we Francji w wielu umysłach, bez względu na przekonania polityczne i religijne, objawiać się zaczyna coraz wyraźniejsza reakcja przeciw temu obowiązkiowemu uwielbianiu, tej czci przyznawanej powszechnie zasadom wielkiej rewolucyi. Złudzenia nikną powoli; już tylko w kołach krańcowych radykalistów odzywają się kiedy niekiedy brzmienie i napuszone deklamacje, a uświęcone podanie, odarte ze swych uroków, zaczyna się rozwiewać na cztery wiatry. Niechże krytycyzm współczesny, który tyle zgliszcz pozostawia za sobą, ma przynajmniej tę zasługę, iż zdołał rzucić światło prawdy na te sławione ideały rewolucyi, a poddawszy je ścisłemu rozbiorowi, sprowadził nakoniec do rzeczywistych rozmiarów i właściwego znaczenia. Obecnie każdy człowiek dobrej wiary musi upatry-

wać w tym ważnym fakcie dziejowym następstwa różnych zawiłanych przyczyn, potrzeb prawdziwych i żądź niekzemnych, szlache-nych złudzeń i niskich zawiści; musi też dostrzegać wszystkie ujemne strony tej rewolucyi, która złamałszy tyle sił społecznych, nie umiała ich zastąpić, ani dotrzymać świetnych swych obietnic.

Taż sama zasada oderwanej logiki, którą się powodowali przywódcy rewolucyi, utworzyła także to, co ks. de Broglie bardzo trafnie nazwał *apologetyką* jej rządów. Przedstawiając rewolucyę jako fakt jedyny w swoim rodzaju, fatalizmem naznaczony, dokonany w kilku oznaczonych chwilach dziejowych, nadając wszystkim czynom w tej epoce spełnionym tenże sam charakter nieuniknionego fatalizmu, upatrując wreszcie w osobistościach ludzkich i to najnikczemniejszych, piętno jakiegoś przeznaczenia, zakreślonego z góry, usiłowano wmówić w czytającą publiczność, że w historii odpowiedzialność moralna człowieka nie istnieje w obec potrzeb danego położenia, a błędy i występki nawet pojedyncze nikną w ogólnej harmonii faktów spełnionych. Takie wrażenie sprawiły mniej więcej ukazujące się w r. 1826 pierwsze tomy dzieła Thiers'a: *Historja Rewolucyi*, a jeden z sędziów najmniej uprzedzonych, najumiarkowańszych Sainte-Beuve, tak się natenczas wyraził: Widzimy się po raz pierwszy wspólnie z p. Thiers'em na tej straszliwej Górze (Montagne), która się nam zawsze z daleka tylko ukazywała, wśród piorunów i błyskawic; wstępujemy na wszystkie jej stopnie, zwiedzamy ją, jakby wygasły wulkan i wyznać trzeba, że jakkolwiek nas niezwykła ta wysokość przeraża, pojmujemy jednak, że gdy staniemy tam, wszystko wydawać się musi w innym świetle, niż tu, na tym rodzinnym padole. Nie możemy występnych uniewinnić, ale zaczynamy ich tłómaczyć. Czytając to wszystko, powstaje w nas mimowoli pojęcie jakiejś konieczności nieuniknionej; porwani tem opowiadaniem, nie możemy sobie już wyobrazić, aby wypadki mogły się być inaczej złożyć, mieć bieg naturalniejszy, ażeby katastrofy mogły być bardziej uzasadnione. Ostatecznie każdy sobie powtarzał, że te gwałty, te ofiary niezliczone, były okupem bolesnym, lecz nieuniknionym wielkiej rewolucyi,

która sprowadziła tryumf społecznej sprawiedliwości, podniosła ludzkość przytłoczoną ciężarem niewoli, zapewniła wszystkim bez względu na to, czy ją błogosławią czy przeklinają, korzyści i prawa niewzruszone.

Ale czas już nakoniec, ażeby opinia publiczna powstała przeciw tym wszystkim ogólnikom i konnałom; czas już poważny proces wytoczyć tym przekonaniom jednostronnym, a wtedy zapewne bez względu uwielbienie idei rewolucyjnej nie znajdzie argumentów na swoją obronę. Któż wie, czy rewolucya francuzka nie ulegnie natenczas temu surowemu sądowi, którym usiłowano ubliżyć chrześcijańskiej wierze? czy nie powiedzą o niej, że to co miała nowego, nie było prawdziwe, a co prawdziwego, nie było nowem?

Nie należy też sądzić, że rozważniejsze i surowsze poglądy na rewolucyę nie były dotąd nigdy wygłaszane. Już nawet jednocześnie, a przynajmniej nie na długo po dokonaniu tych ważnych wypadków dziejowych, powstawały wymowne głosy potępienia. W roku 1797 de Maistre w dziele swoim *Considerations sur la France*, Uwagi o Francyi, osądził rewolucyę z zadziwiającą stanowczością; ocenił nietylko bezpośrednio jej skutki, ale nawet i dalsze następstwa, przepowiadając przyszłą restauracyę dawnej władzy, a nawet okoliczności, które do tego doprowadzić miały. Inni autorowie, sprzyjający nowym ideom, jak Mallet du Pau, spostrzegli także wkrótce, że rewolucya nie mogła ziścić wszystkich w niej pokładanych nadziei, i z pewnością lekarza, opisującego zwykły przebieg choroby, przepowiedzieli w r. 1791 krwawe spustoszenia, które miały spaść na Francyę. „Plemiona Hunnów, Herulów, Wandalów i Gotów, pisze wyż wspomniany Mallet du Pau, nie przyjdą ani od północy, ani od Morza Czarnego, oni się znajdują między nami.”

Nie jestże to faktem wielce znaczącym, że te świadectwa zaniedbane przez szkołę historyczną, której zawadzały, dziś na nowo zostały odgrzebane? Dzieło Taine'a doznaje wielkiego powodzenia we Francyi, niepospolite zajęcie budzi w publiczności, rozliczne wywołuje sądy, a to samo dowodzi nowego zwrotu umysłów. Na pierwszy rzut oka spostrzegamy, że pomiędzy de Maistre'm i Taine'm zachodzi

najzupełniejsza różnica przekonań i to we wszystkich punktach zasadniczych. Jest to całkowita przepaść, rozdzielająca naukę chrześcijańską, uznanie pierwiastku władzy Bożkiej, od fatalizmu szkoły pozytywistów, którzy śledzą porządek i związek wypadków, lecz nie są w stanie oprzeć pojęcia słuszności na jakiegokolwiek stałej podstawie. A pomimo takiej ogromnej różnicy pojęć i tendencji, obaj ci myśliciele, po ścisłym zbadaniu faktów, pod wpływem nieprzepartej siły logiki i poszanowania prawdy doszli do niespodziewanej do jednostajnych rezultatów.

Świeżo wydany tom obszernego dzieła Taine'a obejmuje obraz położenia Francji w r. 1789, w chwili zwołania zgromadzenia narodowego, i dzieje czynności jego ustawodawczych aż do ostatecznego rozwiązania.

Anarchia kielkująca przed r. 1789, anarchia ulegalizowana później, oto jest myśl przewodnia Taine'a, który zresztą zaznacza wyraźnie poglądy swoje w następujących wyrazach: „Powstania ludowe i prawa zgromadzenia ustawodawczego zniosły ostatecznie we Francji wszelki rząd. Dzieje te stanowią przedmiot tomu niniejszego. Stronictwo wyznające doktryny krańcowe zdobywa władzę i działa stosownie do swych wyobrażeń. Będzie to przedmiotem następnego tomu.”

Trudno zaprzeczyć, że Taine posiada niepospolitą siłę rozumowania i zdolność przedstawiania sprawy, której dowiesć pragnie. Chcąc, ażeby wrażenie wypływało jedynie z faktów, nagromadza je, skupia, chce, ażeby one same przez się zwalczyły zdania przeciwne. Nie jest to jednak najlepszy sposób nadania mocy wrażeniom. Zbytńia obfitość faktów obciąża niepotrzebnie pamięć czytającego; wybór staranny dowodów skuteczniej działa na przekonanie, niżeli ilość bezładna. Obrazom Taine'a brak nieco przestrzeni i swobody, a nie idzie tu tylko o stronę estetyczną utworu. Ta cecha właściwa jest zdolnościom Taine'a, który zazwyczaj daje się porywać głównej swej myśli, zamiast sam nad nią panować. Taktyka jego zależy na tem, ażeby zdobyć pozycję nie dbając o srodki; to też gromadzi silne zastępy, to jest fakta i jeszcze fakta, potem je wszystkie razem kieruje na jeden punkt, i ilością ich wszelki opór obala. Lecz rzadko kiedy umie

poprzestać na wnioskach umiarkowanych, które w sprawach ludzkich najczęściej właśnie prawdę stanowią, nie dba o to, ażeby z całą słusznością wykazać dobre strony zarówno jak złe; historyk jednak największą ma powagę, gdy okazuje się w sądach swych bezstronnym i całkowicie wolnym od wpływu namiętności, których dzieje kresli. Taine broni się wprawdzie o ile może od tego zarzutu; utrzymuje on, iż badał historię rewolucji francuskiej z taką krwią zimną, jak gdyby szło o rewolucje starożytnych Greków lub Rzymian, z obojętnością lekarza, śledzącego przebieg choroby obcego człowieka; niemniej jednakże błędna metoda jednostajnego nagromadzania zbyt licznych faktów, wywołuje w czytelnikach coraz to nowe wrażenia, częstokroć przeciwne sobie, a tym sposobem zamiast umacniać przekonania, zachwiać je raczej może. Gdy naprzykład autor pragnie uwydatnić wady dawnego rządu francuskiego, wylicza tyle szczegółów ujemnych, tak silny nacisk na nie kładzie, że ostatecznie przyjść potrzeba do wniosku, iż budowa tak głęboko spróchniała musiała być do szczętu obalona. Dalej jednak widzimy znowu na podstawie takiegoż samego nagromadzenia faktów, z jak wielką szkodą porządku społecznego zniszczone zostały zarazem niektóre jej części zdrowe i silne. Nawet ze względów czysto estetycznych obrazy Taine'a zyskałyby wiele na tem, gdyby posiadały więcej światła i perspektywy, a mniej szczegółów drobiazgowych. Można tu zastosować uwagę dowcipną i słuszną, że las wydałby się lepiej, gdyby miał mniej drzew.

Pomijając wszakże wszystkie te zarzuty, które dałyby się zastosować także i do stylu, odznaczającego się raczej ścisłością niż giętkością, przepełnionego realizmem i fizyologią, możemy zaznaczyć w dziele Taine'a strony dodatnie niemałej wagi. Dotąd zwykle historycy stereotypowym sposobem powtarzali to oklepane zdanie, że rewolucja francuska wtenczas dopiero zaczęła się gwałtów dopuszczać, gdy napotkała przeszkody na swej drodze, że ofiarami jej stali się szaleńcy, którzy chcieli stawiać tamy rozhukanemu potokowi i bieg jego odwrócić. Jest to fałsz najzupełniejszy. Wzburzenie wybuchło widocznie od pierwszej chwili pod wpływem nędzy i prądów nowych nurtu-

jących wszystkie warstwy społeczne. To różnicowanie peryodu spokojnego, wspaniałomyślnego, jakiegoś złotego wieku rewolucyj, który miał poprzedzić peryod straszliwego szału, nie może się ostać w obec faktów. Pod dawnym rządem, powiada słusznie Taine, pożar tlił w ukryciu; nagle rozwarły się podwoje, wpada prąd powietrza i płomień wybucha. W rzeczy samej, w ciągu czterech miesięcy, które poprzedziły zdobycie Bastylli, naliczono we Francji przeszło trzysta zaburzeń ludowych. Wszędzie władza rządowa musiała walczyć z gwałtownymi wymaganiami pospólstwa. Nigdzie nie chciano czekać cierpliwie wprowadzenia zapowiedzianych reform; lud powiedział sobie, że zgromadzenie narodowe miało zreorganizować państwo i tłómaczył to sobie po swojemu. Oto co pisał w owym czasie pewny dowódca wojskowy: „Lud jest przekonany, że król żąda zupełnej równości, że nie chce panów, ani biskupów, nie chce też żadnej różnicy stanu, nie wymaga dziesięcin i t. d. Ci ludzie zbłąkani sądzą, iż opierając się władzy, są w swoim prawie i działają zgodnie z wolą króla. „Necker w Lutym jeszcze roku 1789 wyraźnie powiada, że nigdzie nie ma posłuszeństwa w kraju, i wojsku nawet zaufać nie można. Broszury pobudzające lud do otwartego buntu krążyły wszędzie bez ustanku, a w Palais-Royal, mieszkaniu książąt Orleańskich, gdzie według przywilejów tego domu policja nie miała wstępu, zbierały się swobodnie tłumy najrozmaitszych włóczęgów, wygłaszano mowy najburzliwsze i odbywano narady, w których udział brały tłumy pospólstwa. W broszurach rozsypywanych bez liku, domagano się ścisłego zastosowania społecznych zasad Jakóba Rousseau (Contrat social). Kamil Desmoulinś zakreślił program późniejszych gwałtów w tych słowach: Kiedy zwierz wpadł w zasadzkę, należy go dobić... Nigdy świetniejsza zdobycz nie przedstawiała się zwycięzcom. 40,000 pałaców, zamków, hoteli, dwie piąte wszystkich majątków we Francji, staną się nagrodą walczących! Arbitralność przywódców rewolucji występuje bardzo wczesnie w całej swej mocy. Gdy jeden ze słuchaczy Kamila Desmoulinś'a okrzyknął oburzenie, ukarano go tak jak się karze nieposłuszne dzieci: kazano mu klęczeć, przepraszać publicznie, całować ziemię; zanu-

zonego następnie kilka razy w sadzawce, nakoniec wydano na pastwę pospólstwa, które go tarzało w błocie i pastwiło się nad nim bez miłosierdzia. Tak się rozpoczęło „panowanie ludu.“

Dla wielbicieli rewolucji najświetniejszą datę stanowi wzięcie Bastylli. Znane są dzieje tego dnia: gubernator kazał wycofać armaty ze strzelnic, otworzył bramy twierdzy ludowi, pod warunkiem, że nikomu krzywdy nie wyrządzi; a jednak sam zginął przebity bagnietami, ciało jego tłuszczą rozjuszona wlokła po rynsztokach, i głowę obnosiła po ulicach; wielu oficerów załogi poniosło także śmierć męczeńską. Dla każdego człowieka bezstronnego, powiada Malonet, terroryzm rozpoczyna się 14 Lipca. Nie ma już od tej pory bezpieczeństwa w kraju. Ani nowa milicja, ani władze nowe nie są w stanie wzbudzić poszanowania dla prawa. Zgromadzenie narodowe nie mogąc powstrzymać powstania, uwielbiać je zaczyna. Jeżeli lud krew wylewał, czynił to przez nieuwagę; jutro, gdy konstytucja ogłoszona zostanie, wszystko do porządku powróci! Tymczasem nielad wzrasta, na prowincyi dowódcy wojsk bezsilni patrzeć muszą na napaści wzniecane przeciw kupcom zbożowym, których wieszają bez sądu, przeciw właścicielom, których śpichrze wydane są na rabunek. Na czele ruchów stoją ludzie bez czci i wiary, demagogowie najgorszego rodzaju. W Paryżu tworzy się kilkadziesiąt osobnych rzeczypospólnych, każda część miasta chce się rządzić osobno. Na usposobienie pospólstwa wpływa głównie pogoda; urzędnicy wyznają, że najspokojniejsi są w dni słotne, gdyż wtenczas nie tak łatwo zbierają się tłumy po ulicach.

Zgromadzenie ustawodawcze nie miało ani władzy, ani też niezależności dostatecznej, by mogło opanować położenie w części utworzone przez siebie. Najprzód w Wersalu, następnie w Paryżu, deputowani zasiadali w sali ogromnej, gdzie najpotężniejszy głos wysilać się musiał. Było ich dwanaście tysięcy. Nietylko w sali, ale i w trybunach panował tu hałas nieustanny.

— W parlamencie angielskim, powiada Mallet du Pau, widziałem, jak w jednej chwili rozkazano wypróżnić galeryę, za to, że księżna Gordon rozśmiała się mimowoli. Tu zaś tłumy

widzów, najporządniejsi gazeciarze wysłańcy z Palais-Royal, żołnierze za mieszczan poprzebierani, kobiety z ulicy, wszystko to bije oklaski, hałasuje i wrzeszczy najswobodniej. Niektórzy chcieli zaprowadzić regulamin przyjęty w izbach angielskich, ale większość sprzeciwiała się temu, pod pozorem, że nie chce nie zapożyczać od obcych narodów. Deputowani nie byli tu wcale podzieleni na partye, nie było zdolnych kierowników, którzyby umieli pociągać za sobą głośy. Każdy krzyczał i szermował słowami do woli. Zresztą deputowani byli Francuzami z XVIII wieku, w całym znaczeniu tego wyrazu: pełni utopij i złudzeń, jakby w przeddzień wejścia do ziemi obiecanej. W nocy 4 Sierpnia, pisze Ferrière, nikt już nie jest panem siebie. Zgromadzenie przedstawia widok pijanego tłumu, który wpadłszy do składu kosztownych sprzętów, łamie i druzgocze na wyścigi wszystko, co mu w ręce wpadnie.

Mirabeau dodaje: Otoż to nasi Francuzi! przez cały miesiąc sprzeczą się o sylaby, a potem w przeciągu jednej nocy obalają cały porządek monarchii.

Większość tego zgromadzenia składała się z prawników niższego rzędu, którzy żadnych poważnych funkcij nie spełniali nigdy. Lecą, jak ptaki spłoszone, pisze Morris; trudno przewidzieć, gdzie się zatrzymają, tak się rozpraszają na wszystkie strony.

Do polityki brano się tak jak ten szlachcic, który zapytany, czy umie grać na klawikordzie? odpowiedział: Sam nie wiem, nie próbowałem nigdy, ale zobaczę.

Prawodawcy mieli właściwy sobie sposób postępowania; najpierw stanowili zasadę ogólną, potem wyprowadzali z niej prawa, według metody dedukcyjnej Rousseau'a. Postanowiono przekształcić społeczeństwo z gruntu, na wzór abstrakcyjnego ideału przedstawionego w kontrakcie społecznym (Contrat social). W imię pierwiastkowej równości wszystkich ludzi, nie poprzestano na tem, ażeby wyższe klasy poddać jednemu prawom; pozbawiono je wszelkich tytułów i wkrótce wydać miano bez żadnej obrony na pastwę gwałtów ludowych. Toż samo ze stanem duchownym; i tu z przyjemnością zaznaczamy słuszne uwagi takiego autora jak Taine, którego nikt zapewne nie posądzi o zbytnią

przychylność dla klerykałizmu. Oto są własne jego słowa: Stan duchowny, przeznaczony przez ustawę pierwotną na usługi publiczności, pod nadzorem mniej lub więcej ścisłym państwa, mający jednak własną administrację, stanowił cenną część organizmu, a nie chorobliwą narość. Popierwsze, instytucja ta zapewniała społeczeństwu zaspokojenie potrzeb religijnych, postęp naukowy, wykłady w zakładach niższych i wyższych, opiekę nad ubóstwem, pielęgnowanie chorych, nie odwołując się do budżetu rządowego, bez względu na stan często kłopotliwy finansów publicznych, gdyż duchowieństwo posiadało fundusze obfite, pochodzące z prywatnych darów; publiczność bowiem mając przed sobą zawsze to ujście gotowe dla swej wspaniałomyślności, zasilala je chętnie w ciągu wieków, jednocząc tym sposobem rozmaite źródła dochodów. Powtóre, instytucja ta stanowiła przeszkodę dla wszechwładztwa państwa; ochronę przeciw samowładnym rządóm monarchii, lub krańcowej demokracji. W stanie duchownym człowiek mógł się wznosić z całą niezależnością, nie wkładając liberyi dworaka ani demagoga, mógł pozyskać majątek, znaczenie, władzę, nie zawdzięczając nic kaprysom łaski królewskiej lub ludowej, utrzymać się nawet w opozycyi z rządem panującym i opinią powszechną, mając za sobą ciało silnie zorganizowane i solidarne. Potrzebie, instytucja ta wytwarzała wśród świata powszedniego małe światki odrębne i odosobnione, gdzie wiele dusz znajdowało życie jedynie dla siebie stosowne. W stanie duchownym ludzie religijni i pracowici umieją nie tylko zaspakajać głębsze potrzeby sumienia, wyobraźni, czynnych zdolności, ale skupiają je, kierują do jednego wspólnego środka działalności, którego ustrój jest arcydziełem, a korzyści nieobliczone. Tym sposobem małym bardzo kosztem, sto tysięcy osób, mężczyzn i kobiet, wykonywać może dobrowolnie i bezpłatnie najmniej ponętne, najwstrętniejsze nawet prace, spełniając w towarzystwie ludzkim przeznaczenie mrówek roboczych w mrowiskach.

Zbadawszy najpewniejsze dokumenta, Taine, mówiąc o zakonach tak spotwarzonych przez ogół historyków, przychodzi do wniosku, że „większa ich część zasługiwała w owych cza-



sách na największe poszanowanie." Liczne wioski zanosily prosby do zgromadzenia narodowego, azeby im pozostawilo klasztory, z których zakonnicy bynajmniej uwolnić się nie pragną. Pewny zakon zanosil błaganie do rządu w tych słowach: „Ożywieni wszyscy jednym duchem, jedno serce mając, protestujemy w obec narodu, w obliczu nieba i ziemi, że żadna moc nie ma prawa oderwać nas od słobów umiłowanych przez nas, i że ponawiamy te słuby z większym jeszcze zapalem, niż przy wstąpieniu do klasztoru.“

Stosownie do zasad kontraktu społecznego, w łonie państwa nie powinno istnieć żadne ciało odrębne, wszelkie grupy nawet według praw natury zorganizowane, powinny być rozproszone, pozostać mają tylko osobistości odosobnione, bezsilne w obec jedynej i trwałej instytucji państwa. Kapłan ma być tylko urzędnikiem, i to urzędnikiem obieranym często przez ludzi nie należących do jego wyznania.

W przeddzień krwawych katastrof nócno sielanki o powszechnem braterstwie, o wieku złotym. „Dusza rozplywa się w słodkiem upojeniu, pisze jeden z ówczesnych deklamatorów, na widok tego ludu przejętego uczuciami bratniej miłości.“

Było to uctowaniem na okręcie blizkim zatonięcia. Gdy w słowach wszystko brzmiało filantropią, w czynach były same gwałty. W każdym okręgu formowała się osobna rzeczpospolita. Jakobinizm stał się powszechnym i nieustającym. Zaczęto prześladować systematycznie szlachtę, zewnetrzne niebezpieczeństwo wzrastało, tymczasem wojna domowa występowała coraz groźniej. Francya, powiada Taine, wstąpiła w okres ponurego szału: zdolna już była ważyć się na wszystko, znieść wszystko i spełniać czyny niesłychane i straszliwe barbarzyństwa, skoro przywódcy, zarówno jak ona zbłąkali, wskażą jej nieprzyjaciela lub jakakolwiek przeszkodę dla wściekłych porywów ludu.

Widzimy, na jakich punktach Taine wyróżnia się od powszechnie przyjętych wyobrażeń, przedstawiających grunt jakiś pośredni dla tych, którzy potępiali gwałty rewolucji, ale wielbili jej zasady. Chciano wszystkie sprzeczności pogodzić. Potępiano więc konwencyę, ale wysławiano zgromadzenie ustawodawcze,

utrzymując, iż pomimo złudzeń i błędów zdolało ono arbitralność zastąpić legalnością i znieść ostatecznie rząd zastarzały, ze wszystkimi jego wadami. Ale Taine nie uznaje takiego rozróznienia. Według jego zdania terroryzm rewolucyjny tkwił już w zarodku wśród zgromadzenia ustawodawczego; to też powiada: Wszystkie artykuły wstępne były to sztylety wymierzone przeciw społeczeństwu ludzkiemu, które dość było pechnąć za rękojęsć, by ostrze zagłębić do żywego. Na wielu punktach rozumowania Taine'a mają wielką siłę; czy jednak wszystkie są słuszne? możnaby o tem wiele powiedzieć. To pewna, że wszystkie reformy sprawiedliwe, wprowadzone przez rewolucyę francuzką, nie były żadnym nowym objawem, lecz wypłynęły z odwiecznych praw sumienia ludzkiego. Pisarz wielce liberalny, a nawet wielbiciel zbyt namiętny pierwszych ideałów r. 1789, Saint-René Taillandier, uczynił już w tym przedmiocie uwagę bardzo słuszną: że wszystko co było w rewolucji sprawiedliwego i trwałego, dawno już zapisane zostało w Bozkich ustawach Ewangelii.

## WIADOMOŚCI

### Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Wydawnictwa hiszpańskie: „Historia de Filipe II rey de España," p. Lud. Cabrera de Cordova, Madryt 1878.—„Reina Martires, legendas originales," p. Maryę de Pilar Sinués.—Perez Galdos i jego powieści.—Wydawnictwa portugalskie: Hr. Aleksander Herculano de Carvalho, „Monumenta Portugaliae."—„A Harpa do Crente."—„Historia da Establecimientos de Portugal," p. José Ribeira.—Powieści dony Maryi Amelii Vaz de Carvalho.—Wydawnictwa angielskie i amerykańskie: „Mycenae et narrative of researches and discoveries at Mycenae and Tyrius," p. dr. Schliemann'a, Londyn 1878.—„The life of Jenghis Khan," Londyn 1878.—„Memoirs of the Right Honorable William, second viscount Melbourne," Londyn 1878.—„Our réal danger in India," p. M. C. Forgett'a, Londyn 1878.—„Memoirs and Letters of Charles Somner," Boston 1878. „Californian Pictures," p. B. Parke-Avery, Boston 1878.—Wydawnictwa francuzkie i włoskie: „Pie IX, sa vie, sa mort, souvenirs personels" p. hr. d'Ideville, Paryż 1878.—„Le livre d'or français, la mission de Jeanne d'Arc," p. Fryderyka Godefroy.—„Les Jésuites" p. wiel. O. Felixa.—„Allarme pei catolici osservazioni," p. Ludw. Nicore.—„La Guida de galantuomo," p. Franciszka Rapisardi'ego, Medyolan 1878.—„Histoire de la persecution religieuse à Genève," Paryż 1878.—„A travers l'Afrique centrale voyage, de Zanzibar à Benguela," p. le commandant Cameron traduit de l'anglais. Paryż 1878.

Ukończono obecnie w Madrycie druk histo-

ryi Filipa II-go, króla hiszpańskiego (*Historia de Filipe II rey de España*) napisanej przez don Ludwika Cabrerę de Cordova. Ważne to wydawnictwo, powiększone w ostatnim tomie z polecenia rządu, dokumentami, wykazującymi w prawdziwym świetle panowanie, o którym dotychczas fałszywe legendarne wieści przechodziły w opisy, z uszczerbkiem historycznej prawdy. Czytelnicy pragnący poznać główniejsze ówczesne fakta, tak jak były w istocie, znajdą tu rzeczywisty opis choroby i śmierci Filipa II-go, wydany w 1600 r. przez Antonia Cerverę de la Torre, pochwalną dla niego mowę wypowiedzianą w obec Filipa III-go przez Perreza de Herrera, oraz opis ówczesnego stanu Hiszpanii, podany senatowi weneckiemu w 1573 roku, przez ambassadora jego w Madrycie Leonarda Donata, i drugi podobny raport, złożony w roku 1581 przez Franciszka Moronini'ego.

Pomimo, że Hiszpania była niegdyś ojczyzną romansu (*románceros*), poematów epickich z heroicznymi czasami chrześcijaństwa, i opowiadań rymowanych o przeróżnych wydarzeniach, — w dzisiejszej jej literaturze romans nie kwitnie wcale. Berła powieści dzierżonego przez Fernan'a Caballera, nikt dotąd nie podjął. Imiennie wyliczyć możemy wprawdzie kilku powieściopisarzy, wszyscy oni wszakże nie starają się o oryginalny charakter miejscowy, który takiego uroku dodawał utworom Cecylii de Arom (Fernan Caballero), lecz naśladowują raczej powieści francuzkie. Perez Galdos, największą pomiędzy nimi odznaczający się zdolnością, obrał sobie za wzór Balzaka, a ponieważ jak wyrzeczono słusznie, chcąc naśladować kogoś na oslep, przejmujemy najczęściej tylko śmieszności jego i wady, — miasto talentu francuzkiego pisarza, przejmując oryginalności jego stylu, które wychodzą nader śmiesznie w utworach hiszpańskich. Pani Marya de Pilar Sinués, na dawniejszym jeszcze kształciła się wzorze, naśladowując sentymentalizm pani Cottin. Ma ona jednak wielką łatwość pisania i tę zasługę, że liczne powieści, które wydaje, odznaczają się zawsze moralną i religijną treścią. Do najlepszych jej utworów należą wyszłe obecnie legendy o *Królowych męczennicach* (*Reina Martires*). Przedmiot nada-

je się tu wyraźnie do rodzaju talentu autorki i podnosi go do wyższych rozmiarów.

Dzieło: *Portugaliae monumenta historica*, wydane po łacinie w Lizbonie przez hr. Aleksandra Herculana de Carvalho, niedawnymi dopiero czasu doczekało się rozgłosu, który autorowi jego zjednał nazwę pisarza godnego współzawodniczyć z najpierwszemi talentami podobnego rodzaju. Rzadka skromność hr. de Carvalho sprawiła zapewne, że dopiero po śmierci uznano jego zasługi. Natchniona postać historyka Portugalii przypomina owych średniowiecznych mnichów pracujących dla dobra ludzkości z dala od gwaru i poklasków świata. W małym domku Valle de Lobos, ocienionym oliwnym gajem, w pośrodku stosów pociemniałych rękopisów, w samotności i ciszy, zapisywał on karty ksiąg swoich w języku dawnych Rzymian, uprzystępniając w ten sposób swą pracę dla uczonych wszystkich narodów. Dzieła swe podpisywał *Aleksander Herculano*, pomijając tytuł hrabiego de Carvalho, który nie przypadł do skromnych jego nawyknień. Zarówno jak uczonym historykiem i myślicielem głębokim, Herculano był znakomitym poetą. Uzdolnienie to przebija nawet w poważnej pracy jak *Monumenta historica*. Heroiczne czasy monarchii portugalskiej odmalowane tu z takim życiem i świetnością kolorytu, że książka ta zwać się może prawdziwą epopeją narodową. Podróżnik przebiegający konno góry Algarwii, lub płynący z wolna po falach Gwadianny w łodzi kierowanej przez wiosłarza o czarnem oku i śniadej cerze, powinien mieć z sobą *Monumenta Portugaliae*, czytając je bowiem wtedy ujrzy całą przeszłość roztaczającą się wspaniale przed jego oczyma w pośród równin Alentajo. Z poezyi pisanych przez hr. de Carvalho w chwilach wolnych od poważnej uczonej pracy, najwyżej stoi *Arfa wierzącego* (*A Harpa do Crente*), poemat podniosłego religijnego nastroju, malujący całą duszę autora. W ostatniej jego części odzywa się *Rozpacz*; zaraz wszakże słyszeć się daje głos Anioła Stróża i zstępuje z niebios *Łaska*, a wyrodzona przez nią w sercu *Rezygnacja*, zakończyła utwór cały modlitwą, godną mieścić się w pośród natchnionych hymnów króla proroka.

Don José Silvestro Ribeira, zajmujący w literaturze współczesnej swego kraju pierwsze miejsce po Aleksandrze Herculanie, ukończył obecnie szósty tom historii portugalskich zakładów naukowych i artystycznych. *Historia dos Establecimientos scientificos literarios e artisticos de Portugal*. Opisanie historii intelektualnego rozwoju Państwa niemniej kosztuje pracy i trudów, niż spisanie historii jego politycznej. P. Ribeira wyszukiwał pracowicie potrzebne mu materiały, i znalazł je w pośród murów klasztornych, zachowane od zniszczenia czasu i ludzi. Zbadał dokładnie początki instytucji szkolnych, pierwsze próby na polu literatury i sztuki, a w końcu umieścił w chronologicznym porządku liczne wyciągi z dawnych kronikarzy, ułatwiając w ten sposób zapoznanie z nimi, co dla ogółu czytelników czyni tę pracę tem więcej zajmującą.

W dziedzinie belletrystycznej odznaczają się w piśmiennictwie nowoczesnym portugalskiem: pani Amelia Vaz de Carvalho, która wydała obecnie urywki literackie pod tytułem: „Heroes na Campo“, oraz panowie: Pereira Lobato i Cezar Mochado jako powieściopisarze, jako poeta zaś p. Bulhao Pato, autor zbieru poezyj, wyszłych obecnie w Lizbonie pod napisem: Pod cyprysami (*Sob os Cyprestes*).

Do nowych i ciekawych publikacji angielskich, należy praca dr. Schliemann'a o ruinach Myceny (*Mycenae et narrative of researches and discoveries at Mycenae at Tyrius*). Jest to zajmujące opowiadanie szczegółów podróży odbytej w celu poszukiwań archeologicznych przez uczzonego doktora i żonę jego, również zamężowaną w starożytnościach. Poprzedza je piękna przedmowa o wieku Homera, do której to epoki odnoszą się znalezione przedmioty. Odkrycie ich połączone z wielu trudami jest nader ważne dla nauki, jakkolwiek nie uznano jeszcze jednoznacznie, aby pochodziły z czasów, do których należą wedle mniemań p. Schliemann'a. Mówią, iż zapał jego dla starożytności greckich sprawia, że patrzy na nie przez pryzmat złudzenia; ma pomimo to wszakże zwolenników podzielających jego zdania. Należy do nich pomiędzy innymi znany miłośnik dzieł dawnej Hellady p. Gladstone, który na-

piisał obszerną rozprawę, usiłującą dowieść rzeczywistości twierdzeń dr. Schliemann'a.

Z niezmiernem zajęciem przyjęła czytająca angielska publiczność tłumaczenie Douglas'a z roczników chińskich historii Dżengis-Chana (*The Life of Jenghiz Khan, by Robert Kenevay Douglas. London 1878*). Pociąga tu nowość przedmiotu, główne bowiem rysy życia mongolskiego zdobywcy, zarówno jak drobniejsze wydarzenia i opisy, czerpał tłumacz z chińskiego oryginału, gdzie kronikarz zapisywał je z całą ścisłością rachmistrza. Życie Dżengis-Chana dzieli się na trzy części. W pierwszej opisane jego dzieciństwo i wychowanie na wybrzeżach Amuru, gdy siedząc na wozie obok matki, jeździł za ojcem na wojnę przeciw słabszym sąsiadom; następują dalej opowiadania o zwycięstwach w Persyi i wschodniej Europie, a w końcu o podbojach dokonanych w Azji. Ostatnia ta część mieści najciekawsze dla nas, bo mało znane szczegóły, które tłumacz zaczerpnął umiejętnie z ksiąg dynastyi Yuen, nieznanych prawie w Europie.

Pamiętniki lorda Melbourne'a (*Memoire of the Right Honorable viscount Wiliam Melbourne, London 1878*), wydane przez członka parlamentu M. Torrensa powszechną zwróciły uwagę, przedstawiając z historyczną ścisłością obraz czasu, w którym były pisane. Przesuwa się tu przed oczyma czytelnika cały dwór Wilhelma IV-go, następnie ukazują się: młoda ośmnastoletnia królowa, sir Robert Peel, słynna Karolina Lamb, krewna lorda Melbourne'a, znana z uczuć swych dla Byrona, i wiele innych osób składających dwór królewski. Książka ta z każdego względu godna zająć miejsce w szeregu ciekawych i nauczających pamiętników ówczesnych.

Wielkie zaciekawienie wywołała także obecnie wyszła w Londynie mała książeczka M. C. Forgett'a, dyrektora policji w Bombaju, pod napisem: *Our real danger in India* (Prawdziwe niebezpieczeństwa w Indyach) autor opierając tutaj sądy swe na dokładnej znajomości charakteru ludności miejscowej, w pośród której długi czas przebywał, dowodzi, że Anglia nie ma się czego obawiać zaburzenia w prowincjach.

cyach indyjskich, które cenić już umieją do broczyną jej dla siebie działalność, ale natomiast na wojska nie rachować nie może, w razie wybuchu wojny z obcem mocarstwem. Żołnierze bowiem indyjscy nie potrafią stawić czoła wojskom europejskim; przeciwnie przy pierwszej potyczce, jeżeli zmiarkują, że siła i liczba wojsk tamtych przeważa, jako dobrzy Azyjacy, nie omieszkają przejść na stronę mocniejszego.

Karol Sumner, słynny mówca washingtonskiego senatu, wywierał przez ćwierć wieku wpływ wielki na sprawy swego kraju, i pamięć o nim, podobnie jak pamięć Pierce'a, Lincoln'a i Grant'a, pozostanie na zawsze w sercach rodaków. Nie dziw więc, że pamiętniki i listy jego wydane w Bostonie (*Memoirs and letters by Charles Sumner*, Boston 1878), znalazły licznych czytelników. Niemniejsze one budzą zajęcie po za obrębem Ameryki, przedstawiają bowiem niepospolity charakter prawdziwego republikanina, który nie ma nic wspólnego z wyobrażeniami dzisiejszych demagogów. Natętniony rzeczywistą miłością kraju, Sumner wznosi się po nad wszelkie sprzeczki i przesady stronnictw niby liberalnych. Opis podróży jego po Europie, w której zwiedził Anglię i Francję, podziwiając cuda przemysłu i sztuki, zarówno jak znakomite osobistości, które poznaje, jest pełen życia i prawdy, oraz światłych i bezstronnych sądów o ludziach i rzeczach.

Poeta amerykański Parke Avery, pod tytułem *Obrazy Kalifornii* (*Californian Pictures*, Boston 1878), wydał wierszem i prozą opis podróży po górach Sierra Nevada i po wybrzeżach Sacramento. Życie miejscowego ludu, opisane tu obszernie, objaśniają jeszcze ryciny przedstawiające stroje, zwyczaje, obyczaje, typy różnych plemion, a wreszcie położenie miejscowości. Styl prawdziwie podniosły sprawia, że przeplatanie prozy wierszem, nie tylko nie razi, lecz przeciwnie tworzy pewną harmonijną całość.

Dawny sekretarz ambasady francuskiej w Rzymie, hrabia d'Ideville, przebywając tam lat kilka (od roku 1862 do 1866), miał sposobność zebrać obfite materyały do wydanej obecnie

książki, w której potrafił odmalować wiernymi rysy pełną niepospolitych cnót i zalet postać zmarłego Ojca Ś. Praca ta obudzająca żywe zajęcie tak samą treścią, jak umiejętnem jej przedstawieniem, jest zarazem źródłem, z którego przyszli dziejopisowicze Piusa IX-go czerpać będą wiadomości o niektórych mniej ogólnie znanych faktach jego życia.

Charakter bohaterki Francyi Joanny d'Arc, po dziś dzień jeszcze jest przedmiotem ścisłych badań historyków; nowa na tem polu praca panna Godefroy'a, laureata Akademii Francuskiej, pod tytułem: *Le livre d'or français, mission de Jeanne d'Arc*, ma na celu dowieść, że Dziewica Orleańska zasługuje rzeczywiście na miano świętej, które rodacy pragną dla niej pozyskać. Opierając przekonanie swoje na faktach jej życia, czerpanych z autentycznych źródeł, autor przedstawia w opowiadaniu natchnionem religijnem i patriotycznym uczuciem, że Joanna d'Arc spełniła posłannictwo Bożkie, że obdarzona duchem proroczym dokonywała cudów, a poniosłszy w końcu śmierć męczeńską, zasłużyła na wieniec nieśmiertelnej chwały. Wydanie książki nader ozdobne, oprócz ilustracyj w pośrodku, mieści chromolitografię wizerunku Joanny według dawnego wzoru.

Słynny kaznodzieja francuski O. Felix wydał w oddzielnej broszurze pod napisem *La guerre aux Jésuites*, konferencyę, w której streszczył historię Jezusowego zakonu. Ważna ta praca znakomitego autora i mówcy, zasługuje na powszechną uwagę.

Autor niewielkiej, wyszłej w Medyolanie książeczki: *Allarme pei cattolici*, p. L. Nicora, rozstrzyga w niej powody, które skłonić powinny katolików żyjących w dzisiejszych czasach, do czujności i przezorności, zważywszy na wojnę wypowiedzianą Kościołowi i Bogu przez tak zwanych wolnomyslicieli. P. N. wykazuje w końcu jasno, że ogólny charakter tej walki nie jest ani miejscowy, ani polityczny, lecz tylko czysto socyalny.

*Przewodnik uczciwego człowieka* (*La Guida del galantuomo*), jest zbiorem myśli filozoficznych i religijnych zestawionych w pewnym porząd-

114

ku, który tworzy harmonijną całość. W pięknej tej i pożytecznej książce czytelnik znajdzie wierne wskazówki i rady w ciężkich okolicznościach życia.

*Historja prześladowania w Genewie* (Histoire de la persécution religieuse à Genève) opisuje znane już po części z pism publicznych prześladowanie Kościoła w miejscu chełpiącym się niegdys ze swobody religijnej. Aby lepiej wyjaśnić wątek, na którym są osnute wypadki, autor sięga w swem opowiadaniu początków bieżącego stulecia. Fakta które przytacza, mówią dość głośno i nie potrzebują komentarzy; zestawienie ich samo potępia nader wymownie czynności nieprzyjaciół Kościoła, którzy pogardziwszy wszelkimi prawami narodów, nie szczędzą mu udręczenia na każdym kroku. Widzimy tam księży więzionych i wygnanych, rozproszonych zakonników, wydalone Siostry Miłosierdzia i Siostrzyczki Ubogich, zagarnięte kościoły wzniesione przez pojedynczych założycieli, a natomiast odstępców, odrzuconych przez katolickie społeczeństwo, cieszących się powszechnem uznaniem.

Obok tych obrazów, od których odwracać się przychodzi ze zgrozą, jawią się piękne przykłady wytrwałości, odwagi i poświęcenia katolików, wspieranych przez duchowieństwo, na czele którego stoi bogoboyny i szanowany powszechnie biskup Mermillod. Mniemamy, że przedstawiona tu wybitnie działalność obu stron walczących, stanie za zbawienną naukę dla ludzi przekonanych chwiejnych, nasiąknięch zasadami fałszywych postępów. „Po owocach bowiem poznacie drzewo,” mówi Pismo.

Podróże kapitana Cameron'a stały się już rozgłosne przed wydaniem oddzielnej opisującej je książki: *A travers l'Afrique centrale p. le commandant Cameron*; to też książka ta z tem większem czytana jest zajęciem. Wielka myśl humanitarna była tutaj przewodnią gwiazdą podróżnika; pragnął on przyczynić się do zniesienia okrutnego handlu niewolnikami, i w tym celu głównie zwiedzał odległe, nieznane kraje. Przez lat trzy i miesięcy pięć przebiegł przestrzenie od Bagomaya leżącego na l oceanem Indyjskim wprost Zanzibaru, punktu wyjścia wszystkich podróżników, udających się w głąb

Afryki środkowej, aż do Bengeli, oblanej Atlantyckim Oceanem. Opowiadanie jego jest raczej przewodnikiem podróży, niż opisem jej wypadków, gdyż naturalnym wynikiem biegu rzeczy, w okolicach nieznanach i dzikich, cała uwaga przyjezdnych obrócona być musi na miejscowości, położenie ich, oraz obyczaje, i zwyczaje mieszkańców, i nie ma tu już miejsca na zwykle opowiadania turystów. Część drogi, jaką przebył Cameron, jest już nieco przetarta, a mianowicie okolice pomiędzy Zanzibarem i Wielkimi jeziorami; opisy wszakże całej przestrzeni pomiędzy krajem Congo i Zambezi, potrzebują wielu dopełnień pod względem geograficznym i hydrograficznym. Dopełnienia te uczynią w swoim czasie następcy Livingstone'ów, Stanley'ów i Cameron'ów; nie zmniejszy się przez to jednak zasługa poprzedników, na których wejda tory.

Karta geograficzna dodana do podróży Cameron'a, zaznacza drogę, którą przebywał, i wskazuje już sama przez się trudności, jakie odważny pionier pokonywać umiał. Zajmujące jego opowiadanie, dopełniając te wskazówki, obudza największy podziw i uwielbienie dla energicznej wytrwałości znakomitego podróżnika, usprawiedliwia rozgłosną sławę jego imienia. Nowa ta podróż po środkowej Afryce, jest ważnym przyczynkiem do ośmnastu tomów opisów tej mało jeszcze znanej okolicy, wydanych przez najslawniejszych amerykańskich, angielskich i francuzkich podróżników. Ustęp, w którym Cameron opowiada, jak powziął wiadomość o śmierci Livingstone'a i urządził orszak jego pogrzebowy, sam będąc wtedy ciężko chory, obudza dla niego żywe współczucie. Słownik botaniczny, umieszczony na końcu książki, dopełnia jej całości.

## Z WYSTAWY PARYZKIEJ.

### II.

Dnia 20 Maja 1878 r.

Pawilon miasta Paryża, mieszczący rozmaite oddziały sztuk pięknych, znajduje się na samym środku pałacu pola Marsowego. Zdążając tam galeryą, która od drzwi „de l'Avenue Rapp,” prowadzi do centrum, trzeba nieja-

ko walczyć z sobą, aby co chwila nie zastanawiać się, i zboczywszy w prawo lub lewo, celu z oka nie stracić. Coraz bowiem coś wzrok nęci, nie tylko pięknego, ale wchodzącego w obręb sztuki. Ledwie się przejdzie galerię machin, która dla profana żadnego mieć nie może powabu, a nawet odstrasza hukami i ruchem szalonym tyłu kół, drągów, sprężyn i młotów, głuchą pchniętą siłą, uderzając prawdziwie artystycznie wykończone wyroby francuzkich fabryk żelaznych. Dalej, pyszna wystawa bronzów *Barbedienne'a*, odtworzenia niezrównane najpiękniejszych antyków i arcydzieł sztuki nowożytnej,—obok olbrzymia, z zielonawego brązu odlana Amfora *Gustawa Doré'go*, po której wypukłych bokach, wśród liści i gron winogrodu, pną się zewsząd, opierają i zwieszają w najśliczniejszym nieładzie, rozrzucone amorki, nimfy i satyry; jedni upojeni już winem, drudzy usiłują się dostać aż na brzeg czary, gdzie zasiadł z poważnie założonemi rączkami uśmiechnięty i tryumfujący amorek. Tutaj znów trudno nie zajrzeć do galerii mebli, pełnej arcydzieł przepychu i wytwornego smaku, nie przypatrzeć się wyrobom marmurowym, aż wreszcie trafia się do ogrodu, i podziwiając po drodze ogromną ścianę wyłożoną pysznym fajanssem, godną ozdobić królewską jaką rezydencję, wchodzi się do pawilonu sztuk pięknych. Wśród galerij poświęconych przemysłowi, Francya i Anglia jaśnieją w pełni świetności, do której żaden inny naród nawet zbliżyć się nie może; tutaj zaś zapomina się o nich i mimowolnie najprzód włoskiej wystawy szuka. Zdawałoby się, że ojczyzna Rafaela i Michała Anioła, która po tajemniczych drganiach średnich wieków, pierwsza rozświeciła znowu i wysoko podniosła pochodnię ideału, dziś pierwszorzędnym kształcić musi artystów, posiadając wszystko, co poczucie piękna rozwija: cudne niebo, malowniczą naturę, skarby w muzeach i kościołach nagromadzone. Tymczasem Italia odpoczywa, jakby drzewo wysilone ogromem kwiatów i owoców, które wydało, i z zadziwieniem spostrzegamy, że malarzka sztuka włoska straciła nawet wszelką cechę narodową. Kiedy surowi Anglicy, ubogo uposażeni w zmysł artystyczny, wystawiają obrazy ciekawe jako odbicie ich typów i zwyczajów, tutaj uderza bezbarwność i konwen-

cyonalność chłodem wionąca. Pejzażyści włoscy nawet rzadko we własnym, tak pięknym kraju wzorów szukają, a p. *Laiacons*, szczęśliwego nie stanowi wyjątku; jego widok Palerma z żywych barw, które w naturze tak uroczco zawsze harmonizują, przykrą dla oka tworzy pstrokaciznę. Chcąc może uniknąć podobnego losu, p. *Nittis*, jeden z pierwszych ich pejzażystów, aż do Londynu od nadto świetnego słońca uciekł. Widoki tamtejsze, które przedstawił, są jedną z ciekawości wystawy. O kolorycie mowy tu nie ma, bo malarz zdaje się bladego tylko użył atramentu, aby oddać to szare, ciężkie niebo, niewyraźnie rysujące się w mgle i dymie kontury domów, pomników i sylwetki przechodniów; ale żadna fotografia wierniejszą być nie może, i nic lepiej nie objaśni, dla czego Anglicy tak często i chętnie opuszczają mroczną swą ojczyznę. Kto wpatrzy się w posępne te obrazy, rad też się od nich odwróci, i pobiegnie oglądać wschodnie widoki pp. *Pasins'a* i *Vertumus'a*, pełne światła i życia.

Portretów niewiele, a żadnego, przed którym z upodobaniem zatrzymałby się można, zacząwszy od umieszczonych w pierwszej sali wizerunków króla i królowej Włoch. P. *Spiridon*, wystawiając portret Gambetty, mógł być pewien, że każdego Francuza przynajmniej zwróci uwagę. Zapewne powodowani tą samą myślą pp. *Pagliano* i *Didioni* przedstawili Napoleona w chwili, kiedy Józefinie oznajmuje o postanowionym już rozwodzie,—w obu też akcesorya z rzadkiem oddane wykończeniem, większą grają rolę od znanych historycznych postaci. P. *Taliani* wystawił ładny obrazek pod tytułem: „Un mariage d'Etat.” Przyprawdają dostojnym rodzicom, zebranych w poważny kongres familijny, młodą parę, czteroletniego narzeczonego, który usiłuje ukryć na ramieniu mamki nadąsaną twarzyczkę, i ledwie mogącą się jeszcze na drobnych nóżkach utrzymać oblubienicę. Światły koloryt, dowcip w całej kompozycyi rozlany, i bardzo naturalne ugrupowanie osób, przybranych w malownicze ubiory XVII-go wieku, wzrok mile przyciągają wśród niebogatej wystawy.

Rzeźba za to każdemu przypomni dawną świetność Włoch, mnóstwem ładnych utworów. Wprawdzie i tutaj jakby znikło poczucie wiel-

kich tradycyji sztuki, i większa część artystów pragnie wyrzeźbić to, co Francuzi nazywają „un tableau de genre.” Nawet jedna z większych grupp, i jednogłośnie za najlepszą uznana, „Jenner, szczepiący po raz pierwszy ospę,” tak układem jak strojem przypomina obrazy francuzkie z końca XVIII-go wieku. Z wielkim talentem rzeźbiarz *Monteverde* oddał zadumę, niepokój, a zarazem silne postanowienie uczonego, próbującego, azali doświadczenie odpowie długim jego poszukiwaniom i nadziejom. Tego samego rzeźbiarza jest wschodnia śliczna „Peri,” nabyta już przez księcia Aosty, gipsowy odlew pomnika *Cavour’a* i kilka bardzo ładnych popiersi i posągów. *P. Guarnerio* z Medyolanu nadesłał chłopczyka, któremu nakazano iść spać i pacierz mówić,—stoi niebożę w nocnej koszulce, z rączkami złożonemi do modlitwy, a po skrzywionej i nadąsanej buzi spływają łzy, wcale nieświadczące o podniesieniu ducha. Mało która matka z uśmiechem się nie zastanowi przed smutnym malcem, albo przed dzieckiem, które *p. Butti* z równym przedstawił talentem, krzywiące się przed zwierciadłem. *P. Zanoni’ego*, śliczna jest dziewczynka, robiąca pończoszkę,—dalej odznaczają się czystością linii i elegancją wykończenia „Pływaczka” *p. Tabocchi’ego*, „Amor” *p. Spertucci’ego*, Indyjanka *p. Broga*, Chłopak leżący *p. Tortone’go*, kilkunastoletni Napoleon, uspiozny przy skale, na której siadł orzeł tuż koło przyszelego Cezara. Ogromny Cromwell, a nawet Pius IX siedzący *p. Pagliacetti’ego* nie dorównają drobniejszym tym utworom.

*P. d’Orsi* po mistrzowsku przedstawił odadaną wstrętą scenę dwóch pijaków, z których jeden śpi snem bydlęcym, drugi na wpół przebudzony, błędnym wzrokiem próbuje rozpatrzeć się w około. W taki sam realizm popadł *p. Focordi*, który jak *Nittis* angielskich zaczerpnął wzorów. Większa jego grupa przedstawia dwóch obdartych uliczników londyńskich, obwołujących gazety, których pęki w ręku trzymają; każdy z nich wrzeszczy ile sił stanie, aby przed drugim zdobyć sobie grosz przechodnia. Obok wyrobnik, próbuje utulić krzyżące niemowlę—z drugiej strony stara kobieta stojąc przy balii, zażarcie mydli, możnaby nawet powiedzieć szoruje skrzywionego wnuka, który zamrużywszy oczy i nadąwszy policz-

ki, wygląda tylko końca tak ciężkiej i rzadkiej widać operacyi. Z niepospolitym talentem oddane to wszystko, ale wcale nie pociągające dla tych, którzy uwiecznić podobne sceny i typy nie widzą potrzeby.

Tuż obok mieści się wystawa angielska, w której już całkiem realizm przeważa. Dziwnych też można napatrzeć się rzeczy, ale też i w niejednym obrazie podziwiać głębokie wystudyowanie typów i zwyczajów krajowych. Ozdobą tej wystawy są licznie zebrane utwory nieżyjącego od lat kilku *Landseer’a*, który zwierzęta nietylko z talentem i rzadką dokładnością, ale z pewną potrafił przedstawiać poezją. Niejeden obrazek rodzajowy mniej myśli nasunie, niż jego chora i drżąca małpeczka, którą strapiona matka do obrosłej piersi czule przytula, podczas kiedy zdrowy i obojętny je braciszek ochoczo ogryza porzuconą pomarańczę. Powszechną też uwagę zwraca obraz *Herkomer’a*: Nabożeństwo żałobne w kościele Chelsey, gdzie jest zakład Inwalidów, wielka bowiem panuje różnaitość, przy monotonnym układzie starców, siedzących rzędami na ławkach, oraz *Luke Fildes’a*: Uobdzy londyńscy oczekujący otwarcia domu przytułku na noc. Ugruppował tam malarz wszystkie typy rozpaczliwej nędzy, której Londyn posiada więcej niż którakolwiek stolica: od zobojeźniałego na wszystko pijaka, aż do płaczącej matki, obejmującej w faldy podartej sukni zziębłe dzieci; od starca, na którego szlachetnym obliczu maluje się cierpliwie znoszone udrczenie, aż do spodlonego ulicznika. „Stara brama” *Walker’a* maluje cichą scenę życia wiejskiego, tak jak *Morris’a* „Kosa i kwiaty,” kosarz spotykający grono dzieci. *Leslie, Barnard, Frith*, rodzajowe, a czysto narodowe nadesłali obrazy,—*Holh* śliczne i nadzwyczaj silnego kolorytu pastelle, między któremi odznacza się portret kapitana *Burton’a*—*Millois* piękny pejzaż, widok gór szkockich,—*Vicat* „Złotą jesień,”—*Lewis* piękne akwarelle. Pani *Buller* rzadki obrała dla kobiecego pędzla przedmiot, „Powrót z Inkermanu,”—wojsko maszerujące i liczny zastęp jazdy. *Saut*, pod tytułem „Adversité,” odmalował młodzieuchne, w wytartej sukni żałobnej stojące pod murem dziewczę, które niesmiało kwiaty przechodniom ofiaruje.

Portretów znaczna liczba; — między niemi

bawiące się na lwiej skórze dzieci księcia Wallii, i piękna głowa starca *Oules'a*, po większej części tylko dla rodzin modelów interesujące być mogą. Obrazy p. *Alma Tadema-tes'a*, chyba do archeologicznego działu zaliczyć można, gdyż ten utalentowany malarz bardziej za ciekawymi i starożytnymi przedmiotami, niż za pięknem goni.

Czasu nam dzisiaj nie staje, aby zająć do świeżo otworzonej wystawy sztuk pięknych niemieckich, gdzie znakomite być mają obrazy, między innymi „Lisowczyki” naszego *Brandt'a*. Wywzajemniając się za grzeczność uprzejmym sąsiadów, którzy choć odmówili udziału w wystawie przemysłowej, w końcu zdecydowali się przynajmniej na polu sztuki ukazać, — rząd francuzki zakazał przyjmować bądź na powszechną wystawę bądź na zwykły *Salon*, który jak zwykle się otworzy 25 Maja w pałacu pól Elizejskich, obrazów przedstawiających epizody z ostatniej wojny. Tym sposobem usunięto sześciu malarzy wielkiej dziś używających wziętości. Panowie ci *Neuville, Protais, Berne, Bellecour, Dupray* i *Detaille*, w magazynie *Goupil'a*, osobną urządzili wystawę swych utworów, — amatorom malarstwa nie zabraknie doprawdy roboty ze zwiedzaniem tego wszystkiego. Tymczasem przechodzimy zdążając do wyjścia przez galerye angielskie, — śliczne meble i dywany, pyszne kryształy, które z francuzkami idą w zawody, delikatne koronki roztaczają się na prawo i na lewo; — nawet fabryki nici i bawełny z Londynu i Manchesteru potrafiły ściągnąć na swe wyroby uwagę, artystycznym ich ułożeniem. Jedne z kłębów różnobarwne ustawiły kioski i minarety, drugie ze skręconych motków balon ułożyły.

Na kilku szafach uderzają nazwiska trzech wielkich panów i parów Anglii — margrabiego Londonderrego, lorda *Dudley'a* i lorda *Granville'a*. Wystawili oni okazy żelaza i węgla z min do nich należących, ubiegając się jak inni przemysłowcy o medal lub *mention honorable*. Nie daleko lśni się wystawa wyrobów stalowych: — jeden z fabrykantów wystawia ogromny nóż mieszczący w sobie aż sześćdziesiąt nożyków, scyzoryków i rozmaitych narzędzi, — drugi za to dwanaście par nożyczek mikroskopijnych, cały bowiem tuzin waży tylko trzecią część francuzkiego *gramma*, bo jest ledwo widzialną

drobną blaszką. Wprawdzie żadna dłoń ludzka władać nie potrafi temi narzędziami, które tylko za pomocą zwiększającego szkła dobrze obejrzeć można; — któryś z kronikarzy paryżkich proponuje, aby je ofiarować do biura cenzury.

Widzieć można, że dla niejednego z fabrykantów wystawa dobrym będzie interesem. Położone na wielu już przedmiotach karteczki z nazwiskiem nabywcy świadczą, że dużo rzeczy rozkupiono, choć właściciele do końca wystawy czekać będą musieli, aby wejść w posiadanie tego co kupili. Japońskie przedmioty szczególnie dużo już znalazły amatorów, pomimo cen wysokich, jak np. 15,000 fr. za jeden parawan. Wprawdzie można o nim powiedzieć, jak w bajce ludowej, że to nie parawan, ale cudo parawanów, piękniejszy niestety! od wielu europejskich obrazów.

Wystawa sztuk pięknych rossyjska dotąd nieotwarta, i bodaj że jeszcze parę tygodni upłynie w chaosie rozpakowywania i porządkowania, który w wielu oddziałach panuje. Do wystawy włoskiej sztuk pięknych, przybędzie dopiero w tych dniach, przysłane przez miasto Rzym popiersie *Adama Mickiewicza*, dłota *Wiktora Brodzkiego*, które niedawno w Kapitolu obok popiersia *Dante'go* umieszczono.

M. G.

## KORRESPONDENCYA.

*Petersburg, 22 Maja 1878.*

Słowno o wystawie. — Bezpłatna szkoła rysunkowa. — Projekt szkół nawigacyjnych. — W kwestyi żeńskich zakładów naukowych. — Znakomity zapis. — O posiedzeniach niektórych towarzystw naukowych. — Najnowsze wydawnictwa. — Młodziutki wirtuoz.

Po za polityką, wystawa paryżka jest obecnie kwestyą najbardziej na porządku dziennym będącą; pozwolę więc sobie zacząć dzisiejszą moją korespondencyę od tego co z nią ma związek, mianowicie od urzędzonej przez Akademię Sztuk Pięknych wystawy obrazów rossyjskich malarzy, które następnie zostały przesłane do Paryża. Wystawa cieszyła się wielkiem powodzeniem, a składały ją utwory pędzla z ostatniego dziesięciolecia. Obrazów treści historycznej było 11-scie, między którymi największej zalet przyznawano płótnom panów: *Kram-*



skiego, Czistiakowa i Litowczenki. Z trzynastu rodzajowych wyróżniały się prace pp. Maksimowa i Miasojedowa. Najświetniej reprezentowany był dział pejzażów, uswietniony imionami Ajwazowskiego, Klodta, Szyszkina i Bogolubowa.

Mówiąc o malarstwie, wspomnę o bezpłatnej szkole rysunkowej istniejącej tu od 1875 roku, która coraz większą zyskuje popularność. Liczy obecnie 374 uczniów, a składa się z sześciu klas, w których wykładane są: rysunki techniczne, ornamentacyjne ze wzorów i z gipsowych modeli, oraz nauka perspektywy. Niedawno zaś w Akademii Sztuk Pięknych otworzony został za staraniem pana Szyszkina dział dekoracyjny, którego potrzeba wielce się czuć dawała.

Pożądanemby było, aby drugi projekt, całkiem odmienny i bez wątpienia ważniejszej natury, został równie szczęśliwie do skutku doprowadzony. Mamy tu na myśli opracowany przez osobną komisję, i na odbytym niedawno w Petersburgu zjeździe marynarzy przedstawiony projekt szkół nawigacyjnych, których zadaniem ma być kształcenie specjalnie w zawodzie żeglarskim, mianowicie wewnętrznym, to jest po rosyjskich rzekach i jeziorach. Według programu szkoły te dzielić się będą na jednoklassowe, ze specjalnym tylko zakresem, i trzyklassowe, w których objęte będzie ogólne wykształcenie, bo prócz nauki nawigacji, budowy statków, praw, przepisów, oraz utrzymywania ksiąg marynarskich, program zapowiada następujące przedmioty: religię, język rosyjski, historję Rosyi, arytmetykę, geometryę i geografję.

Godną uwagi w kwestyi szkolnej jest także podwyżka wpisowego w zakładach naukowych żeńskich w Petersburgu, która już z początkiem przyszłego akademickiego roku ma być wprowadzona.

Fakt ten, w połączeniu z okolicznością, że według statystycznych danych największa liczba uczennic przypada na niezamożną klasę szlacheckiej ludności, to jest na córki niższych urzędników, oficerów etc., może dla wielu stać się przeszkodą do dalszego kształcenia. Z tego względu pożądanemby było utworzenie większej liczby stypendyów, oraz uorganizowanie

niższych czteroklassowych szkół z praktycznym głównie rękodzielniczym lub przemysłowym kierunkiem.

W zestawieniu z powyższym faktem, dziwniej jeszcze i smutniej przedstawia się drugi, wręcz przeciwny. Dwaj petersburscy kupcy Timenkov i Kolosow zapisali testamentem wspólne swoje mienie, wynoszące pięć milionów, na cele dobroczynne i naukowe. Pięć milionów rubli to summa wcale pokaźna, a jak na prywatną ofiarę jedyna może w swoim rodzaju na całą Rosyję.

Z kolei od uczących się, wypada mi przejść do uczonych, i wspomnieć o niektórych posiedzeniach tak licznych tutaj naukowych towarzystw. W pierwszej mojej korespondencji uczyniłem obszerniejszą nieco wzmiankę o działalności Towarzystwa, miłośników starożytnego piśmiennictwa. O ile zaś cieszy się ono uznaniem za granicą i w kraju, tego dowodem były odczytane na ostatniej sessyi dwa listy: Pierwszy od „*Ecole des langues orientales*” z prośbą o nadesłanie do biblioteki tego zakładu wszystkich wydawnictw Towarzystwa, ma się rozumieć za odpowiednią opłatą; drugi od pana Borsukowa, który kończąc drukowanie swego dzieła „*O życiu i pracach Strojewa*,” prosił towarzystwo o pozwolenie dedykowania mu i przyjęcia w darze dwustu egzemplarzy tej książki. Komitet wywdzięczając się za to panu Borsukowowi, postanowił podziękować mu publicznie na rocznem zebraniu.

Kilka dni temu odbyło się pierwsze posiedzenie nowo utworzonego Fotograficznego Towarzystwa, które położyło sobie za cel udoskonalenie fotografii we wszystkich jej zastosowaniach do nauki i sztuki. Na posiedzeniu przydywował znany fotograf-amator generał-major Birkin, a liczna publiczność zapelniała salę. Między innemi, pan Lewicki mówił o sposobie fotografowania wynalazku pana Warnki, który to sposób zasada się na zastosowaniu emulsyi w przygotowaniu czułych blaszek nie na szkłe, ale na zwyczajnym woskowym papierze, co w praktyce jest o wiele dogodniejsze. Na zakończenie prezes zaznajomił Towarzystwo z wynalazkiem pana Bołdyrewa, a mianowicie ze sposobem regulowania oddalenia ogniska soczewki w aparacie, dzięki któremu fotografia będzie mogła odtwarzać grupy osób rozru-

cone na znacznych perspektywicznych odległościach.

Zbliżające się lato nasunęło na ostatniemu posiedzeniu Towarzystwa naturalistów wydziału botanicznego myśl urządzenia naukowych wycieczek kosztem tegoż wydziału. Pan Gobi podał projekt zbadania w nich roślinności morza Bałtyckiego oraz jezior znajdujących się między zatoką Fińską i morzem Białem. Pan Grigorjew przemawiał za koniecznością naukowego rozpatrzenia się na trzęsawiskach i torfowiskach, w które tak obfituje Rosyja, a które pod tym względem są zaniedbane.

W tych dniach w handlu księgarskim pojawiła się książka będąca owocem dwuletniej pracy Towarzystwa krzewicieli oświaty. Tytuł jej: „*Obzor ruskij narodouczebnoj literatury;*” treść: krytyczny rozbiór podręczników naukowych w rozmaitych kierunkach wiedzy i w szkolnym zakresie. Napotykamy więc w przeglądzie: pedagogikę, religię, język narodowy, matematykę, historię, geografję, nauki przyrodzone etc. Wydawnictwo to wielce pożyteczne tak dla nauczycieli, jak dla kształcących się samodzielnie, i zapewne cieszyć się będzie powodzeniem. Na uwagę zasługują także niedawno wydrukowane atlasy geograficzne wszystkich części świata dla początkujących w tej nauce; mniejszy atlas składa się z 14 mapp, większy z 28, układu i rysunku pana Soslejba. Wydanie dokonane przez pana Sztrauka odznacza się prócz staranności niezwykle niską ceną bo 60 kop za mały, a rs. 1 kop. 20 za duży.

Poważniejszą w tym kierunku pracą jest geograficzny słownik zachodnich i południowych ziem słowiańskich, ułożony przez pana Gołowackiego, którego krytycznym rozbiorem zajęł się pan Łamański na ostatniemu etnograficznemu posiedzeniu Towarzystwa geograficznego. Autor słownika założył sobie zebrać krótkie wiadomości o wszystkich słowiańskich miejscowościach z wyjątkiem Rosyji, a posilkując się tylko słowiańskimi źródłami, wprowadzić czysto narodowe nazwy dla tych ziem, których nomenklatura popsuta została pod wpływem obczyzny.

Niez mordowany pracownik na polu buchhalteryi, pan Jeziński, wynalazca potrójnego systemu, który niedawno w dwóch swoich pra-

cach o *buchhalteryi handlowej i buchhalteryi towarzystw akcyjnych*, zrobił porównawczą analizę swego systemu z podwójnym włoskim, przysłużył się teraz publiczności dwiema nowemi książkami. W pierwszej z nich przeznaczony dla użytku kassyerów, podaje myśl takiego grupowania pozycyj, żeby wszystko czynności danego przedsiębiorstwa czy interesu w jednej pomieścić księdze. Czyli: żeby „księga główna” była zarazem „kassową,” „księgą towarów” i „księgą własną”. Druga praca, „Rachunkowość wiejskiego gospodarstwa,” jest niezmiernie pożytecznym nabytkiem w tym kierunku, bo pan Jeziński podaje w niej zupełnie nowy a wielce praktyczny sposób regulowania w księgach wszystkich czynności w zakres gospodarstwa wchodzących.

Na zakończenie mej korespondencji podzielę się z czytelnikami wiadomością o cudownem dziecku, dziewięcioletnim skrzypku Karolu Grigorjewiczu, który przed kilku dniami popisywał się w sali nadwornej orkiestry. Młodziutki wirtuoz zadziwił licznie zgromadzoną publiczność wykonaniem jednego z trudniejszych koncertów Mendelsohna, z biegłością i wprawą, które rzeczywiście są zdumiewające, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę tę okoliczność, że malec uczy się dopiero dwa lata, co w muzyce na skrzypkach jest bardzo krótkim przeciągiem czasu. Rzęsiste oklaski i bukiety nagrodziły koncertanta, mającego przed sobą świetną przyszłość artystyczną.

## ZAPISKI z POBYTU

w SZWECYI

Oskara Brzozowskiego.

(Ciąg dalszy. Ob. N. 24).

W galerii obrazów, przeszło 2000 sztuk liczącej, widzieć można portret Zygmunta III w zbroi, siedzącego na koniu, w naturalnej wielkości, przez niego samego do Sztokholmu niegdyś przysłany. Widziałem też dużą księgę, w której same tylko sztychy odnoszące się do historii polskiej oprawne były. Kiedy i jak one się tu dostały? niewiedomo; to tylko pewna, że je Gustaw III do jednej zgromadził teki, i podpisami niektóre z nich opatrzył.

Notujemy tu ciekawsze egzemplarze:

1. Zbiór kart geograficznych Królestwa Polskiego 1644.
2. *Armes de Pologne, avec l'ordre de l'aigle blanc.*
3. *Ordre des frères porte-glaives de Livonie.*
4. *Croix de l'ordre des chevaliers teutoniques.*
5. Wizerunki królów polskich od Lecha I do Zygmunta III.
6. Dwa sztychy, z których jeden wyobraża oddanie znaków królewskich Bolesławowi przez Cesarza Ottona, drugi Unię Litwy z Koroną.
7. Portret z podpisem: *Casimir III Roy de Pologne.*
8. Portret Zygmunta Augusta sztychowany w r. 1562.
9. Portret Stefana Batorego.
10. Portrety Anny Jagiellonki i Władysława IV z łacińskimi podpisami.

Następnie oglądałem medale z wizerunkami różnych znakomitych Polaków, z podpisami łacińskimi, a w drzeworytach herby i portrety królów polskich powyrzynane z kroniki i herbarzów.

Mappy Polski, Litwy, Żmudzi, Wołynia i Podola, Pruss polskich, Infant.

Widoki Krakowa, Gdańska, Warszawy, Lwowa, Lublina. Plany: Wilna, Zamościa, Przemysła, Biecha, Sandomierza, Poznania, Łowicza, Grodna.

Zbiór ten uzupełnia sztych niewielkiego rozmiaru, wyobrażający zwycięstwo Zygmunta III nad Karolem księciem Sudermanii pod Rygą.

Zwiedziliśmy jeszcze kościół w Riedarholmie, który jest wyłącznie przeznaczony na groby królów, i tylko kilku wielkich wodzów ma tam swoje kaplice i pomniki. W r. 1835 pożar zniszczył tę świątynię, a panujący wówczas król przeznaczył ją na zbiór trofeów narodowych. W kaplicy Gustawów przed przepyszny sarkofagiem Gustawa Adolfa, zawieszono są jego suknie, w bitwie pod Lipskiem krwią oblane, a wszystkie ściany okryte chorągwami zdobytymi na nieprzyjaciół. Pomiędzy niemi są i polskie z herbami panującego u nas domu Wazów, i znaczna liczba bębnow i narzędzi muzycznych wojska narodowego polskiego, z czasów Zygmunta III. Chorągwie są z jedwabnej amarantowej materyi, a na bębnach białe orły i pogonie zachowane. Nad

grobem Gustawa Adolfa zawieszona jest jego zbroja i trzy pałasze. Do jednego z nich odnosi się następująca wzmianka: „W utarczce pod Gdańskiem 30 Lipca 1627 r., hussarz polski przebijając się walecznie pomiędzy żołnierzy otaczających króla, natarł na Gustawa Adolfa z największą gwałtownością, chcąc jednym zamachem ściąć głowę królowi; lecz ten wstrzymał cięcie, które jednak tak było silne, że rękojeść szabli królewskiej w druzgi się rozsyłała. Towarzysz ów powtórnie chciał go rąbnąć, gdy razem więcej niż czterdzieści strzałów karabinowych, trupem go u nóg króla położyło.”

Naprzeciw kaplicy Gustawów spoczywają zwłoki Karola XII. Znowu chorągwie, znowu suknie krwią oblane, i znowu orły z pogonią grób króla zdobią.

Nie masz może narodu, któryby w liczbie swych panujących tyłu wodzów i bohaterów liczył co Szwecya.

Jak Gustaw Adolf, tak i Karol XII śmierć na polu bitwy znaleźli. Przed sarkofagiem jego zatknięta jest chorągiew jazdy polskiej, osobiście przez króla wzięta pod Pułtuskim. Na dnie aksamitnem ciemnobłękitnem, przy białych orłach i pogoniach srebrem wyszywanym, oznaczają się litery srebrne: F. A. R. P. Fridericus Augustus Rex Poloniae. Piotr Wielki mawiał o Karolu XII do swego wojska: „Brat Karol dopóty nas bić będzie, dopóki nas zwyciężać nie nauczy.” Jednakże szczęście ciągle sprzyjało młodemu bohaterowi; wypadło więc wspólnie się naradzić, aby się oprzeć jego powodzeniom, i w tym celu zjechał się Piotr z Augustem II w Birzach, gdzie radząc o sprawach kraju, skojarzyli się osobistą przyjaźnią. Piękna postawa obudwóch monarchów, ich nadzwyczajne wspólne zamiłowanie w wojennym rzemiośle, z wielu względów ich zbliżało. Piotr Wielki polubił rodzaj życia i cały dwór Augusta, tak, że zaczął się nawet ubierać po polsku. Kontusz Piotra Wielkiego oglądałem w Moskwie. Jest on ponsowy, ze złotemi pętlcami, a wytarte szwy i łokcie świadczą, że był często przez niego używany.

Zwiedzwszy katedrę Riedarholmu <sup>1)</sup>, uda-

<sup>1)</sup> Jest to zresztą jedyny kościół w Sztokholmie, wzbudzający zajęcie, i to głównie jako miejsce grobów

liśmy się do ziomka naszego, ks. H. Bukowskiego, bardzo cenionego w Szwecyi archeologa, a gorliwego pamiątek polskich opiekuna. Po śmierci królowej wdowy, król Oskar powierzył ks. Bukowskiemu spisanie i ocenienie zbioru przedmiotów sztuki i pamiątek historycznych pozostałych po niej; właśnie wyszedł niedawno z druku katalog tego zbioru, wydany w języku szwedzkim przez naszego ziomka. Po śmierci p. Fomm'a, który posiadał bardzo bogaty zbiór archeologiczny w Oesterly i w Danemary, wezwano także Ks. Bukowskiego jako znawcę, do ocenienia przedmiotów i zrobienia podziału między dziećmi. Spadkobiercy ofiarowali mu za te prace portret króla Jana III, rytowany przez Howego w r. 1674, i pięć rycin naszego Gdańszczanina Falcka. W zbiorach Famm'a znajduje się także portret Zygmunta Augusta, malowany na blasze w XVI w.

Te szczegóły i wiele innych opowiadał nam ks. Bukowski. Obecnie zajęty jest wystawą archeologiczną, która ma być otwarta w Grudniu, w Sztokholmie w pałacu księcia Adolfa, na placu Gustawa II. Wezmą w niej udział prócz króla i domu królewskiego, wszystkie historyczne rodziny szwedzkie, przechowujące w swych zbiorach liczne pamiątki zdobyte podczas wojen w Polsce i wojny trzydziestoletniej w Niemczech. Bogata ta wystawa obejmować będzie niejedyn zabytek z przeszłości polskiej.

Mówiliśmy też o królu Oskarze, o rozległych wiadomościach, jakie ten monarcha posiada, interesując się bardzo ruchem naukowym. Niedawno zwiedzał on uniwersytet w Lundzie, a udawszy się sam w todzie doktorskiej na zgromadzenie akademickie, miał piękną przemowę, w której powstawał na dążność tegowieczną, poświęcania się głównie naukom utylitarnym:

„Zadaniem uniwersytetu powinno być powstrzymanie i zwalczanie tej dążności, a krzewienie coraz szersze studyów klassycznych i nauk ścisłych.”

królewskich i pamiątek, bo nabożeństwo odprawia się tu tylko w czasie chowania zwłok królewskich. Starożytny kościół św. Katarzyny posiadał dwa duże dzwony, przez Gustawa z Polski wywiezione, lecz zniszczył je pożar w 1723 r.

Wreszcie przyszła rozmowa na zaprowadzenie reformacji w Szwecyi, a ks. Bukowski wskazał mi źródła, które są prawdziwym skarbem dla badacza ery katolickiej w tym kraju. Głównie wymienić wypada Jana Messeniusza, urodzonego w Wadstanie 1570 r. Był on profesorem Akademii Upsalskiej, dla niezłomnych przekonań niemiły Gustawowi Adolfowi, został podejrzany o tajne przymierze z Zygmuntem III i wygnany razem z rodziną do północnej Finlandyi, gdzie lat 20 przesiedział, aż mu królowa Krystyna przywróciła wolność. Podczas długiego wygnania, napisał dzieło nieoszacowane, tak dla obfitości szczegółów, jak i dla uczciwej a bezwzględnej prawdą tętnącej dążności, z którego wszyscy późniejsi pisarze skandynawscy pełnymi czerpali rękami. Wydano je pod tytułem: *Scandia illustrata*.

Wielkiej też są wagi zebrane przez słynne grono belgijskich Bollandystów w wieku XVII żywoty Świętych szwedzkich i pierwszych tej krainy apostołów, gdzie znajdujemy bardzo dawne i autentyczne o tym kraju i jego mieszkańcach wiadomości, podobnie jak zawdzięczamy missyonarzom XVI wieku najwięcej światła o mało wtedy znanych Chinach i Japonii.

Z nowszych dzieł dotyczących katolicyzmu w Szwecyi zasługuje na wzmiankę praca uczonego Augustyna Theiner'a, a głównie część dotycząca panowania Jana III na nieznanych dokumentach oparta, a mieszcząca wiele ciekawych szczegółów. U nas wyszło dzieło o katolicyzmie w Szwecyi przez zgasłego niedawno hr. Maurycego Dzieduszyckiego, znanego autora Piotra Skargi i Zbigniewa Oleśnickiego.

Pożegnawszy uczonego ziomka naszego, wracaliśmy do hotelu, a w przechadzce po mieście, uderzyła nas niezwykła ilość posągów z brązu i z marmuru, które się tu napotyka. Nikt tak nie umie oceniać za życia a czcić po śmierci chwał zasług narodowych jak Skandynawczycy; to też wśród pomników stawianych królom i bohaterom, widzimy inne poświęcone pamięci uczonych lub poetów. 10 Stycznia, 1878 r., jako w setną rocznicę śmierci Linneusza, przeznaczono odsłonięcie pomnika tego uczonego badacza.

Dzisiejszy dzień przeznaczony był na zwiedzenie zamku Gripsholmu, odległego od Sztokholmu o 5 $\frac{1}{2}$  mil morskich. Zamek ten w stylu

gotyckim wzniesiony, przez kilka wieków będąc świadkiem wielu wypadków historycznych, stał się dzisiaj pomnikiem dziejów szwedzkich i ulubionem miejscem pielgrzymki mieszkańców całego kraju. Trzeba tu oddać sprawiedliwość wszystkim klasom ludzi, że z historią własnej ziemi dokładnie są obeznane. Każdy włościanin z gruntowną znajomością rzeczy rozprawić o niej będzie, i czyny przeszłe ich królów lubo krótkotrwałe, lecz na los Europy wpływające, są zwykle ulubionym przedmiotem zajmującym umysł ludu szwedzkiego; wspomina on o czasach swojej wielkości i chwały z uczuciem starca, marzącego o chwilach młodości.

Śliczna przejażdżka około brzegów romantycznego jeziora Maeler, zbliżyła nas do zamku, którego poważny widok jest zupełnie odpowiedni pamięci wielkich ludzi, których świadectwo nosi na sobie. Przebiegając myślą krwawe sceny zbrodni, jakie tam się zdarzały w ubiegłych wiekach, wierzyć trudno, że tyle zlego wśród tych czarujących działo się okolic. Ale piękno stworzył Bóg, a zło, które się tam zagnieździło, było dziełem człowieka.

Nazwanie zamku Gripsholmu, wyprowadzają historycy od dziedzica byleż niegdys w tem miejscu budowy, zowiącego się *Grypp*, po polsku *Gryf*, którego wyobrażenie dotąd na chorągiewce zamkowej widzieć można, słowo zaś *holm* oznacza wyspę. W 1537 r. Gustaw I rozkazał wzniesić zamek w Gripsholmie, po którego ukończeniu król tam przez piętnaście dni przebywał, używając świętych zabaw. Nie przeczuwał wtedy, że wzniosł mury mające służyć za więzienie dla jego synów, za miejsce najczarniejszej zbrodni bratobójstwa.

Sal zamkowych jest w ogóle 300, noszą one po największej części nazwy miast nawiedzanych przez Szwedów w czasie ich rycerskiego pochodu; są tam sale: Warszawa, Gdańsk, Kraków, i t. d. W sali audyencyonalnej króla jest piękny portret Zygmunta III robiony przez malarza Pasch'a. Sala gdzie się stany królestwa zgromadzały, zachowana jest zupełnie tak, jak była za czasów Gustawa Wazy. Król ten zebrał w niej portrety współcześnie z nim panujących monarchów. Sam pierwsze zajął miejsce, a blisko siebie umieścił wizerunek Zygmunta Starego, jednego z najpotężniejszych wówczas królów. Jadalną salę zdobią dwa

marmurowe popiersia: pierwsze wyobraża Jana Kazimierza króla polskiego, drugie również dobrego dłota, żonę jego Maryę Ludwikę.

W jednym z pokojów mniejszych jest portret Stanisława Leszczyńskiego; ma on na sobie szafirową sukienną sukmanę, zamszowy pas i także duże rękawice, włosy w górę zaczesane i rozrzucone w nieładzie, zupełnie tak jak je Karol XII zwykł był nosić. Przyjaźń jego dla króla szwedzkiego była szczera, i niezmienna, choć się szczęście od niego odwróciło; wszystko bowiem co pocziwe i szlachetne zdobyło życie Leszczyńskiego.

Wizerunek Mazepy, ostatnie najście Szwedów mi przypomniął; ten sprzymierzeniec i doradca Karola XII na to go zdaje się zaprowadził w swoje strony, aby z nim razem upadł. Ale wróćmy jeszcze do gabinetu obok sali audyencyonalnej, gdzie pokazują współczesny portret pięknej królowej Cecylii, niedoszłej żony Jana Tęczyńskiego <sup>1)</sup>.

Jan hrabia Tęczyński, wojewodzie sandomierski, przybył w r. 1561 do Sztokholmu w poselstwie od Zygmunta Augusta, i zakochał się w słynącej z urody królownie Cecylii, a widząc jej dla siebie wzajemność, odważył się prosić o jej rękę. Nie szwedzka atoli królowna, więcej niż wątpliwej reputacyi, miała się przenieść na polską ziemię, ale cnotliwej Jagiellonce przeznaczone było, aby w Szwecyi wycierpieć wiele, a potem zasiąść na tronie.

W roku 1562, odbył się w Wilnie ślub Jana księcia finlandzkiego z królowną Katarzyną, która chociaż o dziesięć lat starsza od swego małżonka, umiała wyrzeć na nim wpływ korzystny, i przywiązać go do siebie nietylko urodą (była bowiem sądząc z wizerunków najpiękniejszą z sióstr Zygmunta), ale co większa, cnotą. Jako wysoce wykształconego młodzieńca, pociągał też Jana jej rzadki rozum (o czem świadczą jej listy, w sprawach nawet publicznych pisane) i stałe do niego w pomyslnych czy złych losach przywiązanie.

Dawna niechęć Eryka XIV ku bratu szukała tylko pozorów, aby go pomówić o jakies spiski i knowania przeciw sobie. Pod nacis-

<sup>1)</sup> Na tem tle jest osnuta historyczna powieść Niemcewicza: „Jan z Tęczyna.“

kiem fałszywych zeznań, stany wyrzekły karę śmierci na Jana, polecając go wszakże łasce braterskiej. Księżę Finlandyi razem z żoną przywieziony do Sztokholmu, oddzielony od dworzan, z którymi obchodzono się najniegodniej, uwięziony został w zamku gripsholmskim. Gdy Eryk kazał wezwać Katarzynę, aby opuściła winnego małżonka i wróciła do Polski lub do Finlandyi, wtedy córka Jagiellów za całą odpowiedź wskazała mu tylko pierścień z napisem: *Nemo nisi mors*. I odłączona od swoich, wytrwała w przykrem zamknięciu przeszło cztery lata, będąc mężowi prawdziwym aniołem pocieszycielem, i korzystając z długich godzin więziennych, aby go podnosić na duchu. W tem więzieniu urodził się król nasz Zygmunt III i córka Izabella. Nareszcie Eryk skruszony listem arcybiskupa Wawrzyńca Petri'ego, uległ powszechnemu życzeniu pogodzenia się z Janem, i kazał uwolnić księżęcą parę; gdy zaś później w napadach obłąkania, dopuszczał się różnych niesprawiedliwości i zbrodni, senat ze stanami i sejm odsądził go na zawsze od tronu pospołu z następcami, a powołał na tron Jana; następcą po nim uznał małego Zygmunta.

Z poszanowaniem opuściliśmy okragłe wnętrze zamkowej wieży, w której bogobojna naszych Jagiellów córka ciężkie lata więzienia przeżyła; a w myśli stanął obraz Simmlera przed wielu laty na Wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie widziany, przedstawiający ją w tem więzieniu.

Zwiedziliśmy także w Gripsholmie mieszkanie, które tu przez czas niejaki zajmował Bernadotte, jedyny człowiek rzucony przez rewolucję francuską, który się na tronie utrzymał i dynastję swoją ustalić potrafił. Wezwany do Szwecyi jako następcy Karola XIII, przybył do nowo przybranej ojczyzny, a stając na granitowym brzegu starej Skandynawii, odepchnął łódź, która go tam przyniosła, zostawując w niej dawne stosunki, a nawet i wiarę ojców.

Hr. Eustachy Tyszkiewicz, w Listach swoich o Szwecyi, tak opisuje posłuchanie u Karola XIV w r. 1848: „Wyznam szczerze, że cokolwiek mi mówiono o uprzejmości króla dla cudzoziemców, było niedostateczne. Gdy stanął przed nim, uderzyła mnie jego urodziwa i majestatyczna postać, połączona z łagodnym

wyrazem twarzy. Kazał mi usiąść i mówił o dziejach ziemi naszej z zadziwiającą znajomością rzeczy. Wspomnił także o dawnych swych znajomościach w Paryżu, a mianowicie o pani Tyszkiewiczowej, referendarzowej W. Ks. Lit., która sławna z rozumu, za jego czasów w stolicy Francyi świetny dom utrzymywała. Następnie wymienił jej brata, księcia Józefa Poniatowskiego, z uwielbieniem i szacunkiem, na jakie zasłużył. Pytał się też o księcia Henryka Lubomirskiego, którego znał dobrze w Wiedniu w 1798 r., i rzetelnie był wesół wspominając tę dobrą swoją znajomość.

„Gdy o samych tylko mowa była Polakach: —A wiesz pan, rzekł, że to jego ziomek pierwszy mi przepowiedział, że będę królem? Nie wierzę w przepowiednie, ale jest jakiś rodzaj przecucia niewytlómaczony. Oto w 1809 r., książe Józef przysłał do mnie półkownika Bronikowskiego, z uwiadomieniem o swoich obrotach. W ciągu kilkudniowego z nim pobytu, raz w poufnej rozmowie wspomnił Bronikowski przedemną o zdarzeniu, które spotkało młodego Stanisława Poniatowskiego, gdy jeszcze uczęszczał do collegium. Jego wyrazy niesłychany wpływ na mnie wywarły, gdyż w pierwszej młodości mojej zupełnie podobną miałem wróżbę. Ta myśl nigdy mnie nie opuszczała, i wlat kilka sprawdzona została.—Z tego wpadliśmy w rozmowę o Stanisławie Augustcie. Sędziwy król szwedzki wyrażał się zawsze z prawdziwie młodzieńczym zapałem. W długiej rozmowie zdawało się, że wspomnienia chwil przeszłych, chwil szczęśliwych, przyjemne mu były. Król był wesół tego wieczoru, i po pięciu kwadransach posłuchania, żegnając mnie szczerem uściśnieniem, wspomnił, że go już więcej widzieć nie będę. Rzeczywiście, w kilka miesięcy potem już nie żył.”

## PAN NA CZTERECH CHŁOPACH.

HISTORIA SZLACHECKA

Z XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

Towarzysz pański, który przy nim tak pokornym był, że mu wnet sam zaczął stołka

szukać i kapelusz odjął, uprzedzając sługi, pomimo to także bóty miał duże i łatwo było zgadnąć, że sam na sam takby zawadyacko dokazywał, iżby go uchościć nie było łatwo. Gospodarowali już w izbie jakby ona do nich należała. Prychnął otyły jegomość, że krzesła nie było, i na stołku podłożył chustkę, którą zdjął prędko z siebie; obejrzeni się po ubożem mieszkaniu, okazując pewne nieukontentowanie, że tak źle trafili.

Gospodarz stał z boku, mając za sobą w odwodzie Grzymałę, tulącego się do kąta, i czekał co dalej Bóg da, zachowując zimną krew i wcale pokornej nie przybierając miny.

Z niemiecka ubrany pan począł mu się naprzód przypatrywać, i pomyślawszy nieco, odezwał się głosem dziwnym, prędko i nakazująco a gorączkowo:

— Dziedzie wioski? he?

— Tak jest, odparł Felicyan, — i chciałbym mieć to szczęście wiedzieć, kogo u siebie przyjmuję?

Zdziwił się trochę i skrzywił gość usłyszawszy to pytanie, jakby mu się zdawało, iż go przecię cały świat znać musi, a jakby zagadnienie to wprost *ad personam* uczynione, uwłaczającym dla siebie znajdował.

Prychnął tylko, a towarzysz pański postąpiwszy krok, rzekł z cicha:

— Jaśnie wielmożny graf Fleming, podskarbi z Terespoli.

Skłonił się z lekka młodzieniec, lecz spodziewanego może wrażenia to na nim nie uczyniło, pomimo że pan generał artylleryi koronnej, podskarbi litewski, starosta szereszewski i brzeski, świeżo od Pocięja strażnika litewskiego nabywca dóbr Włodawy, Rożanki, Rzeczyicy i Zdzitowiec, był dzięki własnemu znaczeniu na dworze i kolligacyi z Czartoryskimi, jednym z najmożniejszych panów w okolicy.

— Jaśnie wielmożny graf, dodał towarzysz, — w drodze nieszczęśliwie zabłądził.

— Furman szlagi! przerwał podskarbi, i stuknął o stół.

— Dokądże jaśnie wielmożny graf jechał? zapytał Felicyan.

— Do Kaplonosów, rzekł cicho spytany, — dla dyfferencyi z Holeszowem!

Grzymała słysząc to, przeżegnał się zdziwiony.

— Gdzie tedy do Kaplonosów! zawołał.

— Szlagil powtórzył Fleming. Powiedział: wie drogę! Ludzie zostali, a my tu! he! Dziura, piekło, żaden gościniec! szlagil!

Grzymała, który wcale też nie był wielkością pana onieśmielony, dodał:

— Na to się poradzi i da przewodnika do Kaplonosów, to mała rzecz!

— Mała rzecz! wielki czas! zawołał Fleming gniewnie. — Konie zmęczone, a ja!

Pomacał się po bokach.

— To jest piekło nie droga! tedy nikt nie jęzdzi?

— Oprócz fur z gnojem i po drwa do lasu! dokończył chłodno Grzymała, — a podskarbi podchwycił za nim ze złością:

— Ja! gnój, *drek!* wozic po te drogi!

Wszyscy zamilkli widząc gniew pański; podskarbi popatrzał na Felicyana.

— A co jeść? nie ma co jeść? zapytał.

— Wątpię, żeby to co jest, godnem było ust pańskich, odparł gospodarz, — jaja się znajdują, chleb razowy, masło, mleko. Jestem człowiek ubogi.

— A dla czegoż jesteś ubogi? — podchwycił Fleming. — Młody człek, taki zdrow, silny, niepowinien być ubogi.

— Tak Bóg da! — odparł Sobek, — ojciec zużozał, jam się jeszcze nie miał czasu dorabiać. Niedawno mi go śmierć zabrała...

Tu westchnął.

— Szlachcie? — spytał Fleming.

— Stary szlachcie, herbu Brochwicz — odezwał się dumnie chłopak. Mieliśmy to szczęście, że dwa domy pańskie naszą się fortuną pożywiły: Radziwiłłowie i Ciołkowie z Żelochowa. Dla tego może nam, to jest mnie, czterech chłopów zostało.

Fleming się rozśmiał.

— Cztery chłopcy! Herr Jesus! ale dwie ręce zdrowe i głowa! — Uderzył się w czoło.

— Chodził do szkół? — dodał.

— Aż do *poesica*, — rzekł Felicyan.

— No, to do palestry — zaśmiał się podskarbi, wskazując na towarzysza swojego, którym był Antoniewicz, patron trybunału i plenipotent pański.

— Nie mam ochoty! — odparł gospodarz.

— Na pański dwór — dodał Fleming.

Sobek zamiast odpowiedzi spojrział dosyć hardo. Zamilkli na chwilę.

— Każę przynieść co mam do jedzenia— rzekł klaniając się i wychodząc gospodarza.

Gdy się sami zostali, podskarbi się uśmiechnął, i na czoło pokazując zamruczał:

— Cztery chłopy a fupy szlacheckie jak na stu chatach! Polski szlachcic!

Antoniewicz, który też miał prawo do tego tytułu, trochę się skrzywił, a Fleming rozśmiał. Jakby dla uczynienia dywersyi, wszedł jeden ze sług pana podskarbiego, i spytał czy puzderko z winem i wódką, które cudem się w powozie znalazło, ma dobrać? Za nim tuż kroczący Grzymała, nie czekając odpowiedzi pana, odezwał się głośno:

— A pewnie, bo u nas oprócz wody i bardzo śmierdzącej kotłówki, nie ma nic.

Rozłożył ręce. Fleming skinął na sługę, i Antoniewiczowi ręką pokazał, że pić co nie ma, ale jest duma szlachecka.

Poszli więc po puzderko.

Nim w kuchni jadlo przygotowane, Fleming z gniewu i złego humoru szczęśliwie ochłonął. Rozglądał się po izbie i ubogich sprzętach, zdając się dziwić, że tu ludzie żyć mogli. Antoniewicz stał oparty o stół, sięść nie śmiejąc w obliczu pana.

Naprzeciwno Motruna z Pyską warzyły jaja, zniosłszy co najświeższych z pół kopy, lecz nie umiały ich inaczej zgotować tylko po szlachecku, to jest na twardo. Dodano kiełbasę wędzoną, masło solone z faski, chleb razowy i—kwaszone ogórki, nieuniknione przy smaku, każdej przekąsce towarzyszący.

Wszystko to pan Felicyan przy pomocy Grzymały, gdyż bosonoga Pyska, w czarnej koszuli na żaden sposób nie mogła i nie chciała wystąpić,—zanieśli do izby. Nakryli grubym obrusikiem stół, i pan Antoniewicz popatrzawszy na śniadanie, puzderko otworzył. Pił tedy najprzód pan podskarbi, potem Antoniewicz do gospodarza, i utraktowano Grzymałę, który sobie nie przypominał, kiedy pił coś tak przedziwnego.

— Prawdziwa ambrozja, nektar—szepnął gładząc się po piersi.

W milczeniu, z rezygnacją, wziął się do otłukiwania jaj Fleming, z których same żółtka wybierał; powąchał parę razy chleba, spró-

bował go ukąsić i wyplunął. Popatrzał krzywo na ogórki, kiełbasy ukroił, wyegzaminował ją i odważył się zjeść kawałeczek.

Około powozu tymczasem, z którego puzderko wydobyto, dwór pana podskarbiego z panem Grzymałą rozprawiał o dalszej drodze do Kaplonosów. A że panu Adamowi pilno było zbyć się co rychlej nieproszonych gości, których koniom na podróżynych żłobkach owsa na nasienie przeznaczonego, z bolem serca zasypać musiał, zaraz się tem zajął, ażeby parobczak od Borzobohatego na konia siadł i powóz do traktu prowadził. Posłano Pyskę pędem na wieś i nakazano Antkowi w mig z koniem się stawić.

Fleming zjadłszy jaj dosyć, a napsuwszy ich dużo, raz się jeszcze napił, i zobaczywszy stojącego Felicyana, kiwnął nań, aby ku niemu przystąpił. Uczynił to chłopak ani zbytniej pokory, ni dumy nie okazując niepotrzebnej.

— Po łacinie?—począł pytać.

— A czegożbym się w szkołach uczył?— rzekł Sobek,—po polsku u nas nie uczą, bo to każdy z domu przynosi. *Gradus ad Parnassum* skończyłem.

— Po co Parnassu!—ruszając ramionami wtrącił podskarbi, i ręką po stole ruszając, mówił dalej:

— Kalligrafia?

— Niczego—uśmiechając się odezwał egzaminowany.

— Do kancelaryi ochota?

Potrząsnął głową Sobek.

— Niewielka!

— A do czegoż wielka?—spytał Fleming.

— Największa byłaby do roli, gdyby i na czym i z czem gospodarować było—mówił Felicyan.

— Il wasze gospodarstwo—rozśmiał się podskarbi,—*polnische Wirthschaft!* Wy nie umiecie gospodarować.

— Bośmy się nie mieli czasu nauczyć—odparł śmiało Sobek:—siedzieliśmy przez dwieście lat na koniu, z szablą, na kresach, przeciw dzicy pogańskiej, a baby u nas z włodarzami gospodarowały.

— No, to teraz czas—odrzekł podskarbi,—z kredką, z główką, pięknie! Ja wziąłem po Pocięju Włodawę i Rożankę i te nieszczęśliwe Kaplonosy, pięknie! Zobaczycie, co ja z nich



zrobię. Z Błotkowa zrobiłem Terespol; byłeś w Terespolu? spytał.

— Nie, dotąd nigdzie nie bywałem—rzekł Sobek,—nie było czasu, teraz znowu trzeba swojego zagona pilnować.

Podskarbi ręce podniósł.

— Cztery chłopy!—rzekł śmiejąc się,—cztery chłopy!

— Co robić, kiedy pan Bóg nie dał więcej? szepnął Felicyan.

— Pan Bóg się do was i do waszych chłopów nie miesza—począł żywo podskarbi. A na co ci dał rozum??

Sobek nie odpowiadał; ten dalej mówił zacinając z niemiecka:

— Waćpan jesteś młody, silny, niegłupi.

Sobek się skłonił, choć komplement nie był nazbyt gładki.

— Na cztery chłopy nie ma co robić! Trzeba iść szukać służby i grosza się dorabiać. Jak za młodu będzie cztery chłopy, na starość nie zostanie i jednego, he??

Spojrzał na Antoniewicza, który święcie głową słowa pańskie potwierdzał. Tymczasem Sobkowi się wyrwało:

— Ale ja na moim zagonie panem jestem, na cudzym byłbym sługą.

Usłysawszy to podskarbi, zarumienił się.

— Szlachcie polski! — zamruczał, — sługą! sługą! A któż nie służy? Ja jestem sługą Króla Jegomości, Król Jegomość podlega Cesarzowi i Imperyi, Cesarz Panu Bogu, a acan chcesz panem być—na cztery chłopy!!

Śmiał się mocno, Antoniewicz mu pomagał. Pan Felicyan milezący stał i słuchał.

— Acan mnie nakarmił, ja dam za jaja dobrą radę. Przyjedź wać do mnie do Terespolu, zgłoś się do Morochowskiego, niech on mnie powie—jak? Sobek?

— Sobek—jaśnie wielmożny panie.

— Ja cię będę promowować!

Skłonił się pan Felicyan, choć może nie tak nisko do kolan pańskich, jakby pan Antoniewicz życzył, bo się skrzywił.

— Pamiętajże! przybywaj, póki ja o waszeci i o popasie tym nie zapomnę, bo u mnie na głowie dużo rzeczy.

Grzymała stojący u progu, odezwał się cicho:

— Już ja mu przypomnę i wyprawię do łaski jaśnie pana.

Fleming popatrzał na wielce niepoczesnego starego.

— Kto? — spytał.

— Adam Grzymała! — rzekł kłaniając się sługa.

— Szlachcie? — sarkastycznie dodał podskarbi.

— Samo nazwisko dowodził—rzekł dumnie prostując się stary i gładząc czuprynę, — *de illustrissima stirpe Grimalitarum.*

— Szlachcie!!—powtórzył ramionami zrywając Fleming. Tu wszystko szlachcie! W łapciach szlachcie, w siermiędze szlachcie.

— I w dziurawych butach! dodał niezmieszany Grzymała.

Fleming śmiał się, aż mu łza pocięła.

— Mój Antoniewicz — odezwał się nagle spojrzawszy w okno,—jechać czas do tych pasukudnych Kaplonosów!

Ruszył się i Antoniewicz i Grzymała przed ganek zobaczyć, czy konie dojadły i czy już je ludzie zaprzęgli. Woźnicom i dworowi pilno było z pustego domu, gdzie im ledwie prostej wódki, sera i chleba dano, stali więc pogotowiu, i Borzobohatego chłopiec na grubej kobyli, podesławszy sobie worek z trochę siana, we wrotach już czekał. Dano znać, ruszył się pan Fleming. Spojrzał raz jeszcze na Sobka, i po ramieniu go klepiąc dodał:

— Szlachcie cztery chłopy, do Terespolu. Rozumie? Znajdziemy jemu lepszą robotą!

Skłonił się powtórnie Sobek, i nie niżej niż wprzód. Zaczęto wyprowadzać do karety podskarbiego, który się już rwał co prędzej. Rozpoczął się pochód przez kładkę, która się uginała, pośpieszył za swym panem Antoniewicz i dano znak do jazdy.

Ruszył się ciężki powóz z wolną tąż samą drogą, jaką się tu dostał przez kałuże i dziury dobijając do traktu. Lecz mając teraz przodem jadącego Antoska, który wskazywał suchsze objezdki, prędzej się wydostał na piaski.

Cześnikowicz, Grzymała, Motruna, której dano pół talara, Pryska, która dostała pono tyńfa, nawet nieco osmielony Niemowa, wydobywszy się z wyżek, długo stali i patrzali, jak powóz oddalał się od Trzcienia. (d. c. n.)

## ŚWIĘTA ZYTTA SŁUŻA CA.

Opowiadanie dla osób pozostających w służbie,  
przez O. Prokopa Kapucyna.

Uboga nasza literatura ludowa zubożona znów została przez niestrudzonego w pożytecznej działalności na polu piśmiennictwa Ojca Prokopa, żywotem Ś-tej Zytty służącej. Książka ta podobnie jak poprzedzające ją opowiadanie o Ś-iej Germanii pasterce, znajdować się powinna we wszystkich rodzinach chrześcijańskich, dbających o moralne dobro swoich domowników. Naczechowana gorącością uczucia, jasnością i wdzięczną prostotą stylu, oraz prawdziwie ewangeliczną mądrością, odznaczającą wszystkie prace szanownego autora, w obec pojęć błędnej filozofii, fałszywej nauki, szerzonych do koła w społeczeństwie, zarówno dla prostactków jak dla mniemanych bogactw ducha, być ona może wskazówką, gdzie szukać należy prawdy. Życie uświęcone cierpieniem i pokorą, najlepszym jest wzorem dla wieku, w którym chęć używania i wyniesienia się panuje po nad wszelkiem innym uczuciem. Ubogie dziecię ludu, wywyższone nad zwykle ziemskie dostojeństwa zasługą nabytą u stóp Krzyża, świadczy wymownie, że tylko zasady chrystyanizmu niweczą nierówności losów i stanów, oraz goją wszelkie rany społeczeństwa.

W skromnym domku wieśniaczym, w pośród rodziny słynnej z pobożności, w 1218. roku, Zytta przyszła na świat w kraju włoskim. Brat jej matki wiódł bogobojny żywot pustelniczy, starsza siostra odznaczała się świątobliwością w ostrej regule zakonie; nie dziw więc, że mając od dzieciństwa przed oczyma przykłady pobożności i cnoty, Zytta starała się iść ich torem. Podrosłszy w lata, postanowiła wejść w służbę, mając jakby natchnienie, że w stanie tym najłatwiej dojść może do chrześcijańskiej doskonałości. Udała się tedy z ojcem do Lukki, aby tam przyjąć obowiązki u możnej rodziny Fatinellich. Gdy wchodziła w bramy miasta, powiada autor, spotkała pewno niejedną złocistą karocę, niejednego rycerza w świetnej zbroi, a jednakże pamięć owych możliwych świata nie pozostawiła po sobie i śladu, gdy po dziś dzień w jednym z naj-

wspanialszych kościołów Lukki, istnieje oddzielna kaplica, wzniesiona na cześć ubogiej wieśniaczki. Obraz sławnego mistrza przedstawił ją tam w chwili, gdy przestępuje progi miejsca, gdzie następnie wśród skromnych obowiązków, zajaśnieć miała świętością życia. Jakkolwiek trafiła na zacny dom chrześcijański, w początkach wszakże służby swojej Zytta przeszła wiele smutnych kolei. Z różnych powodów spadały na nią prześladowania i przeciwności, które przeniosłszy mężnem sercem, w skutek wierności i pilności, niezmiordowanej pracowitości, oraz wielkiej miłości i słodyczy, z jaką była dla wszystkich, pozyskała sobie na zawsze osobliwsze względy u swoich państwa, a powszechną miłość i poważanie u innych domowników. I stało się w końcu, że państwo powierzyli jej nietylko zarząd całego majątku i dozór nad dziećmi, lecz pozwolili z dóbr swych czerpać hojne jałmużny dla wspomagania ubogich, którym przedtem Zytta oddawała wszystko, co zapracować mogła. Nie wyłączała z tego rozdawnictwa i pożywienia udzielanego jej przy stole pańskim, zadawając się natomiast suchym chlebem i wodą. Bóg pobłogosławił szafarstwu temu; pod zarządem świątobliwej dziewicy wzrastały dostatki jej panów, pomimo hojnego wsparcia, jakie otrzymywali z nich prawdziwi nędzarze. Widząc jak Zytta mądrze rozporządzać umiała powierzając sobie jałmużną, zamożniejsi mieszkańcy miasta na jej ręce składać poczęli ofiary dla biednych; wkrótce stała się jałmużniczką całej okolicy i prawdziwą Opatrznością nieszczęśliwych. Dobroczytna jej działalność, wydatniła się najwięcej w czasach nieszczęść, jakie spadły na miasto, które zamieszkiwała.

Pobożność i miłość bliźniego, ożywiająca jej duszę, zajaśniała wtedy w najprzedziwniejszym blasku; dokonywała prawdziwych cudów miłosierdzia. Pomimo wyższego stanowiska, jakie zajmowała już wtedy w domu Fatinellich, nie wzdragała się od najlichszych posług i najcięższej pracy, albowiem chcąc w niej podać wzór doskonałej służącej chrześcijańskiej, Bóg widomie dodawał jej siły po temu. Nie chciała zmieniać sposobu życia, pomimo że niejednokrotnie zwolnić ją chciano od wszelkich mozolnych zatrudnień. Jako żołnierz umierający na wyłomie, postanowiła wytrwać do

końca na stanowisku swoim. Postanowienie to Bóg jej spełnić dozwolił. Przebywszy blisko pół wieku, bo 48 lat w usługach Fatinellich rodziny, po krótkiej chorobie zakończyła życie wśród łez i modłów całego jej grona, czczącego w niej przyjaciółkę, opiekunkę i matkę. Tłumy uboższego ludu otaczały jej zwłoki, przyobleczone przez nią w suknię reguły trzeciej Ś-go Franciszka z Assyżu, rozpowszechnionej niedawno we Włoszech, i odprowadziły je do grobu. Ci, nad którymi czuwała za życia, nie przestawali się polecać opiece zmarłej, uważanej przez nich za świętą. Późniejsze wieki okazały, że nie mylili się w sądach wydanych w prostocie ducha, albowiem Papież Innocenty XII-ty, około roku 1700, apostolską swą władzą zatwierdził cześć oddawaną Życie, wyznaczając dzień 27 Kwietnia na obchód jej święta. Starożytny kościół Ś-go Fredyana w Luce, po dziś dzień mieści jej zwłoki, przechowane w oszklonej trumnie i nieuległe zepsuciu pomimo tak długiego przeciągu czasu. Ściągają one liczne zastępy pielgrzymów, błagające jak niegdyś, przyczyny swej orędowniczki w niebie.

Kończąc tę pobieżną wzmiankę o jej życiu, którą podajemy, pragnąc aby opowiadająca je książka znalazła jak największe rozpowszechnienie, dodać musimy jeszcze, że w całym ciągu zarówno jak w końcu, mieści uwagi pełne trafnych i zbawiennych nauk dla tych, którym przeznaczona.



### Ksiądz Romuald-Salwian Łazarowicz.

Dnia 22 Kwietnia r. b., zmarł w Rzymie, w 67 roku życia, stały korespondent Kroniki Rodzinnej, ksiądz Romuald-Salwian Łazarowicz.

Urodził się w Warszawie, w roku 1811; wychowanie pobierał w Wilnie, gdzie po chlubnym ukończeniu kursu nauk uniwersyteckich, wstąpił do służby cywilnej. Po spełnieniu różnych mniejszych obowiązków, zajmował posady: urzędnika do szczególnych poleceń przy wileńskim generał-gubernatorze przez lat dziesięć i członka komisji budowniczej wileńskiej przez lat trzy; nakoniec, będąc już w randze radcy stanu i kawalera orderu Św. Anny, wyrzekł się wszelkich dalszych godności i wstąpił do zakonu Trynitarzy w Wilnie,

gdzie, w roku 1863 otrzymał święcenia kapłańskie. Ta zmiana stanu, szczegółowo opisana w broszurze pod tytułem: „*Mowa na obłóczynach zakonnych JW. Pana Romualda, teraz Salwiana, Łazarowicza*” (Wilno, w drukarni Syrkina, 1860 r.) wielkie w otaczającym go społeczeństwie sprawiła wrażenie, tembardziej, że jednocześnie i małżonka jego Anna w Krydelów Łazarowiczowa, po dziesięcioletnim najprzykładniejszym małżeńskim pożyciu, przyjęła suknię zakonną w wileńskim klasztorze panien Wizytek.

Po zniesieniu w Wilnie klasztoru kks. Trynitarzy, ksiądz Łazarowicz przeniósł się, w r. 1867, za zezwoleniem rządu, na stałe mieszkanie do Rzymu, gdzie pozostawał przez lat 10½, będąc w chwili śmierci oddany kapelańskim i parafialnym obowiązkom przy kościołach: San Chrisogono, Del Pascolo i San Quirico. Pracowity, sumienny i prawy w pełnieniu obowiązków służby cywilnej, stał się również jednym z najgorliwszych i najświętobliwszych sług ołtarza, pozostając w stanie duchownym przez lat 19, a licząc 15 lat kapłaństwa. Obok wysokiego wykształcenia umysłowego, odznaczał się niezwykłą słodyczą charakteru, jedną jąca mu serca rodziny i bliższych znajomych. Uboгим chętnie udzielał wsparcia, z prawdziwym ewangelicznym wyrzeczeniem się własnych potrzeb, a nieraz nawet z dotkliwą ich ujmą.

Zawsze zamilowany w literaturze, niewiele jednak chwil mógł jej poświęcać, dla braku czasu, zapelnionego obowiązkami powołania. Wspólnie z jednym z braci zakonnych, przełożył z języka włoskiego na polski i własnymi uwagami uzupełnił nader pożyteczne i ciekawe dzieło Pallard'a: „*Urzędy i godności duchowne Stolicy Apostolskiej*” (Wilno, w drukarni Syrkina 1861 r.). Od roku 1871 był stałym współpracownikiem Kroniki Rodzinnej, zamieszczając w jej kolumnach korespondencye treści historycznej jak o Torkwacie Tassie, Palestrinie i t. p., oraz o wypadkach z życia bieżącego w Rzymie. Jeszcze na kilkanaście dni przed śmiercią, zamieścił w N-rze 8 Kroniki ostatnią swą korespondencyę z dnia 28 Marca, w której donosił o śmierci Piusa IX i obiorze nowego Papieża. W rękopismach pozostały po nim: grammatyka polsko-włoska, kazania i inne pomniejsze artykuły. Niekiedy pisywał nawet ulotne, ale bardzo udatne wierszyki. Gruntownie posiadał muzykę, umiejętnie grał na fortepianie i dar kompozycyi nie był mu obcym. W korespondencyach też swych do Kroniki zdawał zwykle sprawę z czynności muzycznego świata rzymskiego.

Niewymowna tęsknota do ojczyzno niebia objawiała się w każdym liście jego do blizkich.

Dzisiaj odziedziczył ojczyznę wiekuią, po-

szedł po zapłatę pracowitego dnia w winnicy Pańskiej. Po krótkiej chorobie, zgasł w wiecznem mieście, opatrzony ŚS. Sakramentami, w drugie święto Zmartwychwstania, o godzinie 4 z rana.

Pokój wiekiusty czystej jego duszy!

A. D.

## SILVA RERUM.

♂ Mamy przed sobą sporą książkę in 12-o, pięknie w czerwoną morę oprawną, z napisem *Básně A. Mickiewicze*, tudzież z następnymi wyrazami, skreślonymi kształtnem, jakby średniowiecznym pismem: „Důstojnému druhu velikého vieszce Adama, p. Eduardovi Odyńcovi, s úctou a láskou, překladatel Václav Sztulc.” Jest to tom z działu 52-go ogromnej *Biblioteki Narodowej* czeskiej, wychodzącej obecnie pod redakcją p. Franciszka Zakejca, a składającej się z wyboru dzieł najcelniejszych pisarzy czeskich. Zawarto w nim na 560 stronicach przekłady: *Grażyny*, *Konrada Wallenroda*, *Sonetów Krymskich*, siedmiu *Ballad*, *Dziadów*, dwunastu *Poezji pomniejszych*, oraz czterech *Bajek*. Całość dzieł ks. Sztulca w *Bibliotece Narodowej* stanowić będzie cztery tomy, z których obecny zawierający przekłady z Mickiewicza, jest drugim z kolei.

Ks. Wacław Świętopełk Sztulc, urodzony w r. 1814 w Kladnie, dziś kanonik i proboszcz na Vyszehradzie w Pradze Czeskiej, od lat młodzieńczych umiłował mowę polską i poświęcił się zaznajamianiu rodaków z jej skarbami przez tłumaczenie Mickiewicza, Krasieńskiego, Siemińskiego i innych. Pierwsze jego przekłady, mianowicie: *Duma o Żółkiewskim Niemcewicza* i *Oda do młodości* Mickiewicza, ukazały się w roku 1834; następnie w r. 1836 zjawily się *Sonety Krymskie*, w r. 1837 *Konrad Wallenrod*, w dalszych zaś latach poszły inne utwory, do których po dziś dzień stale po wierszyku przybywa. W wydaniu obecnem, dawniejsze przekłady z Mickiewicza, lubo nader wysoko cenione przez krytykę czeską i polską, ukazały się w postaci znacznie udoskonalonej pod względem zbliżenia do oryginału i wytworności wiersza. Dzięki blizkiemu pokrewieństwu języków polskiego i czeskiego, pokrewieństwu zwłaszcza uderzającemu w starej polszczyźnie, gdy wpływ pierwotnej literatury czeskiej mocniej na naszą oddziaływał: w przekładach ks. Sztulca nieraz się całe wiersze wydają nam przełożonemi na wyrazy i zwroty Świętosława z Wojcieszyna, lub nawet Marcina Bielskiego. Żłudzenie to jest dla nas miarą utrzymania w mowie czeskiej kolorytu oryginału, zwłaszcza w utworach historycznych.

O wierności zaś myśli w tych przekładach, ani mówić nie potrzebujemy. Głęboka znajomość mowy polskiej, którą kanonik Sztulc bardzo poprawnie i płynnie rozmawia z Polakami przybywającymi do Pragi, ledwo cokolwiek akcentem zdradzając się przed nimi—przytem pilne wpatrzenie się w nasze koleje historyczne, w stosunki społeczne i dążenia literackie,—chroni tłumacza od niezrozumienia najsubtelniejszych nawet odcieni myśli przekładanego autora. Przypiski i dodatki, objaśniające czytelnikom czeskim mniej zrozumiałe dla nich wydarzenia opowiadane przez autora, najlepiej przekonywają, jak wysmienicie tłumacz rozumie nasze stosunki. Traktat o filomatach i filaretach, osnuty na opowiadaniu Ignacego Domejki, przedmowa do *Dziadów*, wyswietlająca stosunek Konrada do Gustawa i w ogóle objaśniająca tok porozrywanego poematu, podają cenne szczegóły, mogące zainteresować nie samych tylko Czechów. Jednem słowem, piśmiennictwo czeskie otrzymało wzorowe tłumaczenie Mickiewicza, za które sędziwemu pisarzowi wdzięczność i od Czechów i od nas się należy.

Książd Sztulc nie był najpierwszym i nie jest samotnym tłumaczem Mickiewicza na język czeski. Józef Chmielenský już w r. 1829 drukował urywki swoich przekładów z nieśmiertelnego autora *Grażyny*; jednocześnie zaś Jarosław Kamenický kuśił się o tłumaczenie *Ballad*. Za nimi poszli później Jan Koubek, Jarosław Kalina, Henryk Peszka, Karol Havliczek, Franciszek Doucha, J. W. Houra, Ottokar Mokry, Juliusz Roth, Józef Kolárz, Burian, Helcelet, Žherský i inni. Z rzeczy dotąd nieogłoszonych, przypominamy przekład *Pana Tadeusza*, którym według rozmaitych informacyj, popartych obecnie przez ks. Sztulca w przedmowie do znajdującey się przed nami książki, pani Elżbieta Krásnohorská „pragnie (hodlá) wzbogacić literaturę czeską.” Nie mieliśmy sposobności czytać nawet urywków tego tłumaczenia p. Krásnohorskiej, nie wiemy więc o ile sprosta nader trudnemu zadaniu; lecz co do innych tłumaczy, śmiało powiedzieć możemy, iż nie wyjmując najlepszego między nimi Kolárza, żaden nie dorównywa ks. Sztulcowi ani pod względem rozległości, ani pod względem wartości pracy. Tajemnicą tego powodzenia jest miłość tłumacza dla narodu naszego i cześć dla jego piewcy. „Wynurzam gorące życzenie—powiada w przedmowie—ażeby „dobry śpiewak,” prawdziwie wielki „Lumir” narodu polskiego, stał się naszym domownikiem za pomocą tego przekładu; ażeby cokolwiek jest w nim prawego i świętego, nie pozostało bez odgłosu w sercach synów i córek naszej ukochanej ojczyzny czeskiej.” W innem miejscu książki, ze skromnością, z którą tak pięknie

prawdziwej zasłudze, ks. Sztulc pisze: „Daj Boże, ażeby powstał między nami tłumacz dzieł Mickiewicza, godny stanąć obok niego jako tłumacza *Giaura* i innych utworów Byrona! Naówczas cieszyć się będę, patrząc na swoje przekłady tonące w otchłani zapomnienia!” Tak mówi tylko miłość prawdziwa, poświęcająca się, bez której nic wielkiego człowiek nie wyda.

Żeby dać czytelnikom polskim wyobrażenie jak wygląda Mickiewicz w przekładzie czeskim, a zarazem z jaką wiernością i wdziękiem wiersza tłumaczy go kanonik Sztulc, przytaczamy tu kilka zwrotek z pieśni *Rozum i Wiara*. Zwrotki te w oryginale tak brzmią:

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary  
Z różnych jej uśmiechów i barwą i szumem,  
Wielkie i mętne gdy patrzyłem rozumem,  
Małe i jasne przed oczyma wiary.  
I was dotrzągnę, o dumni badacze!  
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,  
Zamknięci w sobie jak w konchy ślimacze,  
Chcieliście mali obejrzeć krąg świata.  
„Konieczność, rzekli, wedle ślepej woli,  
Panuje światu jako księżyc morzu.”  
A drudzy rzekli: „Przypadek swawoli  
W ludziach, jak wichry w nadziemskim prze-  
[stworzu.”

Jest Pan, co objął oceanu fale  
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;  
Ale granicę wykował na skale,  
O którą wiecznie będzie się roztrącać...

W przekładzie ks. Sztulca, ustęp ten wyrażono jak następuje:

Przehl' jsem nřzin lidstva obor řirý  
S davem dũmněnek, rũzných barvou, řumem;  
Velké a kalné, když jsem žel rozumem,  
Malé a jasné před očima víry.  
I vás hrdouři postihnul jsem v době,  
Když jako smetím bouře vámi metá:  
Jako hlemejšdi uzamčení v sobě,  
Chtěli jste malí obezřít' kruh světa.  
„Po slepé vůli, řekli, vládné světy  
Nutnost', jak luna vládkyní jest m.ře.”  
Dí druži: „Osud lidmi hraje kletý,  
Jak v nadpozemské vítr u prostore.”  
Jest Pán, jenž objal oceanu valy,  
A kázal jemu věčně zemi plřstiti,  
A za hranice vykul jemu skály,  
O něž se bude po věk věků třřstiti.

Nietylko najcisiej wyrażono tu myśl autora, nietylko zawarto ją w tej samej liczbie wierszy, ale niemal ujęto w tę samą liczbę wyrazów. Oryginał ma ich 93, przekład zaś 99, i to głównie dla tego, że czas przeszły słowa wyraża się w polszczyźnie jednym, a w czeszczyźnie dwoma wyrazami (*przechled' jsem*, *przejrzałem*; *erzel jsem*, *patrzyłem*; *chcieli jste*, *chcieliście i t. p.*). Zachować taką wierność, a jednak nie naru-

szycy prawideł własnej mowy i wymagań rytmiki—jest to zapewne najdalszy kres, do jakiego w dokładności przelewania autora posuwać się można.

Przy sposobności dodajemy, iż ks. Sztulc zajęty jest obecnie przekładem rozległego poematu dramatycznego A. E. Odyńca: *Barbara Radziwiłłówna czyli początek panowania Zygmunta Augusta*. O ileśmy słyszeli praca kanonika Sztulca zbliża się już ku końcowi.

W dniu 19 b. m., tutejszy szpital obłąkanych pod wezwaniem Ś-go Jana Bożego, obchodził 150-tą rocznicę swego istnienia. Pierwszy zakład tego rodzaju wzniesiony został w kraju naszym w roku 1650, przez Braci Miłosierdzia, z funduszu ks. Rąpina, kanonika płockiego, i mieścił się na Lesznie, na placu darowanym na ten cel przez Leszczyńskiego, wielk. podskarbiego koronnego. Następnie z daru łowczego koronnego Morsztyna Bracia Miłosierdzia zbudowali już obszerniejszy szpital w r. 1667, w miejscowości, gdzie obecnie istnieje ogród Saski. Następnie król August II, rozszerzając swój ogród pałacowy, zakupił w r. 1726 zabudowania Bonifratrów, którzy wtedy dopiero przenieśli się do miejscowości po dziś dzień przez szpital zajmowanej.

Szpital Ś-go Jana Bożego, zbudowany półtora wieku temu, nie odpowiada w zupełności wymaganiom koniecznym przy urządzaniu podobnych zakładów, i z tego względu istnieje już od lat kilku projekt budowy nowego obszernego gmachu, w miejscowości zwanej „Kamionki” za przedmieściem Pragę. W dzisiejszym gmachu szpitalnym zasługuje jedynie na uwagę sala fundacyi książąt Czartoryskich, służąca za sypialnię dla chorych spokojnych. Sali tej rysunek w r. z. pomieściły „Kłosy” wespół z opisem jej przez Dra Stanisława Chomętowskiego, lekarza ordynującego w szpitalu. Zajmuje ona parter i pierwsze piętro, składa się z dwóch równych części, schodzących się pod kątem, w którym pomieszczony jest ołtarz. Na cymboryum stoi mały posazek Świętego Jana Bożego, który tuli obłąkanego w swych ramionach. Łóżka dębowe, opatrzone pawilonami i firankami. Nad każdym pawilonem wznosi się popiersie również z drzewa dębowego, świętego Patrona, któremu pobożni fundatorowie oddali w opiekę chorych.

Etat szpitala, czyli ilość łóżek, odpowiednia do liczby osób mogących być przyjętymi, wynosi obecnie dwieście.

Wd. 14 Maja, rocznicy otwarcia Osady Rolnej w Studzińcu, obchodzono doroczną uroczystość zakładu, na którą obok zarządu jego

udali się pociągiem z Warszawy zaproszeni goście, w celu przekonania się naocznie o rozwoju instytucji. Wszyscy, co dawniej oglądali Studzieniec, zauważyli zaszłe tam obecnie zmiany. Na obszernej polanie, powstałej po wykarczowaniu części studzienieckiego lasu—wzniosło się sześć piętrowych domków, zazieleniły grządki ogródków, zapanował ruch pracy i życia.

Osada mieści obecnie 60 wychowanców, którzy dopiero od września 1876 roku, zaczęli zajmować tu miejsce. Z dniem 1 Lipca r. b, w którym zostanie wykonany siódmy budynek, przeznaczony na pomieszczenie kancelaryi, mieszkania dyrektora i innych lokalów, przybędzie tu jeszcze miejsca dla drugich sześćdziesięciu wychowanców.

Ofiarności państwa G. zawdzięczać ma z czasem osada wystawienie pięknej kaplicy w stylu gotyckim. Zarząd dbały o ciągły rozwój osady, rozkazał wybudować ośmiornak, dla rodzin nauczycieli i gospodarzy oddziałów, którzy są obowiązani mieszkać w zakładzie wspólnie z wychowancami; chłopcy przez czas pobytu swego tutaj zapewniają sobie przyszłość własną pracą i przyswojeniem jakiegoś użytecznego rzemiosła. Kołodziejstwo, stolarstwo, szewctwo, krawiectwo, a głównie rolnictwo, uprawiane jest przez nich z zadziwiającym postępem. Wszystkie roboty stolarskie w zakładzie: okna, drzwi, stoły, szafy, odrzwia, aparaty do gimnastyki—wyszły z miejscowych warsztatów, równie jak cały ubiór wychowanców. Zaszczepione tu zamilowanie pracy nie jest bynajmniej pozornem; dowodem tego najlepszym to, że rzadko bardzo trafiają się wypadki ucieczki. Ład i czystość wszędzie wzorowa; zresztą całe urządzenie osady nie nie pozostawia do życzenia, prócz tego chyba, aby kiedyś, jak to już widzimy we Francji, wzniosł się w kraju naszym zakład podobny i dla dzieci ubogich rodziców, których nędza i złe przykłady jeszcze do złego nie doprowadziły, i ażeby znalazły tam opiekę, nim da im do niej prawo popełnione przestępstwo.

\* \* \*

W roku bieżącym w końcu Września, w majątku Retowie w gubernii Kowieńskiej powiecie Rosieńskim, odbędzie się wystawa zwierząt, zbóż, traw wszelkiego rodzaju i innych płodów rolniczych, narzędzi gospodarskich i przedmiotów mających za zadanie ulepszenie bytu zwierząt. Obok wystawy urządzone będzie konkurs dla robotników, umiających władać narzędziami i machinami rolniczemi. Nagrody stanowić będą medale złote, srebrne i brązowe, listy pochwalne oraz premia pieniężne. Prawo udziału w wystawie służy wszystkim bez wyjątku. Okazy winny być zapowia-

dane i przesyłane pod adresem zarządu retowskiego, przez stację Pługiany do Retowa. Przyjmowanie okazów już się rozpoczęło i trwać będzie do Września; przedmioty zaś podlegające prędkiemu zepsuciu, tudzież ptactwo do 27 Września, to jest do przedednia otwarcia wystawy. Urządzeniem wystawy zajmuje się komitet specjalny pod przewodnictwem księcia M. Ogińskiego, właściciela majątności Retowa.

\* \* \*

W pierwszych dniach zeszłego miesiąca Towarzystwo Tatrzańskie zgromadziło się w Krakowie. Prezes hr. Rey zagaił posiedzenie przemową, w której skreślił obraz czynności Towarzystwa. Już zawiązały się dwa jego oddziały: w Stanisławowie i w Kołomyi, a prawdopodobnie trzeci oddział wkrótce utworzy się w Stryju. Towarzystwo liczy obecnie 27 członków honorowych, 32 dożywców i 1,303 zwyczajnych. Urządzono w ogóle 10 stacji meteorologicznych u podnóża Tatr, Babiej-Góry, Pienin i Czarnej-Hory. W roku zeszłym wybudowano schronienie pod Wysoką, tudzież w Tatrach utworowano lub poprawiono w wielu miejscach ścieżki. Dzięki zabiegom wydziału Towarzystwa, ministerium handlu i przemysłu zezwoliło na stację telegraficzną w Zakopanem. Dochód w ciągu roku bieżącego obliczono na 5,708 złr., a wydatki na 4,808 złr. Przy końcu posiedzenia uchwalono starać się o znizenie opłat dla członków Towarzystwa na kolejach galicyjskich i węgierskich, do wód wiodących, podczas pory letniej.

\* \* \*

Prawdziwą jest zasługą podnosić imiona cichych pracowników, którzy pełniąc najwznioślejsze cnoty, poświęcając się dla dobra współbraci, unikają rozgłosu i schodzą ze świata prawie nieznanymi, pozostawiając żal i niewygasłą pamięć tylko w tem ciasnym kółku, w którym dobroczynną swą działalność rozwijali. Cały świat zna imiona zwyciężkich wodzów Napoleońskich, którzy zniszczenie i pożogę roznosili po całej Europie; lecz mało komu wiadome nazwisko półkownika Pagueron'a, który żył w tym samym czasie, był mężnym żołnierzem, chociaż nie wstawił się żadnym świetnym czynem, lat kilka przebył w ciężkiej niewoli, a następnie, gdy po powrocie Burbonów do Francji usunięty został ze służby wojennej, z większą daleką korzyścią dla ludzkości poświęcił się wyłącznie miłosierdnym uczynkom. „Opuszczam pomimo woli służbę wojskową, pisał w owym czasie; lecz nie po to, ażeby pozostać bezczynnym, gdyż teje samej chwili przechodzę do służby Bożej.”

Niepodobna wyliczyć wszystkiego, co zdiałał potrafił ten człowiek w mieście swoim ro-

dziannem, Angoulême. Nie było tam ani jednej instytucji dobroczynnej, któraby mu nie zawdzięczała wiele; pod jego czynną i gorliwą opieką rozwijały się w tem mieście stowarzyszenia robotników i żołnierzy, biblioteki i czytelnie ludowe, Towarzystwo Ś-go Wincentego à Paulo i Stowarzyszenie wzajemnej pomocy. Sam gorliwy katolik, nie zważał jednak nigdy na różnicę wyznania, wspomagając potrzebujących; protestanci miłowali go i czcili zarówno ze współwyznawcami jego. Tak wiele czyniąc dla dobra ogólnego, nie zaniedbywał obowiązków ojca rodziny, wychowując jak nastaranniej własne dzieci i opiekując się rodzeństwem. Pagueron był człowiekiem światłym, widział jasno zgubne prądy nurtujące społeczeństwo w obecnych czasach, nieraz też w słowach wymownych zapisywał myśli swoje w tym przedmiocie. Nic smutniejszego, powiada, nad widok domów zubożonych, gdzie zbytek się utrzymał, a jednocześnie brak niezbędnych do życia przedmiotów. Ten kontrast pomiędzy resztkami dawnego przepychu i obecną dręczącą nędzą jest straszny i bolesny. Wygląda to jak gdyby wczorajsze powodzenie urażało dzisiejszemu nieszczęściu. Taki jest stan naszego stulecia, gdzie zbytek rozkłada się obok niedostatku. Nauki, sztuki, przemysł, wielka cywilizacja zewnętrzna, a wewnątrz brak zasad i zdrowego rozsądku. Kwitnie literatura, ale nie ma prawdy; są klejnoty ale nie ma chleba. Ież to handlarzy, którzy udają bogaczy, strojąc się w wyszarzane szaty! Smutne to, smutne! Dobra jest nauka, dobra jest sztuka i przemysł; zgoda na to wszystko, ale to głodu naszego nie zaspakaja, potrzebny jest przytem chleb żywota. Biografia półkownika Pagueron'a zamieszczona jest w pierwszym tomie dzieł biskupa Sairet'a, wydanych w tym roku w Paryżu.

## Nekrologia.

W przeszłym miesiącu zmarł w Kijowie Juliusz hr. Strutyński, znany w piśmiennictwie naszym pod pseudonimem Berlicza Sasa. Niezwykle i nieco burzliwe koleje jego życia, mogłyby dostarczyć obfitego materiału dla powieściopisarza. Szybko bowiem obracało mu się kóło fortuny, raz wznosząc go w górę, to znów doprowadzając do niedostatku, raz otwierając pole kariery, to znów wtrącając pióro do ręki, jako jedyny środek zarobku, i znów ostatnim uśmiechem wabiąc skołatanego starca nadzieją odzyskania dawnej zamożności.

W literaturze naszej powieściowej istnieje osobny rodzaj należący w połowie do pamiętników, a w połowie do romansu na modłę walterskottowską, choć zwykle z bliższej czerpie on przeszłości. Rodzaj ten jest jakby spuścizną dawnych *silva rerum*, w których składały się kroniki szlacheckich domów i magnackich dworów, historia obyczajowa powiatów, tradycje całych prowincyj.

Jak ze wspomnień tych i opowiadań utworzyć artystyczną całość, nauczył dopiero Henryk Rzewuski, gdy wziął się do pióra. Lecz jak dawne *silva rerum* spisywał szlachciec jedynie z tego, co sam zapamiętał lub doświadczył, tak i ten rodzaj powieści tradycyjnej wymagał koniecznie zapasu własnych wspomnień. Nieudolnemi bywały próby zastąpienia żywej tradycyi fantazyą i powieściową inwencyą. Zaraz wpadano w przesadę kolorytu, w manierę sztuczną i niesmaczną, po za którą nie czuło było tętna prawdy, tylko częstokroć ukrytą tendencyę. Fabrykatów takich nie brak, ale nie wytrzymają one próby czasu. Szkoła Henryka Rzewuskiego liczy jednak kilku pisarzy, którzy się ostoją w literaturze, bo jak on czerpali z życia, ze wspomnień rodowych, a do nich w pierwszym rzędzie zaliczyć trzeba takich jak Bodzantowicz (Kajetan Suffczyński) i jak Berlicz Sas (hr. Strutyński).

Jeden i drugi nie byli literatami z zawodu, i dopiero pod koniec życia wzięli się do pióra, pod wpływem namowy, aby zapisać co zapamiętali z przeszłości.

Niedawno, bo od lat dziesięciu, zaczęły się pojawiać powieści Berlicza Sasa. Dwie bakki: *Pani Kasztelanowa Trocka* i *Pani Starościna Horodelska* zajmują poczesne miejsce w szeregu powieści tej szkoły. I niedziw, bo to cpowiadanie wnuka o matronach dawnego autoramentu, które z wysokim stanowiskiem łączyły przymioty, co tak często zapewniały u nas przewagę biologiczom. Kilka innych obrazków, jak: *Dwaj Biskupi*, *Kalejdoskop*, *Karta Wspomnień*, autor umieszczał bądź to w *Przeglądzie Lwowskim*, bądź w pismach warszawskich.

Berlicz Sas, choć tak późno wstąpił na arenę literacką, nie był prostym narratorem; przy zaletach pióra łączył on warunki wyższego i wszechstronniejszego wykształcenia. Gdy od wspomnień własnych chciał przejść do kreacyi powieściowej, już bledsze wychodziły postacie, a opowiadanie przechodziło w gawędziarstwo nieco rozwlekłe. Dla tego odróżnić trzeba w pismach Berlicza Sasa te, które czerpał z tradycyi, od tych, które snuł z wyobraźni.

Nie sadził się na staroświecczyznę, kiedy mówił o dawnych czasach. Ztąd w opowiadaniach jego nie ma tej rubasznosci, na jaką się

siłą nieraz ci, co chcą opisywać dawne obyczaje, a popełniają tylko anachronizm. Przeważnie polem i wykładowością form przewyższały obyczaje przeszłego stulecia o wiele dzisiejsze. Bywała może pod tym względem przesada, zwłaszcza między tymi, co z Wersalu przywozili nowe moły, ale to pewna, że czy we fraku, czy w starym kontuszu, była jakaś dystynkcyja, której dziś zacierają się ślady.

Berlicz Sas umiał ją oddać i schwycić, bo sam był jeszcze synem XVIII wieku, pod jego wpływem wychowany, choć zrodzony na początku naszego stulecia.

Z możnej rodziny o najświetniejszych kollygacyach, Strutyński za młodu zaznał życia ludzi bogatych, jakimi się zwłaszcza Wołyn odznaczał, gdzie gęsto osiadły historyczne rody o wielkich fortunach. Syn Feliksa hr. Strutyńskiego i Karoliny z książąt Lubomirskich 1<sup>o</sup> voto hr. Platerowej, wychowany w domu babki, w dzieciństwie widywał wszystkie znakomitości swego czasu. Młody panicz spodziewał się milionowej fortuny i za młodu nie szczędził też grosza. Po doznanych zawodach, kiedy ojciec chciał go przeznaczyć do dyplomacyi i wysłał go w tym celu do Petersburga, Juliusz skoro miał się dobrać karyery, postanowił jej szukać w służbie wojskowej. Wstąpiwszy na tę drogę, gdy protekcyi mu nie brakło, doszedł do pewnej zamożności. Różne przyczyny wpłynęły następnie na rozproszenie majątku jego, mówiono np., że znaczne kapitały stracił poręczyszy za przyjaciela. Po wielu przygodach życia w r. 1863 spotykamy go tułającego się po Galicyi, zubożonego, często w wielkim niedostatku, złamanego na siłach. Przed parą miesięcy otrzymał wiadomość, że znaczna sukcesya z prawa mu przypada. Był to jeden z tych odłamów wielkiej fortuny, które pozostają po wielkich ruinach. Wyjednawszy powrót do Rossyi dla przeprowadzenia procesu. Za późno — dawny hr. Strutyński nie miał się już odrodzić — umarł jako Berlicz Sas.

Berlicz Sas ogłosił następujące powieści i obrazy: *Starościna Horodelska* tom 1. *Obrazki czasu i ludzi*. Warszawa 1876. *Pani Kasztelanowa Trocka* tom 1. Lwów 1871. *Miscellanea* tom 1. Wilno 1855. *Moskwa* tom 1. Kraków 1873. *Gawędy* tom 1. Kraków 1873. *Dwie Babki* tomów 2. Warszawa 1877. *Kaukaz* tom 1. *Lidya* po francuzku tom 1. *Ukraina* tom 1. *Wołyn i Podole* tom 1. *Sceny myśliwskie* tom 1. *Kalejdoskop* tom 1. *Mozaika* tom. 2. *Dwaj biskupi* (Wspomnienie). *Pan Jeremiasz* (Pamiętnik), ostatnie dzieło przedśmiertne jesz-

cze niedrukowane. Powiadają, że Strutyński skreślił w ostatnich latach kilka tomów ciekawych pamiętników, które jednak spalił ze względu, aby żyjących nie kompromitować.

W dniu 9 b. m. zmarł w Warszawie s. p. Antoni Barciński, b. profesor matematyki w b. liceum i w b. instytucie marymonekim, oraz b. naczelnik kancelaryi górnictwa.

Należał on do najzdolniejszych w kraju pedagogów i buchhalterów, a przez długi czas był dyrektorem żeglugi parowej na Wiśle.

Napisał dawniej już i wydał podręcznik do nauki arytmetyki, oprócz tego broszury: „O giełdzie londyńskiej,” „O giełdzie paryskiej,” etc., i w ostatnich czasach „Buchhalteryę podwójną.” Ożeniony był z siostrą Fryderyka Chopin'a.

W dniu 13 Maja r. b. zmarł w Zurychu Andrzej Towiański, założyciel sekty mistycznej zwanej messyanizmem lub towiańszczyzną. Towiański urodził się w r. 1798 na Litwie w powiecie Wilkomierskim, kształcił się w uniwersytecie wileńskim, był następnie urzędnikiem sądowym w Wilnie. Naukę swoją począł głosić dopiero po wyjeździe za granicę w roku 1840. Zjedawszy dla niej Adama Mickiewicza i kilku innych ludzi znanych z nauki lub zasług obywatelskich, potrafił nadać jej chwilowy rozgłos. O sekcje Towiańskiego i samym Towiańskim dużo pisano po polsku i po francuzku, wystawiając i mistrza i jego naukę w najrozmaitszych kolorach. Ogłoszona niedawno korespondencya Mickiewicza z Towiańskim i innymi „braćmi,” rzuca niemało światła jeżeli nie na stronę dogmatyczną sekty, to przynajmniej na pobudki jej zwolenników. W końcu zesł. mies. żona, która dzieliła wszystkie koleje jego losu, poprzedziła Towiańskiego do grobu.

Zmarł w tych czasach w Paryżu ogólnie dla cnot swych szanowany kapłan ksiądz Boré generał Lazarystów. Pogrzeb jego odbył się w dniu 8-ym zesłanego miesiąca przy wielkim napływie ubożego ludu, którym się szczególnie opiekował.

Redaktorka i Wydawczyni A. z Ch. Borkowska.

W drukarni M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Мая 1878 г.



## ZE ŚWIATA NAUKOWEGO.

Doświadczenia Crookes'a. — Materya promienista. — Ciekawe obliczenia. — Nowe spostrzeżenia Lockyer'a o naturze pierwiastków. — Lampa Edison'a. — Przyrząd elektryczny, zaznaczający kierunek statków na morzu. — Użycie elektryczności do hamowania niesfornych koni i do polowania na ptactwo. — Ogrzewanie parą, wprowadzone na wielką skalę w Ameryce. — Opalenie machin parowych olejem skalnym. — Odszukanie zatraconej sztuki. — Studya nad magnetyzmem i jasnowidzeniem. — Nowy środek znieczulający.

Znaliśmy dotąd trojaki stan skupienia materji, odróżnialiśmy wedle wskazówek fizyki ciała stałe, ciekłe i gazowe: otoż obecnie pan Crookes, nowy Kolumb niewidzialnych, międzycząsteczkowych przestrzeni, przedstawia nam świat nieznaną, w którym materya posiada stan czwarty, o tyle odmienny od gazowego, o ile ten od ciekłego się różni. Pan Crookes przed kilku laty pozyskał rozgłos ogromny, jako wynalazca radyometru, o którym w swoim czasie wspominaliśmy czytelnikom Kroniki; dziś więc w kilku słowach tylko przypomniemy, że przyrząd ten składa się z małego młynka, o skrzydełkach z miki, lub aluminium, który jest zamknięty w bani szklanej, wypowietrzonej, i tę osobliwość przedstawia, że pod wpływem ciepła zaczyna się obracać. Przyczyna tego zjawiska przez czas długi była niedocieczoną zagadką, ale radyometr doprowadził w końcu genialnego wynalazcę na drogę nadzwyczaj zajmujących wniosków, które mogą epokę stanowić w dziejach fizyki. Jednakże geneza tego odkrycia sięga dość odległej przeszłości, gdyż jeszcze w r. 1816 Faraday, wówczas młodzieniec, rozpoczynający dopiero zawód naukowy, rzucił był przypuszczenie o istnieniu materji, którą nazywał promienistą i określał, jak następuje: Wyobraźmy sobie stan materji, tak różny od stanu gazowego, jak ten od stanu ciekłego, mając wzgląd naturalnie na wzrastanie tej różnicy, w miarę, jak wzrasta stopień zmiany; a wówczas wyobraźnia nasza będzie mogła dojść do pojęcia materji promienistej. Przechodząc ze stanu ciekłego w lotny, materya utracą znaczną część swych własności; tak też zamieniając się z lot-

nej w promienistą, musi ich więcej jeszcze utracić.

W rzeczy samej, materya w stanie stałym przedstawia najwięcej cech właściwych, które mi się ciała różnią pomiędzy sobą; mniej ich spostrzegamy w cieczach, w których znikają różnice twardości, kształtów krystalicznych, a często i barwy. W gazach zacierają się i te różnice, jakie pozostały w ciałach ciekłych, wszystkie przybierają prawie jednostajną postać; łatwo więc ztąd wnosić, że posuwając się dalej, mniej jeszcze tych własności i cech odrębnych znajdziemy w materji promienistej, czyli ultra-gazowej, jak ją także nazywa Crookes, któremu udało się stwierdzić doświadczeniami przypuszczenie Faraday'a. Doświadczenia te uczony Anglik przedstawiał publicznie najpierw w Londynie, w ostatnich zaś czasach w Paryżu, a jakkolwiek bez pomocy rysunków trudno je opisać dokładnie, spóbjemy dać czytelnikom niejaki wyobrazenie o tym ciekawym przedmiocie. Według pojęć nauki dzisiejszej, gaz każdy uważamy za zbiór niezmiernej ilości drobnych cząsteczek (molekuł), ożywionych ustawicznym ruchem. Cząsteczki te w zwykłym stanie gazu są tak zbliżone pomiędzy sobą, że wśród tych ruchów nieustannie się spotykają i uderzają się wzajemnie jedna o drugą, a następnie odskakują od siebie, nakształt elastycznych piłeczek. Ale w naczyniu hermetycznie zamkniętym gaz może być doprowadzony do znacznego rozrzedzenia, a wówczas drogi, które cząsteczki swobodnie przebiegają, bez napotkania oporu, stają się coraz dłuższe, a ztąd i własności ich całkowicie się zmieniać muszą. Zjawiska od dawna obserwowane w rurkach Geissler'a, ścisły mają stosunek z tym szczególnym stanem materji. W rurkach tych, gdy wypowietrzenie do wysokiego stopnia jest doprowadzone, ukazuje się przy bieganiu ujemnym przestrzeń ciemną, odznaczoną linią silnie oświetloną. Otoż, według rozumowania Crookes'a, w owej ciemnej przestrzeni odbywają się ruchy swobodne cząsteczek, które odepchnięte gwałtownie od bieguna ujemnego, nie spotykają na swój drodze żadnego oporu i dopiero w miejscu, gdzie występuje linia błyszcząca, stykają się z cząsteczkami, dążącemi wolniej w stronę przeciwną od dodatniego bieguna. Światło jest tu skutkiem star-

cia cząsteczek naelektryzowanych przeciwnie. Gdy rozrzedzenie w rurze do wyższego jeszcze stopnia jest doprowadzone, cząsteczki przebiegają w kierunku prostym całą rurkę i dopiero uderzywszy o szkło wzbudzają w niem blask fosforyczny. W doświadczeniach Crookes'a wspaniałą fosforescencję, tym sposobem wywołaną, przedstawiały dyamenty i rubiny.

Powracając teraz do radyometru, który dał pochoch do tych poszukiwań, łatwo zrozumieć, że ruchy młynka w przestrzeni wypowietrzonej dają się na téjże samej zasadzie wytłómaczyć. Gdy ciemna strona skrzydełek, pochłaniająca ciepło, rozgrzeje się znacznie, cząsteczki rozrzedzonego powietrza nabywają z téj strony większej chyżości, a nie będąc utrzymane w równowadze przez częste starcia z innymi cząsteczkami, silnie działają na powierzchnię skrzydełek, które tym sposobem wprowadzone są w ruch obrotowy. Nie będziemy się rozszerzali nad innymi własnościami materji promienistej, na zakończenie tylko przytoczymy niektóre obliczenia, podane przez Crookes'a, te bowiem lepsze od wszelkich opisów dadzą nam pojęcie o tych tajemniczych przestrzeniach, gdzie się odbywają niepochwycone zjawiska międzycząsteczkowe. Według przypuszczenia fizyków, które nie jest wytworem fantazyi, ale opiera się na pewnym prawdopodobieństwie, jeden centymetr sześcienny zwyczajnego powietrza zawiera mniej więcej sekstylion cząsteczek; liczba ta wyraża się przez 21 zer dodanych do jedności. Bania szklana, mająca około 13 centymetrów w przecięciu, zawiera zatem tych cząsteczek przeszło septylion, liczbę mającą o trzy zera więcej od pierwszej. Otoż jeśli powietrze w bani za pomocą maszyny pneumatycznej zostanie rozrzedzone do 1 milionowej części, jeszcze w niej znajdować się będzie cały kwintylion cząsteczek. Ażeby wreszcie uzmysłwić niepojęty ogrom tych liczb, Crookes stawia następujące przypuszczenie: Jeśli w téj bani wypowietrzonej, za pomocą iskry indukcyjnej, przebiję mikroskopijny otvorek, dostateczny jednak, aby cząsteczki zewnętrzne powietrza mogły się do niej wcisnąć; jeżeli tym sposobem wchodzić będzie do naszej bani 100 milionów cząsteczek na każdą sekundę, ileż czasu potrzeba na to, ażeby się całkowicie wypełniła powietrzem atmosferycznym? czy wy-

starczy na to godzina, dzień cały, lub rok lub wreszcie wiek? O nie, na to potrzebaby najmniej 4 miliony wieków! Tymczasem w rzeczywistości bania ta wypełni się w przeciągu chwil kilku, ale też wchodzić do niej będzie nie 100 milionów, lecz około 300 kwintylionów cząsteczek na sekundę.

Na zakończenie poważnego naukowego wykładu, po dokonaniu rozmaitych doświadczeń, Crookes nie wahał się wśród grona uczonych mężów wypowiedzieć tego pięknego wiersza:

A to wszystko istniało, człowiekowi nieznanie  
I ukryte przed wzrokiem oświeconych stuleci;  
Lecz dziwniejsze zjawiska wyjdą na jaw w przyszłości...  
Czemż człowiek powtarza w niedorzecznym rojeniu,  
Że istnieje to tylko, co wzrok jego wykryje?

Kiedy Crookes śledzi tajniki fizycznych własności materji, Lockyer tymczasem nie przestaje badać chemicznej jéj natury, i nie traci nadziei, że uda mu się na pewniejszym gruncie oprzeć hipotezę, która wielki wywołałszy rozgłos, później znów napotkała zbyt czyste może niedowierzenie. Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że ten uczony upatrywał w widmie rozmaitych pierwiastków chemicznych, poddanych nadzwyczaj wysokiej temperaturze, charakterystyczne paski wodoru; wnosił więc ztąd, że wodór musi być częścią składową wszystkich ciał, uważanych dotąd za pierwiastki. Z wniosków tych naturalnie może być wyprowadzone pojęcie jednéj materji powszechnej, z której powstają wszystkie ciała, w skutek różnych kombinacyj atomów. Rozumowania Lockyer'a nie okazały się jednak przekonującymi, sprawa też dotąd pozostaje w zawieszaniu; publiczność o niéj zapomniiała, ale wytrwały pracownik nie ustaje w swych usiłowaniach, i wolnym, lecz pewnym krokiem posuwa się naprzód. Przy końcu roku ubiegłego podał więc znowu do wiadomości powszechnej, że za pomocą nowych doświadczeń udało mu się wykryć wodór w kilku pierwiastkach, takich jak fosfor, sod, irydium, lithium i inne. Doświadczenia wykonywane przy nadzwyczajnie wysokiej temperaturze, kończyły się zawsze straszaniem przyrzędów.

Przez czas dość długi nie słyszeliśmy nic o Edison'ie; wielbiciele jego byli jednak pewni, że wielki człowiek nie śpi i że wkrótce wystąpi z czémś niepospolitým. Gdybyśmy wie-

rzyć mieli dziennikom amerykańskim, to powtórzylibyśmy za nimi, że Edison przeszedł tym razem wszelkie oczekiwania i świat zadziwił cudownym dziełem, które stanowić będzie epokę w dziejach wynalazków i przewrót ogromny wywoła w przemyśle. Nawet rodacy nasi, na drugiej półkuli zabłąkani, takie hymny pochwalne przesyłają do pism tułtejszych o nowej lampie elektrycznej Edison'a, że wątpić o jej istnieniu, ani o wspaniałości nie możemy. Dodać tu jednak musimy, że wszystkie lampy elektryczne, w ostatnich czasach próbowane w Europie, dają także światło piękne i wspaniałe. Wszakże i w Warszawie patrzmy już na nie, podziwiamy je, nie zaprzeczamy wcale, że czyste, białe, a tak świetne elektryczne promienie przewyższają o wiele i gaz, i naftę, i olej; wszystko to jednak nie rozwiązuje kwestyi praktyczności elektrycznego oświetlenia i możliwości zastosowania go na wielką skalę. Musimy więc jeszcze na czas jakiś powstrzymać bezwzględne nasze uwielbienie dla Edison'a i cudownego jego wynalazku, aż póki lampa sławiona po tamtej stronie Atlantyku nie przybędzie do Europy i nie zostanie ostatecznie ocenioną i wypróbowaną przez sędziów bezstronnych. Dzienniki naukowe europejskie wszystkie się o niej odzywają ogólnie, chociaż powtarzają dość dokładne i jasne opisy całego przyrządu, przesłane z Ameryki. Lampa Edison'a, podobnie jak wiele innych lamp elektrycznych dawniejszych, polega na rozżarzeniu do białości węgla, z tą wszakże różnicą, że węgiel ten przyrządzony jest szczególniejszym sposobem z papieru, palenie zaś odbywa się w bani wypowietrzonej, gdzie cząsteczki węgla nie mogą ulegać utlenieniu. Sposób ten już dawniej był próbowany, na nieszczęście węgiel zawsze pod wpływem silnych prądów elektrycznych ulatniał się, tworząc osad na ściankach szklanej bani. Edison zapewne potrafił uniknąć tej niedogodności, ale opisy niezbyt dokładnie wyjaśniają, jakim mianowicie sposobem. Na szczęście niedługo czekać będziemy na rozwiązanie tych wszystkich wątpliwości. Lampy Edison'a, jeśli mają w rzeczy samej ziścić świetne nadzieje, które w nich pokładają Amerykanie, wkrótce zawitają do Europy, i będziemy je mogli podziwiać bez żadnych zastrzeżeń i skropułów.

Szczególne zastosowanie elektryczności obmyślił znów Anglik Severn dla użytku marynarzy. Jest to przyrząd, który ostrzega w każdej chwili kapitana, i to we własnym jego gabinecie, o najmniejszym zboczeniu okrętu z drogi naznaczonej. Niech tylko sternik się zdrzemnie, niech statek zmieni kierunek z jakiegokolwiek powodu, wnet dzwonek donośny daje znać o tym nieporządku kapitanowi, zamkniętemu najspokojniej w swój kajucie. Ale w kajucie tej jest kompas magnesowy (bussola), a po obu stronach ustawione są dwie blaszki, połączone z elektrycznym stosem. Gdy więc igielka zboczy cokolwiek, czy to w jedną, czy w drugą stronę, dotyka blaszki, budzi prąd elektryczny, który porusza znów dzwonek ostrzegający, a ten nie przestaje się odzywać, aż okręt zwróci się napowrót do wyznaczonego kierunku. Rozumie się, że blaszki mogą być dowolnie przesuwane, stosownie do drogi, którą statek ma przebiegać w pewnym przeciągu czasu.

Któżby się spodziewał, że elektryczność może się przydać także do ujeżdżania niesfornych koni i do łowienia zdradzieckim sposobem biednych ptasząt? Otoż w ujeżdżalniach w Paryżu z wielkim powodzeniem odbywano niedawno próby na najdzikszych, lub znarowionych koniach, których żadnym innym sposobem złagodzić nie było można. Przyrząd polega na dróciку ukrytym w wędzidle i połączonym z malutkim elektro-magnesem, który działa za poruszeniem korbki; gdy prąd przechodzi przez dróciку, zwierzę doznaje lekkiego wstrząśnienia i w téjże chwili uspakaja się i staje zupełnie powolnym i posłusznym. Konie, które opierały się wszelkim innym środkom poskromienia i z powodu swój niesforności były już na zabicie skazane, tym sposobem zostały zupełnie ułagodzone, a gdy później próbowały powracać do dawnych narowów, dość było tylko raz jeden użyć elektrycznego wędzidła, aby im znów na długo odjąć do tego ochotę.

Ktoś inny, w okolicach Marsylii, umyślił zastawiać sidelka elektryczne na ptaki wędrowne, przepiórkii inne, gdy gromadami przelatują w téj okolicy. W tym celu wybiera on drzewo stojące przy drodze, na wierzchołku umieszcza wypchanego ptaka dla zwabienia biednych wędrowców, gałęzie zaś owija drócikami, połączonymi z cewką elektryczną. Gdy znaczą

na ilość ptaków zgromadzi się na drzewie, strzelec ukryty w bliskości wypuszcza prąd, a ten pewnie od fuzyi śrótem nabitę trafia każdą ofiarę, która łapką dotknęła zdradzieckiego dróciaka. Wiadomo, że ptaki nadzwyczaj są czułe na elektrycznej wstrząśnienie; nieraz te, które na drócie telegraficznym usiadą, spadają, jakby piorunem rżone, gdy przepłyne prąd unoszący depeszę.

Już dawniej wspominaliśmy o próbach ogrzewania za pomocą pary, przeprowadzonej rurami podziemnymi, tak jak gaz oświetlający. Systemat ten coraz więcej rozpowszechniać się zaczyna w Ameryce. Najprzód zaprowadzony został przed dwoma laty w miastach Buffalo i Locksport, gdzie wszystkie zakłady publiczne i znaczniejsze domy prywatne ogrzewane są wyłącznie parą. Obecnie w Stanach Zjednoczonych zawiązała się kompania, która zamierza urządzić ten sposób ogrzewania we wszystkich większych miastach amerykańskich, począwszy od Nowego Yorku. Przytoczymy tu niektóre obliczenia, podane przez kompanię zarządowi miejskiemu w Nowym Yorku. Miasto może oszczędzić na kosztach samego materiału palnego do zakładów publicznych, około 750,000 fr. rocznie. Oszczędzi następnie półtora miliona fr., które wydawać musi corocznie za wywiezienie popiołów, pozostających w piecach zwyczajnych. Mieszkańcy zyskują przynajmniej połowę podatków wypłacanych towarzystwom zabezpieczenia od ognia, gdyż zwykła taryffa musi być zmniejszoną, w miarę zmniejszenia niebezpieczeństwa pożaru w mieszkaniach ogrzewanych parą. Oprócz tego kompania podejmuje się za pomocą tej samej pary oczyszczać na wiosnę ulice z nagromadzonych śniegów i lodów i obsługiwać pompy straży ogniowej. Zarząd miejski Nowego Yorku zawarł już w Październiku umowę z kompanią, która niezwłocznie miała przystąpić do dzieła. Utrzymują niektórzy, że nawet w gospodarstwie domowym, w kuchni, pralni, systemat ten wielkie przynieść może korzyści; przyrządzanie wszelkich potraw na parze może się rzeczywiście odbywać bardzo wygodnie, a ogrzewanie pokoi mieszkalnych za pośrednictwem takich rur, nie pozostawia do życzenia. Są jednak ludzie zacofani, którym ta myśl, że nowy rodzaj ogrzewania może wkrótce zawitać

i do nas, rugując stare, poczciwe piece i ulubione nasze kominki, mimowolnie wrywa westchnienie. „Cóż nam wówczas zastąpi, pytają, pryskanie drewek na kominie, widok płomieni igrających w półocieniu wieczornym i te wszystkie nieokreślone uroki domowego ogniska?”

Jednocześnie odbywały się także w Ameryce próby zastąpienia węgla olejem skalnym w opalaniu machin parowych. Przyrząd, przeznaczony do tego, składa się z piecyka, a raczej skrzynki metalowej szczelnie zamkniętej; wychodzi z niej rurka, która się zaraz u wyjścia rozdwaja, jedną gałęzią łączy się z kotłem, drugą ze zbiornikiem nafty. Wiązka drzewa musi być jednak najpierw rozpaloną dla wytworzenia niewielkiej ilości pary, która wchodząc do środka skrzyni, wpycha tam naftę, para i nafta wpuszczają się dobrowolnie przez kraniki misternie urządzone; w skrzyni zaś, przy stosownej wentylacji, mieszanina ta zaczyna się palić coraz gwałtowniej, w miarę jak ciśnienie się wzmacnia, i wkrótce woda w kotle zaczyna się gotować. Na pierwszą próbę wybrano niewielki statek, i jak opisuje jeden z miejscowych dzienników, był to widok zadziwiający i wspaniały, gdy parowiec szybko prął fale wodne, a licznie zgromadzeni na brzegu widzowie nie spostrzegali ani kłębow dymu, ani ogniska zięjącego płomieniem, ani śladów węgla lub sadzy na pomoście. Cały mechanizm odbywał się za pokręceniem korbki, tak niewidocznie, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężki. Według cen amerykańskich, olej skalny wychodzi taniej od węgla, nie licząc już, że przy opalaniu węglem daleko prędzej się psują kotły, piece i wszelkie potrzebne przybory. Co się tyczy wygody maszynistów i podróżnych, dość powiedzieć, że czarodziejska ta skrzyneczka nie potrzebuje innej obsługi, tylko stosownego pokręcania kraników, że nadto nie wydaje ani tych kłębow dymu, ani tej masy sadzy, wciskającej się wszędzie, która tak nieznośnym czyni dłuższy pobyt na statkach parowych i w wagonach kolei żelaznej. Cieszymy się tedy nadzieją, że pożądana ta zmiana i u nas kiedyś pozyska prawa obywatelstwa, a wówczas nikt zapewne nie pożałuje dzisiejszego ogniska... kolejowego.

Z Francji donoszą o znakomitym wynalazku, który jest jednak tylko szczęśliwem odszukaniem dawniej, zatraconej sztuki. Amatorowie starzej, kosztownej porcelany, znają osobliwą emalię chińską zwaną Lu-Kan-Ma-Fei. Piękna ta polewa wygląda jak mozaika nakrapiana barwą purpurową, błękitną i szarą i tak szczelnie przylega do porcelany, jakby z nią razem była odlaną. Od kilku wieków tajemnica tego wyrobu nawet w Chinach była zupełnie zatracona; już dziś z najpierwszych fabryk Niebieskiego państwa wychodzą tylko nędzne naśladowania tych arcydzieł, które się przechowują w muzeach i najznakomitszych zbiorach starożytności. Od czasu gdy w Europie powstały fabryki ozdobnej porcelany, niejedni pracowali usilnie nad wykryciem tajemnicy tego szacownego wyrobu; wszystkie te usiłowania były jednak daremne, gdy oto w Grudniu ubiegłego roku, dyrektor fabryki sewerskiej, p. Deck, z nieopisaną radością otrzymał polewę niezem nieustępującą najpiękniejszym chińskim okazom prawdziwej Lu-Kan-Ma-Fei, której tajemnica, jak utrzymują Chińczycy, od pięciu wieków strzeżoną była zazdrośnie przez geniusza pieców garncarskich. Polewa ta jest tak piękna, że powleczone nią naczynie nie potrzebuje już żadnych innych ozdób; ma to wyglądać zupełnie, jak misterna mozaika z kosztownych kamieni.

Któż z nas nie zastanawiał się nad tém psychicznem, czy też fizyologicznem zjawiskiem, które w braku lepszej nazwy, zwiemy magnetyzmem zwierzęcym? Jedni ten stan szczególnie uważają za coś cudownego, nadzwyczajnego i niepojętego, z pewną zabobonną trwogą opowiadają powieści o różnych czynach dopełnionych przez tak zwane jasnowidzące, gdyż stan jasnowidzenia najczęściej, prawie zawsze, objawia się u kobiet, a mężczyźni przeciwnie występują zwykle w charakterze magnetyzerów. Drudzy tymczasem ze zbytniem już może lekceważeniem chcą magnetyzm i wszystkie zjawiska związek z nim mające, uważać za szarlatanizm, a nawet za niecne oszustwo. Trzeba też przyznać, że cały ten proces jasnowidzenia dziwnie się nadaje do wyzyskiwania ludzkiej łatwowierności i aż nadto często do tego był używany. Jednak są fakta, którym zaprzeczyć niepodobna; mag-

netyzm zwierzęcy istnieje i nie może być wytłómaczony i wyjaśniony, tak jak inne chorobliwestany. Są osoby, które pod wpływem pewnych manipulacyj, wykonywanych przez inną osobę, usypiają, mówią przez sen, marzą; czy marzenia te zawierają w sobie przewidywanie przyszłości lub widzenia przedmiotów oddalonych i niewidzialnych dla zwykłego wzroku, to już inne pytanie. Wszyscy, których ta ciekawa kwestya mniej lub więcej zajmuje, z przyjemnością zapewne się dowiedzą, że światły dr. Charcot w Paryżu, w szpitalu *la Salpêtrière*, gdzie oprócz obłąkanych, znajdują się także osoby dotknięte histeryą i innymi ciężkimi nerwowymi chorobami, rozpoczął doświadczenia naukowe, w celu zbadania bliżej tak mało dotąd znanych zjawisk magnetyzmu i jasnowidzenia. Można też śmiało przewidywać, że badania te, przenosząc kwestyę na grunt poważny, naukowy, wiele wątpliwości rozproszą, wyświecą wiele punktów ciemnych, a przynajmniej oddzielią fakta rzeczywiste od udanych i zmyślonych.

Stan magnetycznego uspienia ma pewny stosunek ze stanem znieczulenia, jasnowidzące zazwyczaj tracą czułość ciała, i słyszymy nieraz opowiadania, jak dają się kłóć, piec gorącym żelazem, nie okazując najmniejszego cierpienia. Sztuczne znieczulenie za pomocą chloroformu, przy wykonywaniu bolesnych operacyj, jest jednem z największych dobrodziejstw nowożytniej medycyny. Jednakże, jak wiadomo, użycie chloroformu przedstawia pewne niebezpieczeństwo; co większa, przekonano się, iż chloroform często bywa fałszowany, i wówczas trudno jest skutki jego obliczyć. Otoż donoszą także z Francji, iż fizyolog Paweł Bert wprowadził tam obecnie z nadzwyczajnem powodzeniem nowy sposób znieczulania za pomocą mieszaniny tlenu azotu z tlenem, którą stosuje pod wyższem nieco ciśnieniem, a zatem w dzwonie zawierającym zgęszczone powietrze. W takich warunkach, tlenek azotu, już od dawna używany przez dentystów i odrzucony, jako szkodliwy, gdyż sprowadza szybkie odurzenie, a nawet uduszenie, całkiem inne własności okazuje. Przewyższa o wiele chloroform, nie sprawia żadnego cierpienia, a co najważniejsza, może być użyty przez czas dłuższy bez najmniejszego niebezpieczeństwa. Zebraliśmy tu

spora wiązaną nowości, a jednak wszystko to razem wzięte stanowi tylko drobną cząstkę tego, co się w ostatnich czasach dokonało i nieustannie dokonywa na tém polu. Nauki przyrodnicze prawdziwie przyspieszonym krokiem postępują naprzód we wszystkich kierunkach.

M. J. Z.

## O ROBOTACH KOBIECYCH W SZKÓLKACH.

Postęp, ów sztandar wspinały, z którego zwojów za każdym powianiem ich nad światem, nowa myśl wybiega, podobno ma zamiar wionąć i nad naszą ziemią, i zesłać nam nowość maleńką, jeżeli jest coś małego pod słońcem, — a nową tylko dla nas. Tą starą nowością jest zaprowadzenie robot ręcznych kobiecych, jako nauki obowiązującej w szkołkach ludowych. Rzecz to upragniona, od dawna wywoływana i daleko ważniejsza, niż z pozorów niejednemu zdawać się może, i o doniosłości wielkiej, jeżeli właściwie wykonana będzie.

Uczenie robot jest w naszym kraju powszechnie przyjęte po szkołach żeńskich wyższych; powstało ono razem z nimi, bo ręczne robotki zatrudniały zawsze pracowite ręce niewiast naszych, w miarę, jak pierwotna kądział ustępowała im miejsca. Rodzaj ten zatrudnienia, cichy a pożyteczny, zdaje się leżeć już w charakterze tych niewiast. Jednakże, razem z postępem czasu i wynalazkiem machin, i zatrudnienia ręczne kobiece muszą ulegać zmianom pewnym, jeżeli zachować mają owo właściwe sobie piętno pożyteczności. I w istocie im ulegają.

W ostatnich czasach zaszły i zachodzą ciągle zmiany w sposobach nauczania robot po pensjach. Nie miejsce tu rozpisywać się nad przyjętymi tam w ogóle metodami doskonalenia dziewcząt klass wykształceńszych, w przeróżnych wyrabianiach szydełkowych i igielkowych gwiazdek, figurek, figlików i włóczkowych ściągów, jednych od drugich trudniejszych, i friwolitów delikatnych; — następuje się tu jednakże ta uwaga, że palce młodych panierek z pensyi, bardzo nieraz wprawne w zbytkowne owe robotki, niezawsze mogą

zadosyć uczynić najprostszym, lecz sumiennym wymogom w sztuce prostego obrębiania bielizny lub zszywania brytów u sukni. Jeżeli która z wykształconych na pensyi panien potrzebuje w dalszém życiu zająć się szyciem na prawdę, wtedy musi brać wprzód specjalne lekcyje szycia, tak samo jak dziewczyna, która się nigdy robot nie uczyła. Po kilku miesiącach takiej nauki i jedna i druga nazywają się natenczas: umięciami szyc; to jest że posiadają jedno z najlepszych, bo najpewniejszych i najpopłatniejszych rzemioł, po jakie sięgnąć może ręka kobieca.

A przecież płacący ma pełne prawo wymagać dokładności w pracy, za którą płaci. A dokładności téj żaden robotnik, żaden pracownik, żaden artysta nie osiągnie bez przygotowania się do tego w pewny sposób, właściwy sztuce, którą ma uczynić na resztę życia swoim narzędziem zarobkowym. Amatorstwo, jeżeli ma gdziekolwiek prawo bytu, to nigdy mieć go nie może w rzemiośle. Przypadkiem, od niechcienia, zdarzało się geniuszom, a nawet i nie geniuszom robić ważne niekiedy odkrycia, ale nigdy nikt od niechcienia nie nauczył się robić bótów lub koszul szyc porządnie. W ostatnich zwłaszcza czasach pośpiech szalony, cecha wieku, odbija się w uderzający sposób w systemie wychowywania w ogóle, a szczególnie w wyuczaniu się rzemioł. Zapomniano starego zwyczaju o gołąbkach, które nie mają zwyczaju spadać do ust konsumentów już upieczone; zapomniano i zapomina się ciągle, że każda specjalność jest specjalnością, że jest sztuką, a *ars est longa* bez względu na naturę swoją. Chciejmyż raz pojąć, że nieprawdą jest, aby jakiegokolwiek specjalności wyuczyć się można w przeciągu czasu liczonem na miesiące. To, co pospolicie nazywa się terminowaniem, istnieć musi. Artysta czy szewc muszą odterminować swoje, a dopiero gdzie terminowanie się kończy, tam na artystę będzie czekało natchnienie, bez którego szewc i szwaczka się obejdą. Brak pojęcia téj rzeczy tak prostej, obdarza nas w ostatnich czasach całym zastępem rzemieślników lichych i zarozumiałych. Na okoliczność tę zważać powinny szczególnie pracujące specjalnie kobiety, bo prująoe się obuwie i karty wypadające z książek, nie zaszkodzą dziś rze-

mieślniczéj męzkiéj reputacyi, jako ustalonéj, ale kobiecie wytkną się natychmiast. Przykra to konieczność, a niemniej konieczna, że kobiety pracujące dzisiaj, na każdym stanowisku muszą nieodmiennie usiłować przewyższyć męzkiego robotnika ażeby z nim stanąć na równi. A tymczasem w zakresie igły, o który nam idzie, a co może być miarą i innych, przyszło dziś do tego, że szwaczka niewykształcona po dzisiejszemu, to jest niekrajająca z linii i centymetrów, jest poszukiwana, jako dająca rękojmię posiadania swéj sztuki na zasadzie wyterminowania jéj po staremu. To, co zowie się terminowaniem, jest w istocie studyowaniem tak powolném, że wiadomości i nauka mają czas zostawać w miarę ich podawania przyjmowanemi i niejako assymilowanemi przez studyującego: stają się jego własnością. wiadomo zaś, że tylko własnością rozporządzać można swobodnie; swoboda w rozporządzaniu środkami i wiedzą stanowi o dobroci wyrobu. Tę to swobodę, tę pewność siebie w jedném z najkonieczniejszych, a zatém najpopłatniejszych rzemiosł, ten pewny chleba kawałek, którego dziś niejednej modnie wykształconéj szwaczce braknie, ma zapewnić szwaczkom w przyszłości wprowadzenie do szkólek ludowych działu robot kobiecych. W Anglii, w Niemczech i w Szwajcaryi wprowadzono go dawno, i dla tego nie zawadzi spojrzeć na jego tam urządzenie.

W Anglii, z bardzo małemi różnicami, nauka robot kobiecych w szkólkach i szkołach prowadzi się tak jak u nas po pensyach. Dziwna to rzecz, jak naród ten, którego wyższość my tak naiwnie a gościnnie uznajemy, jest podobnym do nas we wszystkich prawie okolicznościach niezależnych od jego położenia geograficznego i temu podobnych względów. Z kwestyą, o którą nam idzie, dzieje się tam kubek w kubek toż samo, a rezultatem téj toż samości jest, że w Anglii ta dziewczyna umie, prawdziwie szyć, której matka sztukę tę posiadała i córkę wyuczyła, albo ta, dla której okoliczności złożyły się na naukę podobną w tym razie do macierzyńskiéj, to jest obrachowaną przedewszystkiém na długi termin i niewyczerpaną cierpliwość. Otoż, tę cierpliwość macierzyńską, niezastąpioną niczém dla indywiduów, może zastąpić dla mass tylko

jedna jedyna rzecz: systemat, nieubłagany, machinowy, śmiertelny dla geniuszów, ale konieczny w każdym kierunku dla ogółu — systemat.

Systematyczna nauka robot zaczyna też być wprowadzaną do niektórych wyjątkowych szkół niewieścich w Niemczech. W innych rzeczy stoją także jak u nas, lub gorzej. W ogóle, nie pochlebiamy sobie, — bo niestety! nie mamy na to pola, — nie mamy się też czego i wstydzić tak bardzo pod tym względem w obec kulturtregerów. Streszczając rzecz, możnaby powiedzieć, że Niemka ukończywszy kurs szkolny, w którego planie ważne stanowisko zajmuje nauka robot, wynosi z nich pod tym względem, jako zapas na resztę życia, umiejętność robienia pończochy.

Potrzeba tu dodać, że nauczycielki robot w Niemczech nielepsze mają na urząd swój kwalifikacye, niż takież same nauczycielki u nas, które często z tamtych się rekrutują. A przecież urząd to niemniej ważny od urzędu nauczyciela geometryi np., a nawet, jeżeli wolno mówić otwarcie, o wiele ważniejszy; bo z geometryi jeszcze dotąd żadna kobieta u nas nikogo nie wyżywiła, a z igły wiele ich siebie i rodziny swoje utrzymuje. Nie znaczy to, aby geometrya była przedmiotem mniejszéj wagi, lecz znaczy, że nauka szycia jest wagi wielkiéj i potrzebuje nauczycieli kompetentnych. Nauczycielki takie kompetentne i systematyczny taki wykład posiadają niektóre szkoły ludowe szwajcarskie, i na nie też wypadaloby się zapatrywać przy wprowadzaniu nauki robot kobiecych do szkólek u nas.

Główną cechą, pierwszym warunkiem szwajcarskiego systemu pod tym względem i w ogóle główną dewizą szkół szwajcarskich, jest owo zalecane dawniej a potępione u nas obecnie: „mało a dobrze.“ Mała Szwajcarka w siódmym roku życia wchodząca do szkoły początkowéj, pozostaje w niej przez lat cztery, do jedenastego roku życia, a wtedy opuszczając ją umie z zakresu robot zrobić doskonałą pończoszkę i koszulkę, na własny swój użytek, to jest na dziecko jedenastoletnie, ani mniej, ani więcej; ale za to umie to dokładnie, i co najważniejsza, umie tyle i musi umieć każda bez wyjątku żadnego uczennica.

I w tém to uogólnieniu i dokładności nabytj wiedzy, jest własnje cała wartość systemu. Nierzadko można zasłyszeć u nas dość ogólnie przyjęte zdanie, że kto się chce uczyć, nauczy się wszędzie. Zdanie to wypowiadają zazwyczaj obrońcy wychowania dziewcząt pozadomowego. I mają słusznosc; powinnyby tylko dla dokładności mówić: kto może, zamiast: kto chce. Bo rzeczywiście, dziewczęta zdolniejsze, to jest mogące się uczyć łatwo, mogą się na pensjach dzisiejszych uczyć doskonale i korzyści prawdziwe z nauk odnosić. Ale za to indywidua tępe mogą przebyć cały kurs szkolny, jakby drogą łaski, nie nauczywszy się niczego, o co się nawet nie starano, poznawszy raz, że sprawa byłaby w istocie za trudna z niemi, tém bardziej, że siły nauczycielskie i tak mają do czynienia z przeprowadzeniem owego wyboru uczennic przez najeżone trudami pole nauki. W rezultacie więc pracuje się nad wyjątkami silniejszymi, a ogół słabszy zostawia własnym siłom, odłogiem. I słowo w słowo tak samo dzieje się w Anglii. A pytanie jeszcze, czy nie dzieje się to dobrze, mianowicie w szkołach wyższych. Bo i jakimże prawem, w skutek jakiego straszego despotyzmu, ma nauczyciel skąpić zdolnej uczennicy chwil nauki drogich dla niej, aby marnować je dla innej napróżno? To w szkołach wyższych. W początkowych rzeczy mają się inaczej. Im wyżej wstępujemy po szczeblach nauki, tém mniejszem idziemy gronem, ponieważ słabsi towarzysze pozostawać muszą po drodze. Słusznje zatem wyższe owe szczeble wyjątkom służyć będą. Lecz u punktu wyjścia poziom musi być równy. Pierwiastkowa nauka jest dla ogółu. Zakres jej i czas trwania musi być obrachowany na uogólnienie umiejętności, czy wiedzy. Więc wbrew względom tłómaczącym postępowanie nauczycieli w szkołach wyższych, wyjątki muszą w szkole ludowej ustąpić z drogi, bo tu ogół jest w swoim prawie, a ogół bywa zazwyczaj nacechowany miernotą. Nie dość na tém. Pomiędzy miernotą znajdującą się jeszcze osobistości tepsze od innych, jakkolwiek wcale nieupóźdzone umysłowo; a przecież prowadząc miernot gromadkę, nie można dla niej zaniedbywać owych najmniejszych, tak jak miernych nie zaniedbuje się dla zdolniejszych. I otoż system szwajcarski

poradził tój trudności prostym bardzo sposobem. Zakres i przeciąg czasu nauki obrachowano własnje na siły umysłu dziecięcego tępego, i na nich oparto wszystko. Zdawałoby się więc na pozór, że w ten sposób mierny ogół znów pokrzywdzonym bywa na korzyść niezdolniejszych wyjątków, jakby w podobnym razie stało się w szkołach wyższych, w zastosowaniu do uczniów bezwarunkowo zdolnych. Ale w szkołach ludowych, u wstępu do nauki, nie jest tak, bo warunki są inne. A najprzód, rodzice szwajcarscy wiedząc o tém, że dziecko ich ma iść do szkółki i rozpocząć naukę od A, nie przygotowują go już do szkółki tój wcale. Do siódmego więc roku życia dziecko ma swobodę najzupełniejszą. I to jest pierwszą dla niego korzyścią. Dzieci więc stają do nauki zupełnie pod względem wiedzy i umiejętności na równi, a to jest jednym z owych warunków, które w szkołach wyższych zmienić się muszą. U progu szkółki żelazny system ujmuje w kluby grono dzieci i prowadzi je przez lat cztery tak ściśle a taktownie, jak pałeczka baczego dyrektora prowadzi dobraną orkiestrę, w której mogą być grajkowie słabsi i mocniejsi, ale której doskonałości warunkiem jest, aby różnic znać nie było. Więc możnaby tu znów stratę czasu dla zdolniejszych zarzucić, a może i gnębienie wyższych umysłów rutyną; i tak byłoby i bywa może w szkołach wyższych. Ale dla dzieci zyskiwanie na czasie jest takim samym błędem, jak zyskiwanie na śnie i pożywieniu. Niech doświadczeni wychowawcy zaświadczą pod względem czasu, czy pędzenie choćby najzdolniejszego ucznia, a raczej czy pozwalanie rozpędzonemu umysłowi na bieg dowolny, nie jest stanowczo szkodliwem? i czy drugi rok przebywany w tójże samej klassie nie jest nawet dla najzdolniejszego korzystnym? Czas bo nie równą ma wartość w różnych porach życia. I dla tego po czterech latach nauki, wychodzące ze szkółki ludowej dzieci mają zakres wiadomości i umiejętności jednakowy, stanowią dopiero grunt doskonale uprawny pod wyższą naukę: w zdolniejszych nacechowany ochoczą jej żądzą, w słabszych znużeniem. Ztąd też rozpoczyna się już konieczna i coraz wybitniejsza w dalszem wychowaniu różnica. Ale te cztery lata, przez których ciąg różnicy między uzdolnie-



niami robić nie ma potrzeby, obchodzą nas głównie w chwili obecnej. Sposób nauczania robot w szkołkach szwajcarskich zasadza się na zupełnej tożsamości i jedności zatrudnień, wykonywanych niejako na komendę obrachowanymi poruszeniami przez całą klasę. W pierwszym roku mianowicie sześćdziesiąt do siedmdziesięciu siedmioletnich dziewczątek, usadzonych rzędami, dostają każda w prawą rączkę jeden drót, w lewą drugi, z zaczętych na niej kawałkiem tak zwaną u naszych dziewczynek technicznie podwiązki, który jest okazem późniejszej sztuki, sprowadzonej do najprostszego mianownika. Nauczycielka z olbrzymim egzemplarzem takiegoż samego okazu, z dwoma potężnymi drótami w ręku, ujmuje najprzód te narzędzia w taki sposób, jak tego jej sztuka wymaga, i wszystkie dzieci naśladowują sposób trzymania drótów. Obiegłszy okiem uczennice, poprawiwszy gdzie trzymanie drótów jest niedokładne, nauczycielka znów stanąwszy na środku klasy, aby od wszystkich być widzianą i wkładając koniec dróta w pierwsze oczko będące na drugim drócie, rachuje jak w taktie muzycznym: Raz! I wszystkie uczennice naśladowują jej poruszenie, które gdy przez całą klasę już dokładnie wykonane będzie, nauczycielka drótem zaczepia właściwą nitkę, wymawiając komendę: Dwa! Każde oczko robione jest takim sposobem na cztery tempa, przez całą klasę od razu. W licznych klassach nauczycielka ma pomocnicę. Robota zajmuje godzinę co dzień. Cały pierwszy rok poświęca się jedynie na tę podstawową naukę. Ale do jakiej dokładności poruszeń, doskonałości i świeżości w wykonaniu i do jakiej szybkości w pracy dochodzą uczennice przy końcu roku, o tém trudno dać niekompetentnym jakiegokolwiek pojęcie. W drugim roku, zawsze na komendę, rozpoczyna się robota pończochy całkowitej; i w końcu roku dochodzi się znów do owiej tradycyjnej już dziś u nas doskonałości, jaką odznaczało się przeszłe i zaprzeszłe pokolenie naszych niewiast, które robiąc na raz dwie pończoski na czterech drótkach, czytały przytém głośno zebranej koło nich, zajętej ważniejszymi robotkami rodzinie. W trzecim roku daje się każdej dziewczynce do ręki podłużny kawałek grubiej kanwy, także znany i tak

zwany u nas przed laty: artuszek. Takież sam kawałek kanwy, o wątku i niciach składających go zolbrzymionych dostatecznie, aby mogły być z daleka przez uczennice odróżnione, umieszcza się w rodzaju pionowo stojących krosien przed nauczycielką, która, nawłokłszy kawałek włóczki kolorowej grubości postronka, w igłę wielkości sztyletu, ukazuje najprzód to narzędzie zebrany uczenicom, które natychmiast nawłóczą każda daną jej pospolitą igłę od włóczki, zwykłej grubości włóczką. I znowu rozpoczyna się komenda. Nauczycielka na kanwie swojej wykonywa ściegi na tempa, rachując w głos, a uczennice naśladowują jej poruszenia. Drugie poruszenie następuje dopiero po sprawdzeniu, czy pierwsze zostało wykonane dokładnie przez całą klasę. W taki sposób jeden po drugim wykonywają ją się i wyuczają wszystkie kombinacje tak zwaną roboty krzyżowej. Robotę tę uważa się jako wstęp do szycia, do którego wchodzi w postaci znaczenia. W czwartym roku rozpoczyna się nauka szycia; ale nie szycia w ogóle, tylko szycia koszulki dziecięcej, z zastosowaniem rodzaju ściegu właściwego do każdej części odrabianej sztuki bielizny.

W skutek takiej czteroletniej nauki każde jedenastoletnie dziewczątko szwajcarskie umie zrobić pończochę i uszyć koszulę dokładnie, nie na pokaz, nie na majstersztyk, ale na rzeczywisty pospolity użytek.

Takiego to właśnie spopolitowania umiejętności szycia życzyłyby należało pomiędzy ogółem dziewcząt naszych, za pomocą systematycznego w szkołkach wykładu. Nie idzie za tém, abyśmy uznawali robotę pończoch i białe szycie za jedyne, właściwe do nauczania w takich szkołkach, jakkolwiek pomimo maszyn, i jedno, i drugie wykonywane w rękach bywa zawsze poszukiwane i przepłacane. Istnieją inne rodzaje robot właściwych do nauczania w szkołach, i każda z nich mogłaby się stać dla pracownice ważnym źródłem zarobku, jeżeliby była wyuczona systematycznie.

Ale jakiegobądź one będą, zawsze szycie musi tu pozostać na pierwszym planie, jako jedno z najniezawodniejszych rzemiosł. A jako takie, jeżeli tylko nauka jego po szkołkach przejdzie w wykonanie, musi ono z czasem

nieledwie samo z siebie wydać dalszy ciąg takiego szkolnego nauczania, czy to jako szkołę szwaczek dodaną do szkółek dla wychodzących z nich dziewcząt, czy też jako szkołę szycia samoistną, szkołę z wykładem systematycznym, obrachowanym na lata, a na której utrzymanie mogłyby wystarczać same prace uczennic, zaraz po kilku pierwszych latach zużytkowanych na ich przysposobienie. Że taka szkoła-szwalnia, urządzona i prowadzona umiejętnie, pod kierunkiem poważnym a ścisłym, i oparta na najniższej możliwie ocenie prac swoich, ma u nas szerokie pole do zużytkowania: jest to rzeczą dowiedzioną już samym faktem istnienia podobnego zakładu wychowawczego i pracującego zarobkowo razem, pod dachem zgromadzenia Św. Kazimierza. Ta szkołka i szwalnia zarazem, powinnyby nawet sama jedna być dostatecznym i najlepszym wzorem i przykładem w urządzaniu działu robot przy szkołkach ludowych, jako przedstawiająca wypróbowane już zalety systematycznego nauczania, obok wad pochodzących z niedostateczności systemu. Dla tych swoich zalet, pomimo wad, szwalnia ta zarzucona jest zawsze nadmiarem roboty, który daje dostateczną rękomię utrzymania się niejednemu podobnemu zakładowi w naszym mieście. Zaletami jego są: taniłość, sumiennosc i dokładność; wadami: pewna nierównosc w robocie i poprawki. Trzeba dodać, że poprawki takie, widoczne na płótnie bez jego uszkodzenia zresztą, zdarzają się właśnie na skutek dokładności w dozorujących, do której szyjące dziewczęta nie są systematyczną nauką dostatecznie przyzwyczajone. U pospolitych szwaczek dzisiejszych poprawki takie nie zdarzają się w robocie, ponieważ jej doskonałość jest zupełną w przekonaniu pracownic, tak zupełną, że wątpliwosc w tym względzie osób interesowanych uważa się zazwyczaj za obrazę. Nauka szycia w zakładzie Św. Kazimierza, jakkolwiek sumiennie przeprowadzona i z dostatecznym uwzględnieniem na warunek czasu, daleka jest przecież od pedantycznej machinowej systematycznosci szwajcarskiej. A jednakże, w pracy machinalnej tak bardzo, że maszyny częściowo wykonywać ją mogą, konieczną jest wprawa mechaniczna, doprowadzona aż do automatycznej pewności ruchów, co właśnie zdo-

bywa się w szkołkach szwajcarskich. Co do innych robot, których nauczanie mogłoby się nadać do szkół ludowych, te trzeba by już chyba uważać jako odrębne specjalności, jako rzemiosła oddzielne, do których sposobując się, dzieci musiałyby wszelkie inne opuścić. Jednym z takich mogłoby być szycie kolorowe, czyli krawiectwo. Drugim i bardzo ważnym, naprawianie bielizny, które bywa uczonem przy niektórych szkołach niemieckich, i doprowadzonym do wysokiej doskonałości, to jest aż do punktu, od którego zaczyna się naprawianie koronek. Same koronki w najprostszych rodzajach, jakie i w naszym kraju, i w Rosyi wyrabiane bywają tradycyjnie w pewnych miejscowościach przez chrześcianki i Izraelitki z klasy ludu najniższej, mogłyby także być nauczane przy szkołkach, jako oddzielne rzemiosło. Każda szkołka musiałaby więc jeden jedyny rodzaj roboty posiadać w zakresie swoim i tego jednego pilnować, uważając go jako rzemiosło. W taki tylko sposób i przy ściśle systematycznym sposobie nauczania, ogół dzieci może dochodzić do zupełnej nawet, jakkolwiek w małym zakresie, w rzemiosłach swych, doskonałości.

M. Krz....

## LISTY Z PODRÓŻY DO JAPONII.

przez  
Bronisława Podlewskiego. \*)

### III.

— Co to? spytałem, zadrżawszy.

— To mój najstarszy przyjaciel i sługa kona; siedłem go właśnie odwiedzić.

— Chodźmy!—i zagłębiliśmy się w las.

Nie potrzebowaliśmy iść daleko; tuż, na wolnej przestrzeni, pomiędzy ogromnymi sztukami cennych drzew, przywożonych obok idącą drogą z głębi lasów. i tu obrabianymi na przewiezienie w świat,—leżał konający słoń; leżał jak pies na łapach straszliwych na wzgórzu świeżo widać wzruszonej ziemi, które odznaczała młoda, gęsto już występująca roślinność. Pochylony bezsilnie trochę w bok, z głową wspartą o to zielone wzgórze, olbrzym leśny jęczał. Przed miesiącem słoń ten, najlepszy i najinteligentniejszy robotnik w osadzie, pra-

\*) Patrz N. 3.

cował w tém miejscu razem z drugim słoniem samicą, nad przynoszeniem i układaniem sztuk drzewa w porządne, symetryczne stopy, jakichby się nie powstydzili inżynier. Nikt nie chodził za nimi, bo takie słonie raz oswojone, co przychodzi bardzo łatwo, uważają się po prostu za robotników, ale robotników sumiennych, których pilnować nie trzeba. Słonie te, ta para patryarchalna, nosiły długie lata straszne drzewa z jednego lasu do drugiego, wyrwały trąbami wskazane im do wyrwania pnie tych drzew, okopane już przez ludzi, a potem układały to wszystko na właściwych miejscach w sposób raz wskazany, układały spokojnie, starannie, poprawiając robotę po bliższym przypatrzeniu, jedném słowem, pracowały z przyjemnością, jak uczeni ludzie. Aż raz, — a stało się to w czasie, w którym słonie samce bywają skłonne do gniewu, a podrażnione ulegają napadom szaleństwa, — usłyszano straszny jęk rozpaczliwy po rozpaczliwym ryku, wybuchający z lasu. Ludzie zbiegli się w miejsce, z którego ryk pochodził. W tém miejscu stał słon jak skamieniały nad nieżywą towarzyszką, w której czaszce dwie rany potężne jawnie świadczyły, że on sam był sprawcą jej śmierci. Ludzie nie zastali nic więcej. Tylko piekielny chychot i szum w górze niby oddalającej się burzy, zdradzał ucieczkę gromady małą. Czy dyabelskie psoty małą, czy co innego rozdrażniło słonia aż do szaleństwa chwilowego i zbrodni, — pozostanie to na zawsze tajemnicą. Zabójca stał nieporuszony nad ofiarą swoją. Chciano ją sprzątnąć, ale on nie pozwolił, straszniejszy teraz niż kiedykolwiek. Kazano mu odejść, ale on nie usłuchał. Dawano mu pożywienie, a on rozrzucał je na okół, nie tknąwszy. Nareszcie przyszli ludzie z łopatami, i dano słoniowi do zrozumienia, że trzeba trupa zakopać, i na to pozwolił w milczeniu, nie poruszając się z miejsca, nie spuszczać oka z ofiary swojej. Zakopano, przysypano wapnem i ziemią, trawa i mimoza porosły jakby cudem w kilku godzinach na tym gruncie, i zgłodzony, znękany król lasów legł na nich w bezsilnej rozpaczli. Daremno podawano mu najulubieńsze pożywienie, daremno don Miguel własną ręką podawał mu pomarańcze olbrzymie, co było mu dawniej szczególnie przyjemnem, — zwier-

podnosił trąbę za jego zbliżeniem i otwierał usta jak do przyjęcia pokarmu, ale nie brał go, tylko polizawszy ogromnym językiem rękę pana, jak pies opuszczał znów głowę z jękiem na zieloną towarzyszkę mogiłę. Zdawało się przecież, że sama obecność pana miłą ulgą mu była, bo jęki jego cichły przy don Miguelu, a podwajały się, gdy spóźniał chwilę odwiedzin, co właśnie zdarzyło się teraz z mojej przyczyny. Stłumiony, ale rozdzierający jęk odzywał się bezustannie, dopóki nie stanęliśmy przy umierającym. Gdy don Miguel położył rękę na czole olbrzyma, jęk ustał. Pan podał zwierzęciu drugą ręką garść słodkich ogromnych owoców z rodzaju wisien, ale paszcza na ten raz nie otworzyła się wcale. Tylko oczy nieduże a mądre, jakby dusza w nich drżała, roztworzyły się powoli, wpatrzyły się w pana i zostały tak szeroko rozwarte — na zawsze.

W milczeniu, wzruszeni w sposób, którego nie pojmie salonowiec, powracaliśmy ku plantacyom, po skonie najstarszego z przyjaciół i sług don Miguela. U wyjścia z lasu różowy motyl ze złotymi włosami frunął mi w ramiona. Pochwyliłem dziewczynkę w różowych muślinach i niosłem tuląc ją do siebie, a ona, trzymając mnie obiema rączkami za szyję, upominała, abym jej nie nosił jak dziecko, bo ona jest już dorosłą panią, i Szary, Bury i Biały dziwią się, że na rękę ją niosę. Tak perswadując, abym ją puścił, trzymała mi się z całej siły śmiejąc się, a tymczasem Szary, Bury i Biały, trzy słonie potężne, wychodzące z lasów po robocie, istotnie zdawały się jeżeli nie dziwić, to przynajmniej zazdrościć mi pieczęci małej swojej pani, tak, że aż musiała każdego z osobna pogłaskać, każdemu z osobna własną ręką garść owocu zerwać i podać, i każdemu wytłómaczyć, kto ja jestem, nim nareszcie mrużąc, pogłaskawszy ją trąbami, poszły sobie od nas niechętnie, do kąpieli i wieczerzy.

Chłopczyna zamysłony szedł koło nas, ojciec i matka za nami, zwierzęta domowe, chmary ptactwa w pół domowego, bo wszystko na swobodzie tu żyje, krążyło koło ludzi, siadając nam na ramionach, szczebiocząc, zwyczajnie jak w raj. Tak weszliśmy do cejlońskiego domowstwa o mazowieckim wnętrzu, po części przynajmniej. Wieczerza i łóżko

niezaprzeczenie przypomnially mi młode lata moje. Po ceylonsku, najadłszy się i rozebrawszy, trzeba zwinnie i chyżo, jakby ukradkiem, wsuwać się w pewny rodzaj klatki z nieskończenie delikatnej tkaniny rodzaju siatki, otaczającej olbrzymich rozmiarów a twarde jak stół łożo, szczelnie ze wszystkich stron z góry i z dołu; jest to jakby osobna izdebka w pokoju. Wszedłszy tam, musisz jeszcze obejrzeć się pilnie w koło, aby wygnać lub zabić komary, jeśli się który za tobą tam dostał, bo cała ta sypialna maszynerya ma za cel obronę od nich jedynie, i dopiero wtedy próbuje się spać. Domy są dosyć wysokie, a poprzedzielane zamiast wewnętrznych ścian, tylko niskimi przepierzeniami, w rodzaju parawanów, dla wolnego przewiewu powietrza pod dachem, bez sufitów. W taką wielką przewiewną klatkę wstawia się więc owe mniejsze łożka-klatki, aby łatwiej w nich uchronić się na noc od komarów. Rozumie się, że ten sposób budowania pospolity i ogólny we wszystkich domach większych rozmiarów w strefie gorącej, urozmaicany i ulepszany bywa na różne sposoby. U don Miguela, zamiast okrywać łożka, nakryto owym rodzajem siatki jedwabnej całe pokoje sypialne, tworząc z niej w ten sposób sufity do przepierzeń, a raczej leżące na nich przejrzyste, przewiewne, a nieprzepuszczające komarów. Zresztą parę liści tytoniowych dobrego gatunku, tłących się tu i owdzie w naczyniach do tego urządzonych, nakształt tych, w których od niepamiętnych czasów tłą się wonności na Wschodzie, ostatecznie trzymało komary w oddaleniu od sypialni i domu. Wypawszy się więc od niepamiętnych czasów, wygodnie, i wyszedłszy na werendę, gdzie mnie czekało śniadanie, usłyszałem gdzieś kędyś szeptaną w tym przewiewnym domu rozmowę, w której ktoś komuś tłumaczył, że prosić wujka, aby już raz przecięż na zawsze w Ceylonie pozostał — można, ale płakać — broń Boże! — bo wujowi bardzo jest przykro na łyzy patrzeć, gdy na nie poradzić nie można, więc wolałby drugim razem koło samego Ceylonu przepłynąć, i nikogo nie uściskać, choćby miał sam zapłakać, byle na niczyje łyzy nie patrzeć...

Na mimowolny szelest jakiś mego odzienia, ocierającego się o biegunowe krzesło, rozmowa

ucichła, a mała rodzina otoczyła mnie we mgieniu oka; ale skutkiem tej rozmowy dzień przeszedł bardzo spokojnie. Pozwolono sobie tłumaczyć, że wuj nie może, bo nie powinien porzucać spraw swoich własnych i tego poczciwego starego człowieka Francuza, który, gdy wuj był młodym i bardzo biednym, dał mu sposób do życia i pierwszy raz w świat go wysłał na swoim okręcie. Porzucać je teraz, gdy dużo handlujących ludzi swoje sprawy z tamtymi powiązało, byłoby nieuczciwie. Z czasem gdy Bóg życia pozwoli, a powiązane te sprawy dadzą się uczciwie rozwiązać, albo gdy wuj poczuje, że sił mu braknie, wtedy, — och wtedy!...

7 Października.

Opuściwszy Ceylon prawie równo z wystrzałem armatnim, dającym znak rozpoczęcia polowu pereł, ujrzyliśmy w oddali morze pokryte mniejszemi i większemi statkami i łodziami, w miejscu tegorocznego zbioru. Za chwilę wszystko znikło; jesteśmy na pełnym morzu. I znowu jestem świadkiem małej kome-dy, odegrywanej zazwyczaj w tym miejscu przez wszystkich kapitanów i dowódców statków, a zabawnej dla passażerów, którzy ją raz widzieli, niepojętej dla nowicyuszów, ku których spokojowi odegrywaną bywa. Mamy zapuścić się w archipelag wysp i wysepek, w labirynt zielonych, gęsto zarosłych kępin, prawdziwych gniazd, kryjówek węża i podobnego do niego człowieka, podobnego ze zrzęczności, dzikości, i zjadłej potrzeby szkodzenia. Tu człowiek i wąż lubią jednakowo dusić; tu, pomimo wszelkich zaprzeczeń piastunki-cywilizacyi, ludożerstwo istnieje do dzisiaj. Same nazwiska tych wysp Rozbójniczych, Złodziejskich, określają je dostatecznie. Dotychczas, to jest do otwarcia Suezkiego kanału, były te legowiska tak odległe od siedziby owiej piastunki swojej, że łatwo jej było zaprzeczać temu i owemu, a reszty nie widzieć z powodu osłabionego wiekiem wzroku. Ale odkąd Indye przybliżyły się do niej, a pomiędzy niemi zaczęły kursować parowe rumaki, jakby po bitym gościńcu, okoliczności zmieniły się. Są rzeczy, których najcierplivsza piastunka nie znosi, więc i cywilizacya postanowiła rozbójnictwa na swoim gościńcu nie znosić. A raz tak postanowiwszy, i wytępiła je już.

Rozbojów nie ma! Tak stanowczo orzekła cywilizacya, a na jej czele Anglia. Ta ostatnia orzekła to ze szczególniejszym naciskiem, bardzo naturalnie, bo ilekroć dziwnym wypadkiem zdarzało się schwytać wyspiarza rozbójnika, chwytano go z doskonałą angielską bronią w ręce. Więc powiedziano, że rozbójnictwa nie ma. A odkąd tak powiedziano, panowie dowódcy statków poczeli wchodząc na podejrzone wody, odegrywać komedye.

Rzecz rozpoczyna się zapowiedzeniem, że wpływamy w królestwo węży. Wszystkie te zielone bukiety kwieciste, pomiędzy którymi krążyć nam przyjdzie, te gniazdzka wyglądające na schronienia Amora i Psyche, roją się węzami, i wody, po których płyniemy, roją się węzami. Węże te są jadowite, a straszliwy olbrzymi dusiciel, uwodziciel Ewy, tutaj jak wiadomo, ma swoją stolicę, przepływając z wysepki na wysepkę; niepróżno miał tutaj być raj. Po takiej zapowiedzi zaczynają się na pokładzie pewne małe przygotowania i ostrożności przeciw węzom. Dzieje się to mianowicie, gdy na statku znajduje się jaka przedstawicielka płci pięknej. Nasłuchawszy się o węzach, passażerka śmiejąc się proponuje sama, aby trzymać w pogotowiu barana, krowę lub coś podobnego, jako jedyną obronę dla ludzi przeciw straszniemu dusicielowi, który, jak wiadomo, staje się najniewinniejszemu ze stworzeń po połknięciu ofiary. I ofiara zostaje uwiązana na pokładzie. A wtém powstaje krzyk, bo wąż rzeczywiście, chociaż nie dusiciel jeszcze, ukazuje się na pokładzie. A wtém z pierwszej lepszej barwistej kępiny, pomiędzy które wpływamy, okręcony do połowy o palmę wspaniałym okrażoną owocem, ukazuje się prawdziwy dusiciel! — i wyciąga straszliwe cielsko na kilka łokci z zieleni ku statkowi, błyskając ślepiami, gnąc się i mieniając w słońcu purpurą i złotem — brakuje mu tylko jabłko w paszczęce, nic więcej.

Natenczas żarty ustają; parowcowi puszcza się cugle ku jak najprędzszemu przebieżeniu straszego labiryntu, czemu, nawiasem mówiąc, skały podwodne przeszkadzają. Wszelkie możliwe środki obrony przygotowują się jawnie.

Z passażerek pozostała nam już tylko turystka, dotykająca wszystkiego co jest do do-

tknięcia, spoglądająca na to, co ma opisać raz jeden, aby za drugim spojrzeniem nie zmienić sposobu widzenia. Ma być tu gdzieś jeszcze i starsza towarzyszka turystki, ale tej nie oglądały oczy moje: z początku morska choroba trzymała ją na łóżku, potem morska choroba i katar zwrotnikowy, którego się nabawiła, roztwierając wszystkie otwory swęj kajuty z powodu gorąca, przez co skierowała na siebie wszelkie możliwe prądy powietrzne; jeszcze później trzymała ją w kajucie morska choroba, katar i strach przed rekinami; u Ceylonu nie ukazała się także, uwiązana przez morską chorobę, katar, strach przed rekinami i obawę utopienia przy przejeździe w łódce; a teraz ostatecznie zamknęła kajutę przed węzami. Zaczynamy naprawdę lękać się o jej życie: morska choroba, katar, trzy strachy, zwrotnikowe gorąco i Angielka, w jednej kajucie, i to wszystko zamknięte! to za wiele!

Kapitan nie schodzi z pokładu, turystka pisze, parowiec wymijając skały śpieszy jak może, z pomiędzy zielonej kępiny wysuwa się *prochs*, łódka maleńka, i sunie jak strzała ku nam; na niej Malajczyk z głową owiazaną chustką kolorową za cały strój; daje nam znaki wywijając bażantem po nad głową, za nim i z za innych kępin wysuwa się druga, trzecia i piąta łódka, w niektórych większych jest kilku ludzi, a w każdej stosa zwierzyny i owocu, na które krzykiem i migami proponują nam zamianę. Parowiec sunie jak szczupak, wywijając się pomiędzy tém mrowiem, które mnoży się i roi jak węże przed nim i za nim i z boków, jawiąc się z każdą kępiny.

— Pary! więcej pary! komenderuje kapitan.

Parowiec zdaje się zwijać, wypręzać i przerzucać przez otaczające go roje, jakby nam w węza się zamienił, a jednak tu i tam już któryś z tych wodnych węży rojących się koło własnych łódek niemogących ich pomieścić, czepia się parowca w taki sam sposób, jak czepią się palmy, bez widocznego punktu oparcia.

— Gdyby im pozwolić, zarzuciliby nas żywnością, której nie potrzebujemy — mówi kapitan do nas spokojnie, a do swoich dodaje:

— Nie dopuszczać na pokład! Jest to komenda umówiona, a znaczy: „Baczność! cel!“ Kilkanaście luf kieruje się między błyszczące

oczy tych zwinnych, giętkich gadzin o ludzkich kształtach, które już, już pełzną mają po giętkich bokach statku. Gadziny zdają się wahać przez chwilę, niektóre odpadają, inne cisną się na ich miejsce, a tymczasem zielone brzegi kształtują się w długi, przestronny kanał, po jednym boku którego, gęsty bór wystający na pozór wprost z morza, służy za fundament licznym chatom i całym wsiosem osiedlonym w szczytach drzew na ich pniach przyściętych—to Indo-Chiny. Z drugiego boku kanału, wśród wspaniałej vegetacji kamforowych i hebanowych drzew, po nad błotnistym niskim brzegiem, na tle gór i wulkanów, ukazują się domowstwa prawie europejskich pozorów—to Sumatra. Rój czarniawo-miedzianych ciał wijących się koło statku rzędzie, odczepia się i znika: jesteśmy w cieśninie Malakka.— Singapur ukazuje się w oddali, parowiec jak wyścigowiec zwycięzki dopada wygodnego portu i staje.

— Wbrew zasadzie wolnego handlu o mało nie zmusili nas do niego — mówi śmiejąc się kapitan.

Turystka zapisuje uwagę jego, spoglądając za znikającymi w oddali łódkami drapiezców, z których najzawziętsi i najokrutniejsi, do dziś dnia ludożercze plemię Battahów, kryje się w niepodległych krańcach saméjże wyspy Sumatry.

Jesteśmy przed ogromnym handlowym miastem, o bardzo różnorodnej ludności. Na wybrzeżu, obok dobrze utrzymanego portu, rozciągają się, gnieźdzą raczej, tłumy chatek z trzciny i liści, na palach w błocie, za nimi powyżej, na trochę suchszym gruncie, część miasta malajska rozciąga się szeroko na wstępie do właściwego miasta, z pośrodku którego wznoszą się budynki obszerne, zajęte przez władzę. Dziwactwo chińszczyzny powykrzywianéj: złagodzone tu jest trochę ocieraniem się o angielskie linie proste, wybitne w trzeciej części miasta, najmniejszej; długie, białe ściany jeszcze prostszego i większego, to jest obszerniejszego od innych domowstwa, zwracają tu oczy pewnym pozorem schludności — to klasztor katolicki żeński. Tak przedstawia się podróżnikowi miasto, z dodaniem wyglądających z niego drzew i otaczającej je zewsząd bujnej zieleni, wśród której tu i owdzie, niby

ptasie gniazdka, widnieją rozsiane w okolicy na wzgórzach prześliczne angielskie osady. Po nad tém mrowiskiem ludzkim pagrażoném w błocie porastającym zielenią, wznosi się i kłębi chmura wyziewów parujących w ognistych promieniach słońca: to wielki kocioł wiecznie wrzących błot, w którym między innymi gotuje się dla świata i cholera. A gdy słońce chce spocząć na chwilę i musson, wiatr północno-wschodni chwyta berło jego, wtedy jedna rzeka ciepłej wody kataraktą bezbrzeżną i bezustanną łączy chmury z błotem, dopóki znów słońce zwrotnikowe berła swego nie odbierze, i kocioł parować nie zacznie. Parowanie to jest tak gęste, że możnaby powiedzieć, iż deszcz pada tam zawsze — z góry na dół, albo z dołu do góry, na przemiany, godzinami, dobami lub miesiącami. W parach tych roślinność pleni się i rozrasta z szybkością i siłą przerażającą. Taki epitet zastosowany do roślinności może wyda się dziwacznym, ale zrozumiecie mnie, jeżeli przypomnicie sobie powszechnie znaną bajkę o rozgniewanym braminie, który wślizgnąwszy się do ogrodu monarchy niesprawiedliwego i zastawszy tego monarchę śpiącym na wonnym kwieciu u brzegu fontanny, nie zabił monarchy i nie mu złego nie zrobił, tylko zasadził w ziemię między królem i fontanną małe ziarenko... Nim monarcha odespał sen południowy, ziarenko wyrosło w drzewo-węza, to jest w wiciokrzew olbrzymi, widelkowatemi kolcami chwytne okryty, który czepiwszy się różanego krzewu, wyrósł do wysokości podpory swojej, aby z jéj szczytu rozpuścić na około tysiąc kolczastych gałęzi; — każda taka gałąź zapuściła w ziemię korzenie i znów po drzewo-wężu ojcu swoim wspięła się, aby tysiąc wężowych ramion w górę i na dół po nad śpiącym, za śpiącym i w około śpiącego zapuścić. Król spał niedługo, zaledwo tyle czasu, ile potrzeba do wyciśnięcia i osuszenia łyzy ludzkiej, mówi bajka, a przecież gdy z bolu się zbudził, już wężodrzew skrępował go tyłu splotami, że król musiał wyzionąć w nich ducha, jak w żywego węża pierścieniach, nim go z nich na na krzyki jego zdołali dworzanie mieczami wyrąbać.

Bajka ta, mimo pozornéj przesady, dobrze odzworowyywa właśnie tę roślinność, którą

przerazającą nazwałem: węzo-drzew istnieje rzeczywiście w tych błotach gorących, rzeczywiście wychyla z nich szyję, a biada temu, ktoby zasnął w jego ramionach; to rodzaj roślinnego węża, ale i polipa sturamiennego zarazem, jakkolwiek mniej chyżego od tamtych obu. W tym też jednym względzie bajka przesadza, a raczej ucieka się do obrazowania tylko, bo wszakże usypia monarchę „na czas wyciśnienia i osuszenia łyzy ludzkiej...” Bawełna, pieprz, drzewo-podróżnika, zawierające w stosownie utworzonej niższej części liścia sporą ilość czystej wody, rosną tu także na wyższych miejscowościach, jak również rodzaj cytryn potężnych, banany i palma, sama jedna wystarczająca wszystkim potrzebom człowieka.

Tu, w tym punkcie globu, przybywający Europejczyk spostrzega wyraźne zetknięcie się dwóch części świata w przedstawicielach swoich, Chińczyku i Malajczyku,—ostry wyziew ciał malajskich, wstrętne niewypowiedzianie europejskiemu powonieniu, i niechlujstwo chińskie — ową cechę narodów wschodnich, szkopał i bodziec ich prawodawców.

Dodajcie do tego bezwiedne dzikie okrucieństwo, odzywające się często w dzieciach, a usymbolizowane w jednym z plemion malajskich, które na skutek miłości dziecięcej daje starzejącym się rodzicom grób w głębiach dziecięcych żołądków, czemu zaprzecza znowu cywilizacya, a co miejscowe podania sprawdzają;—dodajcie chciwość i oszustwo starców cywilizacyi, Chińczyków, a będziecie mieli pobieżny, ale dosyć wierny szkic Singapury. W jednym ze sklepów jój znalazłem się właśnie z małér pudełeczkiem pereł i listem don Miguela w kieszeni. Perły były maleńkim upominkiem od kobiety dla kobiety, grzeczność w użyciu między tamecznymi damami, których mężowie są w interesach z sobą. List dotykał moich własnych spraw, które kupiec mógł mi wielce uprościć jako miejscowy.

Sklep z wystawą zaopatrzoną w kraty drewniane, błyszczącą kilkadziesiąt nożami otaczającą armatę wycelowaną w ulicę—był składem broni. W ciemnych jego głębinach, bo oświetlanych tylko tém wystawowém oknem, kilka złotawo-miedzianych widziadeł w pasiastych krótkich spodniach za cały strój, gię-

ło próbując i wybierając długie noże, straszną broń w malajskiej dłoni, i broń palną, której wybór zdradzał znawców. Kilku młodych chłopców, o typie chińskim, wybitnym, ale w ubraniu europejskiem, za dużem na nich, pokazywali towar, zachwalając, z żydowsko-chińską bezczelnością.

Sam kupiec Anglik, osiadły tu od lat niepamiętnych, przyjął mnie mierząc oczyma przymrużonemi, od stop do głów, i wpijając je w moje oczy. Dopiero po przejrzaniu listu i pudełka oczy roztworzyły mu się i uściskawszy mi rękę serdecznie, zaproponował mi osobiste wręczenie pudełka pani domu. Miałem ujrzeć singapurską damę, rzecz najrzadszą z tutejszych rzadkości. Bo zewnątrz domów, a choćby i w domach uczęszczanych przez obcych, można tu widzieć w ogóle kobietę chyba w nadzwyczajnych razach, albo w pewnych tylko dzielnicach, i to tylko w egzemplarzach należących do dwóch rodzajów ostatecznej nędzy—fizycznej lub moralnej.

Kupiec poprowadził mnie w głąb domu, pomiędzy owe niskie przepierzenia stanowiące ściany, przez których wierzch łatwo można zajrzeć do izb sąsiednich. Szedł przedemną, pokazując drogę, a zwracając się przytém do mnie co chwila, gestykulując, uśmiechając się i drepcząc. Anglik przerobił się w nim w Chińczyka; za młodo zapewne tu przybył, za długo żył tutaj.

— Byłem już raz w Singapur, ale bardzo krótko; nie zdarzyło mi się też widzieć wówczas tak dowodnych postępów cywilizacyi: nie widziałem Chińczyków w służbie po sklepach angielskich i w sukniach angielskich — rzekłem, idąc za moim gospodarzem przez sklep, wśród kupczyków.

— Bo też Chińczycy w ogóle nie lubią służyć u nas, odchodzimy się Malajczykami—odrzekł.

— Ależ ci chłopcy?...

— A, ci chłopcy to co innego; kupiłem ich dziećmi od zgłodniałych matek, wychowałem w znajomości jedynego Boga, odziewam, żywię, uczę handlu, a oni za to służą mi i służyć będą, jak i dopóki im się podoba. Katolicko-rzymskie klasztory mają swój sposób rozszerzania światła, angielskie missye mają swój

znowu, i my także jak możemy pracujemy w winnicy Pańskiej.

Kupiec wypowiedział to jednym tohem, zacierając ręce gestem przyniesionym ztamtąd, gdzie one kostnieć mogą, uśmiechając się i wznosząc oczy w niebo nabożnie lub spuszczać je w ziemię pokornie, choć one i tu i tam tylko śmiercio-nośne narzędzia spotykały. Wzdychał przytém często, może z powodu dość dobrej tuszy, i pomimo swojej żywości, zdawał się bardzo stary.

— Pan, jako Anglik, wyżej zapewne cenisz pracę rodaków swoich, — odrzekłem; ale on na to tylko wzruszył ramionami.

— Pracę rodaków moich! powtórzył: ja wcale niewiele wyżej ją cenię. Luter odwiął wprawdzie plewę starego zabobonu i czyste ziarno zatrzymał wedle swego przekonania, ale gdy Kalwin tamtego robotę rozpatrzył, to się tam dla jego bystrego rozumu jeszcze moc plewy znalazła, które on znowu odwiął i znów samo czyste ziarno wedle swego zdania otrzymał; i Zwingliusz to samo zrobił na swoją rękę; a od ich czasów Bóg tam wie, kto już oczyszczonego przez nich ziarna nie siał, a zawsze plewy do odrzucenia jest moc! Ale przecież z czasem coraz to się czystsze ziarno zasiewa.

— A jakieżże czystości ziarno otrzymałeś pan? spytałem, widząc, że mam do czynienia z sekciarzem, a sekciarz zawsze jest gotów do propagandy.

On zatrzymał się w ciemnym zaułku przepierzeń między stosami strzelb różnego kalibru błyszczących, — oczy zabłysły, wznosił rękę i palec wskazujący w górę, z kąda zwieszały się wory kul i straszne pęki łańcuchów i kajdan.

— Jeden jest Bóg! — wykrzyknął — a sługą jego i kapłanem każdy ojciec rodziny. Oto jest ziarno prostoty i prawdy! Wyzywam, aby je lepiej odsiano! Biblia prawem mojem!

Stał chwilę, jakby w natchnieniu, potem z wolną rękę opuścił i wprowadził mnie za następne przepierzenie przed oblicze żony. Monotonny, cichy śpiew, niczém nieprzypominający tego, co cywilizowane ludy nazywają śpiewaniem, dochodził mnie już od chwili, teraz stałem nad jego źródłem: w ogromnym angielskiem krześle na biegunach, zwinięta jak ła-

sica, kuliła się niezmiernie młoda kobieta, o żółto-ciemnej cerze, w biały owinięta kaszmir, w błyszczących obrączkach na rękę i nóżkach, których stopa niesłychanej małości, ale nieestetycznych kształtów, przypomniawszy mi kopyto krowie. Na szyi dama miała bogaty naszyjnik, w uszach duże kolczyki, włosy w tył odesasane i okręcone sznurem pereł, a pod samym końcem nosa u nosowej chrząstki przytwierdzony duży dyamentami wysadzany pierścień. Na skulonych kolanach trzymała małe dziecię, widocznie chore, i nócąc mu owém dziwném śpiewaniem, matka płakała po cichu, schylona nad niem; łąza za łąz jak groch toczyły ję się po policzkach i kapały z brylantów nosowego pierścienia. Ojciec nachylił się, przypatrzył dziecku, kiwnął ręką, westchnął, i uśmiechając się do mnie rzekł:

— Patrz pan! abyś widział, w jaki sposób ja sięję ziarno: ta kobieta to czwarta z kolei żona moja, bo dotknięty śmiercią jedną, biorę natychmiast drugą, aby wypełnić co jest napisano: „Mnóźcie się i napełniajcie ziemię.“ A sama ta kobieta, to także wykupiona przezemnie dusza z paszczy zabobonu i wyniesiona do godności pani domu tego. Ale oto patrzył podobało się Panu odjąć mi dziecię moje, ulubione dziecię, a ja, kapłan-ojciec, będę śpiewał chwałę Panu na wysokości!

I podrygując lekko, ojciec-kapłan począł wyspiewywać coś na dosyć skoczną nótę nad umierającym dzieckiem.

## Wiadomości z literatury zagranicznej.

*Astronomie populaire*, p. Camille Flammarion. — *Saint Vincent de Paul et sa mission sociale*, p. A. Loth. — *Des principales raisons d'être des ordres religieux*, p. M-eur Bourret, évêque de Rodez. — *Lettres de M-me Degerando*. *Les peuples de l'Afrique*, p. Hartmann. — *Les Noyades de Nantes*, p. A. Laillé.

*Astronomia popularna* czyli ogólny opis nieba, wydany przez Kamilla Flammarion'a, znanego na polu wiedzy pracownika, jest zarazem utworem uczonego i poety, podobnie jak wszystkie dzieła tego autora. Założeniem jego główném tutaj było stać się przystępnym dla ogółu czytelników, wykazując cuda przyrody, zarówno jak liczne odkrycia, poczynione



w ostatnich czasach w dziedzinie nauki, którą ukochał nad inne. Odkłada na stronę wyrachowania matematyczne, aby natomiast zająć i zaciekać opisem nieznanych a wielce interesujących szczegółów. „Ośmielam się, powiada w przedmowie, przedstawić dzieło to jako zupełnie nowe, tak pod względem metody wykładu, jak ogólnego ustroju całej pracy; głównym moim zamierzeniem jest, aby stać się mogło popularnym, nie przestając być wiernym i godnym tłumaczem nauki, której jest poświęcone.“ Cel ten osiągnięty jest w zupełności przez znakomitego popularyzatora-poetę, gdyż praca jego znajduje liczne i szybkie rozpowszechnienie. Chromolitografie w tekście, rozjaśniając go, stanowią zarazem ozdobę wydania.

*S-ty Wincenty à Paulo i zadanie jego społeczne.* p. A. Loth'a, z przedmową L. Veuillot'a, z objaśnieniami A. Baudon'a, E. Curtier i A. Roussel'a z mnóstwem pełnych artystycznego smaku rycin odpowiednich do treści, jest wspólnym pomnikiem wystawionym przez najzdolniejszego ryci i pióra chrześcijańskiemu miłosierdziu, którego S-ty Wincenty żywym był uosobieniem, otaczając miłością swoją nędzę wszelką, zarówno materyalną, jak moralną. Ubodzy bowiem i chorzy, sieroty, więźniowie i prześladowani, znajdowali w nim życzliwą opiekę, gdy oświecając błądzących słowem i czynem, dusze ich zjełnywał Niebu. Zakładając przytułki dla podrzutków, organizował domy Siostr Miłosierdzia, ażeby poświęcenie ich po wszystkie wieki obfite przynosiło owoce, łagodził niewolę galerników, tworzył seminarya wychowawcze dla młodych kapłanów, urządzał missye i uczniów swoich rozsyłał po wszystkich stronach świata, a zarazem walczył przeciw herezyi jansenistów i ówczesnej manii pojedynków; w pracach swych znajdował pomoc serc najzaciekawszych i najznakomitszych ludzi swego czasu; łatwo więc odgadnąć, jak urozmaiconą i bogatą być musi treść opisującego je dzieła. Pozostanie też ono na zawsze wymownym świadectwem nieustrudzonej działalności Kościoła w sprawie niesienia ulgi nędzy społecznej wszelkiego rodzaju.

Książk Bourret, biskup Rodez'u, wydał broszurę: *O głównych przyczynach istnienia sak-*

*nów w Kościele i społeczeństwie*, w której dowodzi, opierając się na świadectwie historii, że zakony nigdy przeciwnymi nie były duchowi postępu w tém, co miał w sobie dobrego i godnego rozpowszechnienia, że walczyły jedynie przeciw wszystkiemu, co pod jego godłem kryło się fałszywego i przeciwnego prawom Bożkim. Nie sprzeciwiały się również instytucjom demokratycznym i formie rządu republikańskiej. Zakonnicy, po większej części synowie ludu, czują się ku niej raczej pociągnięci, a nie chcą jedynie dawać jej jedno-brzmiającego znaczenia z niereligijnością, której nierzadko staje się wyrazem. W krajach, gdzie rzeczpospolita szanuje ustawy Kościoła, są równie gorliwymi jej zwolennikami, jak i inni współobywatele.

Styl wyszłych obecnie w Paryżu *Listów* pani de Gerando przenosi nas, zarówno jak opowiadanie, które mieszczą, w owe lepsze dawne czasy we Francyi, w których pewna część tamiecznego społeczeństwa odznaczała się zarówno wykształceniem umysłu, jak wdziękiem towarzyskiego obejścia.

Jedną z najciekawszych kołędowych książek wydanych w roku bieżącym, jest niewątpliwie *Opis afrykańskich ludów* (Les peuples de l'Afrique), znakomitego współczesnego podróżnika M. Hartmann'a. Zbadawszy na miejscu życie dzikich, ich wyobrażenia religijne, instytucje polityczne, o wiele nawet więcej rozwinięte niż to sądzić można, przemyśli, stosunki handlowe i t. p., dał on wierny obraz ich zwyczajów i obyczajów, przedstawiony z wielkim życiem i pełny zupełnie nieznanymi a zaciekawiącymi szczegółami.

Pod napisem: *Topienia w Nantes*, wyszło w témże mieście drugie wydanie *historii prześladowania utopionych księży*, przez Alfreda Laillé. Jest to jedna z tych książek, które rzucają coraz większe światło na obudzające najwyższy wstręt i zgrozę tysiączne a mało znane dotąd szczegóły wielkiej rewolucyi. Odsłaniając je z po za grubego pokrycia fałszu, nagromadzonego w celu wiecznego ich utajenia, historycy francuzcy oddają nie małą przysługę społeczeństwu, które dzisiejsi następcy dawnych rewolucjonistów powtórnie obalamucić pragną. Miasta prowincjonalne we

Francyi posiadają w archiwach swoich mnóstwo nieznanych jeszcze ogólnie autentycznych dokumentów, na których mocy niestrudzeni szperacze przeszłości przedstawiają wybitniejsze jej obrazy. P. Laillé, pisarz sumienny i inteligentny, rozpatrując źródła, jakie odnalazł w Nantes, obok strasznych dramatów paryskich stawia godne zająć obok nich miejsce tragedye, dokonane na prowincyi. Do najpierszych tego rodzaju należą topienia wymysłu Carrier'a, opisane tutaj w słowach, w jakich szczegóły ich odnalezione zostały w ówczesnych dokumentach. Opis ten, nieubarwiony wcale uwagami autora, ani ozdobami retorycznymi, w swój pełnej grozy prostocie, dowodzi najlepiej, jakie zbrodnie tolerować może społeczeństwo przygnębione terroryzmem. W przeciągu trzech niespełna miesięcy *jedenastie* razy topiono publicznie nieszczęśliwych skazanych w Nantes (raz nawet egzekucya ta miała miejsce w dzień biały). 4,800 osób różnego wieku i stanu w ten sposób śmierć poniosło. Najpierwszymi ofiarami byli księża, następnie zaś walczący za króla żołnierze, a w końcu mieszkańcy okolicznych wiosek, podejrzani o sprzyjanie dawnej formie rządu. Spełnianie samego już przez się okrutnego wyroku połączone tu było z mnóstwem okrucieństw, czyniących go jeżeli można jeszcze sroższym, a na których opis wzdryga się pióro.

## Korrespondencya.

Petersburg, 13 Lutego 1880 r.

Zbudowanie dzwonnicy staraniem i kosztem ks. Frackiewicza.—Otwarcie seminaryum katolickiego —Księgarnia polska. — Drugi stały most na Newie.—Opodatkowanie właścicieli psów i koni.—Dochody miasta.—Powiększenie liczby szkół.—Nowy teatr.—Pogłoski o projektowanym przybyciu trupy polskiej.—Nekrolog: ks. Żółtek.

W „Kronice Rodzinnjéj“ z roku 1871 na str. 157, podałem wiadomość o zbudowanym w Petersburgu, staraniem ks. Dominika Łukasze-wicza (na urządzonym przez niegoż katolickim cmentarzu) kościele Pocieszenia (dawniej Wniebowzięcia) N. M. P. Zaczny ten kapłan, przed kilku laty przeniósł się do lepszego żywota,

ale szczęściem, nie uniósł z sobą do grobu szczególnie w tej świątyni zamilowania, które przekazał swym następcom. Jeden z nich zawiadujący obecnie tak kościołem jak i cmentarzem, ks. Wiktor Frackiewicz, prowadzi dalej dzieło założyciela z równą gorliwością i wytrwałością. Kościół Pocieszenia N. M. P. nie miał należytej dzwonnicy, opatrzony był drewnianymi schodami, drewniana również brama prowadziła na cmentarz. Otoż staraniem ks. Frackiewicza wymurowano w ciągu roku zeszłego piękną dzwonicę w stylu romańskim, ganek, schody i bramę. W dzwonnicy, mającej razem z krzyżem 21 sążni wysokości, urządzono skarbiec dla przechowywania sprzętów kościelnych. Dzwon, odlany w Warszawie w fabryce p. Zwolińskiego, waży pudów 20. Wszystko to kosztowało około 18,000 rs. Ofiary prywatne wyniosły niespełna 2,000 rub., z dochodów kościelnych użyto około 4,000 rs.; ~~z wadze xaj z kłosego dochodu 190 00 r.~~ ks. Frackiewicz przez skromność zamilcza, lecz wiadomo zkadinaż, że poświęcił na to własny fundusz, wypłacony mu przez rodzeństwo, po sprzedaży dziedzicznego majątku. Dodać jeszcze należy, iż dla zaoszczędzenia summ kościelnych, ks. Frackiewicz dobrowolnie przyjął na siebie bezpłatne pełnienie obowiązków dozorca cmentarza. Fakta te same za sobą przemawiają i nie potrzebują komentarzy. Dziękujmy tylko Bogu, że mamy dotąd takich kapłanów.

Zeszłej jesieni 10 Października, nastąpiło tu otwarcie seminaryum katolickiego, urządzonego na 40 wychowalców, dla archidycezyji Mohylowskiej, w której obrębie liczy się przeszło 440,000 katolików płci obojg, w tej liczbie w Petersburgu 30,000. Seminaryum razem z kaplicą, wygodnie zalokowane w przebudowanym na ten cel z gmachu rządowego, obszernym domu położonym przy Ekaterynhofskim prospekcie pod N-rem 37,—posiada zaledwie trzynastu wychowalców. Wykład nauk mający trwać przez lat pięć, odbywa się w języku rossyjskim, z wyjątkiem przedmiotów teologicznych i filozofii, które wykładają się po łacinie. Programem objęty jest i język grecki.

Przebiegając myślą wydatniejsze objawy z życia tutejszego miasta za rok zeszły, które w piśmie waszém nie były jeszcze zapisane,

muszę nadmienić, że księgarnia polska p. G. Ungra, którą jak wiadomo tu otwarto przy placu Kazańskim, stanowi wielką dogodność dla zamieszkałych w stolicy naszych rodaków, którzy z mniejszym kłopotem i kosztem mogą zaopatrywać się w polskie czasopisma i książki. O ile mi wiadomo, interesa tej księgarni, przy której wkrótce ma być urządzona i czytelnia, idą bardzo dobrze.

Do ozdób stolicy i dogodności wszystkich w ogóle tutejszych mieszkańców zaliczyć należy otwarty 30-go Września drugi stały most na Newie. Zbudowany w ciągu 4 lat, przez półkownika (obecnie generała) inżynierii p. Struwego, most ten ma 200 sąż. długości a 11 szerokości, razem z chodnikami, mającymi szerokości 1½ sążnia: jest więc najszerszym mostem w Europie. Wspiera się na pięciu żelaznych arkadach, a zaopatrzony jest tak doskonałym mechanizmem, że przy udziale ośmiu ludzi, rozsuwa w ciągu sześciu minut, dla przepuszczenia większych statków, skrzydła swe 45,000 pudów wazące. Wieczorem i nocą oświetla się lampami elektrycznymi. Cała ta wspaniała budowa kosztuje 5,100,000 rubli, z których połowę wypłaciło miasto, drugą połowę wydano ze skarbu. W celu zwrotu choć części tak znacznego nakładu, zarząd miasta projektuje ustanowić stały podatek na właścicieli psów i koni. Psów liczy się w Petersburgu około 70,000, koni zaś 40,000, z których połowa stanowi własność dorożkarzy, oraz przemysłowców utrzymujących omnibusy i inne powozy publiczne. Podatek ten nie będzie przewyższał 12-tu rubli za konia i 2-ch rubli za psa. Opodatkowaniu mają podlegać konie utrzymywane przez osoby prywatne, dla własnej wygody. Uchwały te oczekują jeszcze zatwierdzenia rządu.

Petersburg ma wprawdzie i obecnie około sześciu milionów rubli rocznego dochodu, ale ogromne wydatki całkowicie pochłaniają tę sumę. Pomimo, że 4½ miliony muszą być corocznie wydawane na rozchody obowiązkowe, zarząd miasta nie przestaje jednak powiększać kosztów na sprawę oświaty. W roku 1877 było w Petersburgu zaledwie 20 szkół kosztem miasta utrzymywanych,—obecnie liczy się ich 53, a jesienią liczba ta znacznie jeszcze ma się powiększyć.

Hr. Apraksin zbudował tu, nad rzeką Fontanką, piękny murowany teatr, i oddał go na lat kilkanaście w dzierżawę Dyrekcji Teatrów, za roczną opłatę 18,000 rubli. Teatr ten, przeznaczony dla ruskiej dramatycznej trupy, w Listopadzie otwarto. Były tu pogłoski, nie wiem o ile uzasadnione, jakoby trupa polska dramatyczna miała tej zimy zawitać z Warszawy do Petersburga na kilkanaście gościnnych przedstawień. Jeśliby podobne przedsięwzięcie kiedykolwiek mogło się urzeczywistnić, oczekiwaloby je tutaj niechybnie wielkie powodzenie.

List dzisiejszy kończę nekrologiem. W Listopadzie r. z., zmarł tu w 49 roku życia *ks. Józef Zółtek*, zakonu kaznodziejskiego. Był on prefektem istniejącej przy tutejszym kościele Św. Katarzyny szkoły dla dziewcząt, pełniąc swe obowiązki z całą sumiennością i gorliwością. Zaopatrzył szkołę w bibliotekę i wprowadził do niej wiele ulepszeń, na które własnych kosztów nie żałował. W ogóle zostawił on po sobie najlepszą pamięć, jako świątobliwy, światły, prawy i bezinteresowny kapłan i człowiek.

A. D.

Jerozolima, 25 Lutego 1880 r.

W ostatniej mojej korespondencji przesłanej do «Kroniki Rodzinnéj» donosiłem, że mieliśmy w tych stronach kompletną zimę. Ta wprawdzie krótko trwała, ale śnieg zniszczył drzewa pomarańczowe i cytrynowe, z wyjątkiem drzew owocowych w Jaffie, gdzie gościem się tylko pokazał. Gdyby w Jaffie był upadł tak obficie jak w Jerozolimie i w jej okolicach, byłby wyrządził szkody na milion franków w ogrodach drzew owocowych, zajmujących płaszczyznę mili kwadratowej. Po śniegu nastąpiły mrozy trwające aż do 7 b. m. Czego nie zniszczyły śniegi, to przez mróz zginęło. Ludzie najpodeszlejszych lat nie przypominają sobie tak wielkiej zmiany klimatu w Palestynie. Na Wschodzie nie znają sposobu ocieplania mieszkań. Jest to we zwyczaju jedynie u osób zamożnych, jak gubernator miasta, wyższych jego urzędników i konsulów europejskich; więc niższa klasa ubogich doznała niemało w tym czasie i głodu, i chłodu. Nie

matu żadnej taryfry rządowej na artykuły żywności; ten zwyczaj zawsze panował w Jeruzolimie ze szkodą ubogiej ludności, gdyż tylko dostojnicy tureccy taniiej nabywają wszelkie produkta ziemi. W skutek nędzy pokazały się liczne szajki opryszków. W jednym miesiącu niespełna były trzy napady na podróżujących. Na drodze z Jeruzolimy do Betleemu w biały dzień jadącego do Beitgiala księdza łacińskiego z patryarchatu, odarto z pieniędzy i odzieży. Na drodze jerozolimsko-jaffskiej taki sam los spotkał jednego Turka, a za murami miasta Jeruzolimy, na drodze wiodącej do Emmausu, dwóch Izraelitów o kilkanaście kroków od ich własnych domów także napadnięto i zrabowano. Ci ostatni nie mogli się bronić, bo zbójcy mieli broń palną z sobą. Energia Reufa, tutejszego baszy, wytropiła już wielką ich liczbę i osadzono ich w fortecy jerozolimskiej.

Od dnia 8 b. m. pada deszcz,—spodziewamy się, że nam sprowadzi lepszą porę, bo tu zwykle z początkiem Marca zaczyna się pora wiosenna. W stosunkach krajowych nie ma żadnej zmiany.

Ks. Jukundyn Bielak S. Z. Ś.

## PIĘCIOLISTNY BEZ.

NOWELLA

przez **Hajotę.**

Poświęcona

DEOTYMIE

AUTORCE „BRANEK W JASSYZE.”

(Dalszy ciąg).

— *Tout incrédule que vous êtes*—odzywa się zimno—honorowi hrabiego Emila Z\*\*\* zaufać możesz. Nie zrobię nic, coby cię skompromitować mogło. A więc... od dziś za tydzień zapoznam się z niemi.

Lakoniczne „tak“ jest odpowiedzią Maurycego.

Hrabia Emil ziewa po raz trzeci, i świsnąwszy na Swata, opuszcza gabinet.

Oldanowiecki pogląda za nim, poczem wzrusza lekko ramionami, poprawia się na ottomance, przeciera binokle i zagłębia się, tym

razem już bez przerwy, w „Parerdze i Paralipomenie.”

### III.

Henia widocznie nie tylko piękność bogini, jaką jej przyznaje hrabia Emil, ale i właściwą boginiom moc odgadywania rzeczy dalekich i stać się dopiero mających, posiada. Tak bowiem jakby obecną była rozmowie dwóch przyjaciół w gabinecie Maurycego, powiedziała sobie, jeszcze tego samego dnia wracając z pustą króbeczką do domu, że pięknego nieznanego zobaczy za tydzień w kościele.

Nadzieja ta, niczem nieusprawiedliwiona, niewiadomo z kąd zaczerpnięta, towarzyszy Heni w ciągu tych sześciu długich dni, jakie upływają między chwilą jej powzięcia a niecierpliwie wyczekiwaną niedzielą, która ją ma ziścić lub rozproszyć. Pani Ewa nie wie nic ani o spotkaniu w lesie, ani o marzeniach, jakie na ten temat snuje gorliwsza od pająka wyobraźnia jej córki. A jednak Henia spowiadała się z każdej swjej myśli przed tą kochającą, łagodną, pobłażliwą powiernicą. I teraz też niejednokrotnie chce rzucić się matce na szyję i wyszeptać jej cichutko, że widziała kogoś, którego by jeszcze bardzo i bardzo zobaczyć pragnęła, że ten ktoś patrzył na nią tak śmiało i przenikliwie, iż byłaby się rozgniewała na każdego innego, a na niego nie mogła, że jej od téj pory smutno i tęskno, sama nie wie czego... o! i tysiące innych „że,”—ale zawsze jakiś wstyd niepojęty i obawa zamykają jej usta.

— Jeżeli moje przecucie się sprawdzi—myśli w sobotę wieczorem, goniąc okiem purpurowe chmurki—jeżeli go jutro zobaczę, to znak, że dzień ten o całym mojem życiu stanowić będzie. Wtedy powiem mamie wszystko... Ach mój Boże! jakie to dziwne! Dopókim go nie znała, nie pomyślałam nawet, czy taki człowiek istnieje na świecie; a teraz, gdyby mi kto powiedział: «Nie ujrzysz go już więcej!» zdawałoby mi się, że mi zawsze czegoś brakować będzie. Ale to niepodobna! Wszystko się tak jakoś na to nasze spotkanie złożyło, że nie mogę uwierzyć, aby to był prosty przypadek, i aby się na tém jednem skończyć miało. O nie! nie! To wyraźne przeznaczenie. Mnie coś jakby ciągnęło na te poziomki, i trzeba właśnie, żeby tam, któredy nikt prawie nie

jeździ, on się wtedy zjawił. I zkąd? Doprawdy, chwilami gotowabym przypuszczać, że to mi się sen z rzeczywistością poplątał, takie to niepojęte i tajemnicze. Zupełnie jak w roman-sie. Ach! niedzielo! niedzielo!—woła, wyciąga-jąc rączki — przychodź co prędzej, albo nie przychodź wcale, jeżeli mi nie masz dać tego, czego pragnę.

Niedziela jednak nieczuła jest na te gorące zaklęcia, i nie przyspieszając, ani ociągając chwili swego ukazania się, powstaje o właści-wej porze, wonna, jasna, słoneczna, jak jój ze-szłotygodniowa siostrzyca. Henia za to zry-wa się wcześniej niż zwykle, i ku niemałemu zdziwieniu pani Ewy, parę godzin trawi przed lustrem, czesząc na rozmaite sposoby swoje krucze włosy, przymierzając to tę, to ową suk-nię, wiążąc w coraz fantastyczniejsze kokar-dy mnóstwo szarf, jakie wszystkimi kolorami tęczy wyglądają z jój garderobianych kry-jówek. Wreszcie po wielu próbach, Henia de-cyduje się na codzienną swą koafiurę, to jest spuszcza na ramiona dwa lśniące, grube war-kocze, węzłami z błękitnej wstążki ozdobione, sukienkę kładzie białą, leciuchną, i błękitną na nią przepaskę, główkę przystraja w biały kapelusik z wianuszkami niezapominajek, i tak wyswieżona wsiada do powozu z matką, która nie mogąc sobie wytkłomaczyć téj wyszuka-nój elegancyi, robi praktyczną uwagę, iż mus-linowa suknia zgniecie się w tłoku, a kapelusik na kurzu przybrudzi. Ale Henia nie zważa na to. Serce jój miotane nadzieją i niepewno-scią, bije mocno, coraz mocniej, w miarę jak zmniejsza się blisko milowa przestrzeń, dzie-ląca Bożówkę od parafialnego kościoła.

Kościół ów, choć nie jedyny w okolicy, ma ten przywilej, że w każdą niedzielę i święto, prócz napelniającej go po brzegi wiejskiej lud-ności, zjeżdżają się do niego wszyscy właściciele ziemscy z sąsiednich, a nawet i dalszych ma-jątków; zaspakaja on więc tym sposobem nie-tylko religijne, ale i towarzyskie potrzeby. Tam bowiem przed zaczęciem summy panie siedzące w ławkach odbywają krytyczny prze-gład strojów, tam po nabożeństwie następują przy wyjściu powitania, zaproszenia, układają się różne projekta, tam wreszcie panowie scho-dzą się do księdza proboszcza i prawią o uro-dzajach, cenach zbożowych i polityce. Ztąd

też na dziedzińcu kościelnym pełno zawsze najrozmaitszych powozów i zaprzęgów, po-czawszy od chłopskiego wózka, a skończyw-szy na powozie o angielskiej uprzęży.

Gdy siwki bożowskie zatrzymują się przed kościołem, już tam aż ciasno. Henia wysia-dając jednym rzutem obejmuje powozy i prze-konywa się, że wszystkie są jój dobrze znane, że przeto obcy przybysz, którego ekipaż byłą-by wyróżniła wśród innych, nie musiał jesz-cze nadjechać. Ale nasuwa jój się przypusz-czenie, że może bawiąc u kogoś z sąsiedztwa, własnych tu koni nie ma i czym powozem się zabrał, i z tą całkowicie światową myślą wchodzi w progi świątyni, które zazwyczaj z odpowiedniejszym przestępuje nastrojem. Wzrok jój też szybko ku ławkom się zwraca i bieży od jednej do drugiej... Niestety! same tylko widziane już i niewidziane kapelusze sąsiadek, i wypomadowane fryzury znanych wiejskich dandych spotyka. Summa już się zaczęła, nikogo ze zwykłych jój słuchaczów nie brak, i Henię ogarnia bardzo przykre wra-żenie doznanego zawodu i nikanącej nadziei. Nie traci jój przecież całkowicie. «Może jeszcze nadjedzie,» myśli, kłękając w ławce. Wyrzuca sobie roztargnienie w kościele, otwiera więc książkę, gdy nagle turkot szybko pędzących kół rozlega się po bruku dziedzińca. „To on!“ szepece Heni budząca się z całą siłą nadzieja. Spojrzenie jój zwraca się na drzwi wchodowe, w których po chwili po nad klęczącym tłumem ukazuje się poważne, szlachetne oblicze p. Maurycego, a za nim, o radości! piękna po-stać tajemniczego jeźdźca.

Wejście obu młodych ludzi sprawia wielkie wrażenie, będące mieszaniną podziwu i cieka-wości. Oldanowieckiego znają prawie wszy-scy; jest on nawet przedmiotem częstych pogad-anek, spostrzeżeń i sądów, jak każdy, co się z ogólnych ścieżyn ludzkich wykołaja. Męż-czyźni wzruszają ramionami na jego mizan-tropię, mamy i ciotce nie mogą mu darować wytrwałości w bezżeństwie, panienki zaś obu-rzone są na obojętność, z jaką odpiera ich wdzięki. Ani razu nie był jeszcze w kościele; dzisiejsze pojawienie się jego w towarzystwie nieznanego mężczyzny wywołuje liczne do-mysły najrozmaitszej treści. Jedna tylko He-nia nie gubi się w wątpliwościach. Ona wie,

że Oldanowiecki przyjechał tu dla swego gościa, a ten gość dla niej. O! co do tego ostatniego pewnika, mylić się nie może. Widzi bowiem, że oczy hrabiego Emila, spostrzegłszy biały kapelusik z wianuszkiem niezapominajek, zatrzymują się na jego właścicielce z takim wyrazem, jakby znalazły to, za czém goniły. Henia czuje, że oblewa ją szkarłatny, zdradziecki rumieniec, schyla więc główkę nad książką. Aczkolwiek prędko ukrywa swoje pomieszenie, bystre oko hrabiego Emila dostrzega je przecięż, i uśmiech tryumfu osiada na jego ustach. „Poznała mnie i ucieszyła się,“ myśli, siadając z Maurycem w ławce przeciwległej téj, w której klęczą panie Bozewskie.

Po ukończeniu nabożeństwa, dwaj panowie wyszli na dziedziniec i stanęli tak, że wszyscy opuszczający świątynię koło nich przechodzić muszą.

— *Ah! les voilà!* wykrzykuje hrabia Emil i cofa się o parę kroków, gdy Maurycy tymczasem postępuje na spotkanie wychodzących z kościoła i kłania się z uszanowaniem przed panią Ewą.

Pani Ewa jest bardzo przychylną Oldanowieckiemu, i z tego względu stanowi jedyny może w całej okolicy wyjątek. Zapewne pochodzi to po części ztąd, że ten sztywny, nieprzystępny filozof jój największą okazuje sympatyę; ceni go też ona wysoce za gruntowność charakteru, którego czyny nigdy z zasadami nie są w przeciwieństwie, za nieposzlakowaną prawość, i ten pełny godności, choć i chłodu zarazem, sposób wychodzenia z ludźmi, który jeżeli mało komu lubić go pozwala, wszystkim szanować każe. Po zwykłych powitaniach nastąpiło przedstawienie hr. Emila, a następnie, jak to już odgadnąć łatwo, obaj przyjaciele powzięli zamiar odwiedzenia Bożówki w jak najprędszym czasie.

— Niechże panowie nie dadzą nam długo czekać na swoją wizytę — rzecze pani Ewa do Oldanowieckiego, który jój wsiadać pomaga.

— Jeżeli nie będziemy nie w porę, gotowiśmy choćby dziś po obiedzie złożyć paniom nasze uszanowanie — odpowiada Maurycy, stosując się i w tém do życzeń przyjaciela, który go w przewidywaniu gościnnego nalegania, jeszcze przed wyjazdem do kościoła o to obli-gował.

Ledwo powóz oddalił się na tyle, że go już stojący przed kościołem widzieć nie mogą, Henia z narażeniem świeżości rurkowanych falbanek świątecznego stroju, rzuca się matce w objęcia.

— Mateczko! ach mateczko, jak ja mateczkę Kocham! woła, okrywając jój twarz pocałunkami.

Pani Ewie te nagłe objawy czułości dziwnemi się nieco wydają.

— Co ci jest, moje dziecko? pyta, odsuwając trochę córkę i patrząc z coraz większym zdumieniem w jój rozplómiioną twarzyczkę.

— Taka jestem szczęśliwa, mateczko, jak nigdy. I ludzie mówią, że nie trzeba wierzyć w przeczcucia...

— Ależ Heniu... zastanów się! Co to wszystko znaczy?...

— Co znaczy! Ach! matuchno najdroższa, to cała historia... Ale mama się na mnie gniewać nie będzie?

— Nie będę — tylko mów, bo mnie niepokoić zaczynasz.

— Bo widzi mama... ja tego pana hrabiego... Jaki on piękny, nie prawdaż? i jakie ma piękne imię... Emil!

— Cóż dalej?... moja Heniu, przyjdź do siebie... jedno zaczynasz, drugiego nie kończysz... cóż to jest?

— Otoż mateczko... ja tego hrabiego Emila już widziałam...

— Widziałas go? Gdzie?...

— W lesie... w zeszłą niedzielę...

Tu Henia spuszcza oczy.

— I dla czegożes mi nic o tém nie mówiła?

Głos pani Ewy przy tém pytaniu nabiera bardzo niespokojnego dźwięku, a oczy badawczo wlepiają się w córkę. Henia miesza się ogromnie pod tym wzrokiem poważnym, i unikając go, kryje twarz na piersiach matki.

— Albo ja wiem?... odpowiada szeptem.

Pani Ewa trwoży się coraz bardziej, choć nie umie sobie zdać dobrze sprawy z tego wrażenia. Przecięż w przypadkowym spotkaniu nie ma nic tak zdroznego. A może też ów lęk matczynego serca jest także rodzajem przeczcucia?... może nie to, co się już stało, ale to, coby się jeszcze stać mogło, budzi w niej taką obawę? Hrabia Emil nie podobał się pani Bozewskiej, pomimo swój piękności i grzecznego

obejścia. Wrodzona jej uprzejmość i gościnność włożyły jej w usta powtórne zaproszenie na wsiadanem, które prędszy nawet niż się spodziewała skutek odniosło; w gruncie rzeczy jednak nie jest ona bardzo rada z tego nowego stosunku. Są pewne instynktowne, niczem z razu niewytłómaczone wstręty, które częstokroć dziwnie się potem usprawiedliwiają.

— Jakże to było? powiedz mi Heniusiu... pyta dalej pani Ewa.

Dziewczę z początku nieśmiało i zająkliwe, a potem ze wzrastającym ożywieniem zrzuca z siebie brzemie tej ogromnej tajemnicy, a czyni to z taką szczerotą i naiwnością, że matka słuchając jej szczebiotu, uspakaja się trochę.

— Oj! ty szalona główko! mówi, całując ją tkliwie, -- czego ty sobie wkrótce nie wyroisz!

Postanawia wszakże zwracać pilną uwagę na postępowanie Heni z gościem i nie prosić go o ponowienie odwiedzin, albo przynajmniej wywiązać się z tego obowiązku grzecznej gospodyni w tak chłodny i konwencyonalny sposób, by znający się na tych salonowych odcieniach światowiec zrozumiał, iż zbyt pożądanym nie będzie.

W kilka godzin potem dzielna czwórka karoszów niesie w stronę Bożówki elegancki, lekki faeton, w którym siedzi pan Maurycy z hrabią Emilem.

— Nieskończenie ci wdzięczny jestem, *mon cher*, że mi ten konesans ułatwiasz — odzywa się hrabia Emil. Sama pani a *l'air tout-à-fait distingué*. Moja Dyana piękniejszą mi się jeszcze dzisiaj wydała. Na honor, jestem w stanie zakochać się *pour tout de bon*. Ale à propos, jakże na imię tej czarodziejce? bo dotąd mówiąc o niej, muszę poetycznej i tajemnicznej denominacji „ona“ używać.

— Zdaje mi się, że Henryetta.

— Zdaje ci się tylko? Znasz ją od lat kilku i nie jesteś pewien, jak się taka piękność nazywa? *C'est ridicule!* Gotówbym się założyć, że nawet wcale z nią nie rozmawiasz.

— Wcale — nie, ale bardzo mało. Jak wiesz, bywam tam rzadko, a przytém prawie zawsze zastaję p. Polkowskiego, przyjaciela pani Bożewskiej, człowieka wielkiej zacności i rozsądku...

— *Parole d'honneur*, zaczynasz patrzeć na

ludzi przez różowe okulary — przerywa hrabia Emil. — Już drugą osobę wychwalasz przedemną w niezwyklej tobie sposób.

— I na tych dwóch też się kończy. Pan Polkowski i pani Bożewska są to najsympatyczniejsze typy, jakie mi się spotkać zdarzyło. Nie mogłem dopatrzeć w nich ani cienia fałszu lub obłudy, a choć drogi ich nie są moimi drogami, szanuję ich za to, że z dobrą wiarą idą, nie zbacząc od raz obranego kierunku. Pojmujesz więc, że znalazłszy się w towarzystwie takich ludzi, wolę rozmawiać z nimi, niż z panią, chociażby najładniejszą. W paniąkach, według mnie, powierzchowność jest jedyną, godną uwagi rzeczą. Widok ich pięknych twarzączek, to największa przyjemność, jaką z towarzyskich z niemi stosunków odnieść można. Reszta nieciekawa.

— *Ah! à propos des bottes!* Nie wiem nic jeszcze o finansowem położeniu tej idealnej matrony, pani Bożewskiej.

— Nie sądzę, aby była bogatą. Ale utrzymuje dom na bardzo przyzwoitą, mówiąc po światowemu, stopie, i przy rządności swój, pewno jedyną córcę jakiś mająteczek zostawi. Może wiadomość ta ochłodzi trochę twoje matrymonialne zapęły; w takim razie każe zawrócić i odwiozłszy cię, sam do Bożówki pojedę.

— *Quelle idée!* Pytałem tak, aby wiedzieć. Już samo postawienie tej kwestyi powinno cię przekonać, że niewiele dbam o nią. Pieniądz, *mon cher*, jest *sans nul doute*, jedyną podstawą jako tako znośnego życia, a ja w to tak silnie wierzę, że gdybym, czego mi nie dajcie losy! stracił majątek, *je me brûlerais la cervelle*. Ale teraz bardzo do tego daleko, o! tak daleko, że mogę śmiało wziąć żonę bez posagu, i na żadne się ztąd prywacze nie narazić. *Voilà pourquoi* traktuję obojętnie materyalne położenie pięknej Henryetty.

Na tém oświadczeniu tak względną bezinteresowności hrabiego Emila urywa się rozmowa. Wkrótce też faeton, z całym stangre-ciarskim kunsztem zatrzymany w rozpędzie, staje przed gankiem bożowskim, i obaj panowie, strzepawszy mikroskopijne pyłki z ubrań i poprawiwszy włosów, wchodzą do salonu, gdzie oprócz obu pań, znajdują zwykłego ich gościa, p. Adama.

Następują powitania i prezentacje. Hrabia Emil z właściwą sobie zręcznością manewruje w ten sposób, że gdy wszyscy siadają wreszcie, aby odbywać pańszczyznę ogólną, wstępnej wymiany myśli, jemu się krzesło przy Heni dostaje. Może też i ona dopomogła mu w tém trochę... to pewna, że oboje radzi są ze swego sąsiedztwa. Pani Ewa widzi to, ale wciągnięta w pogadankę przez Maurycego i pana Adama, nie słyszy nawet, co jest przedmiotem rozmowy, jaka się w prędkę między dwójgiem młodych ludzi zawiązuje.

— Pani nie gniewa się na mego Swata za przestroch, jakiego on ją nabawił? pyta hrabia Emil, wkraczając od razu na grunt wspomnień, stanowiących pewny łącznik między nimi.

— Swat zapewne nie chciał mnie przestraszyć, a za mimowolną przykrość nigdy się nie gniewam.

Hrabia Emil, przygotowany na wstydliwą, jednosyllabową odpowiedź, doznaje pewnego zdziwienia, usłyszawszy tak śmiało wyrzeczone zdanie. Śmiałość ta podoba mu się, ale zarazem wzbudza w nim chęć przekonania się, do jakiego stopnia przedmiot jego admiracji posuwa żywość umysłu. Zadaje ję więc pytanie bardzo niespodziewane i jak na pierwszą rozmowę, za osobiste:

— Czy pani wierzy w przeznaczenie?

Trafem dotyka w ten sposób najtajniejszych myśli Heni, która w swojej znajomości z hrabią Emilem tego właśnie przeznaczenia ciągle dopatrzeć pragnie. Nie dziw więc, że czuje się jakby odgadniętą temi słowy i towarzyszącém im przenikliwém wejrzeniem.

— W przeznaczenie? powtarza, rumieniąc się i spuszczać oczy.

— Tak, w tę szczególną koncydencję okoliczności—tłómaczy hrabia Emil, — która *bon gré mal gré* powoduje człowiekiem w ważnych chwilach jego życia.

— Dotąd nic ważnego nie zdarzyło mi się w życiu—odpowiada ona wymijająco—przeto i o przeznaczeniu sądzić nie mogę.

— „*Quelle finesse!*“ myśli hrabia Emil, a głosno dodaje:

— Co do mnie, wierzę w jego egzystencję dopiero od... przeszłej niedzieli.

Znaczące zawieszenie głosu akcentuje te

wyraży. Henia rumieni się znowu tym razem z niepojętą jakięś radości.

— Pan długo jeszcze w naszej okolicy zabawi? pyta, w części dla skierowania rozmowy na inny przedmiot, w części też dla tego, że wiadomość ta bardzo ją obchodzi.

— Przyjeżdżając do mego przyjaciela, wyznaczyłem sobie *tout au plus* cztery tygodnie na willedzaturę... ale teraz—tu następuje druga wyrazista pauza—nie umiem pani odpowiedzieć.

— „Istotnie! rozmowa z hrabią Emilem jest niemożliwą!“ myśli Henia, choć za nic w świecie nie chciałaby ję zaniechać. Zdaje ję się przecięż, że kilka jeszcze podobnych frazesów, a twarz ję przybierze barwę szkarłatu.

W tęg chwili pani Ewa jakięś pytaniem zwróconém do przyjaciela Maurycego przerywa miłe „*à parte*.“ Zagaduje go potem i pan Adam, któremu ufryzowany, wonięjący angielskimi perfumami panicz niebardzo przypada do gustu. Wprowadza on go nawet w pewnego rodzaju kłopot, wszczynając kwestyę rodowodów; przypomina sobie bowiem, iż znał kiedyś na Wołyniu familię Z\*\*\* bardzo możną, bardzo zacną, ale... niehrabiowską. Hrabia Emil, drażliwy na punkcie swego honoru, tłómaczy staremu szlachcicowi, którego w duszy za tęg niewczesną indagacyę przeklina, iż tego samego co on nazwiska istnieje kilka rodzin z mniej arystokratycznie genealogicznego szczepu wyrosłych, i cytuje jako przykład rodziny arystokratyczne mające nawet nieherbownych imienników.

Późnym już dosyć wieczorem rozjeżdżają się goście bożowscy. Przez całą drogę w faetonie zupełne milczenie. Maurycy, ułożywszy się wygodnie na miękkich poduszkach powozu i zapaliwszy cygaro, rozbiera w myśli bardzo zawiły problemat filozoficzny: „czy prawdy logiczne są prawdami same w sobie, czyli też wyłącznie prawdami dla ludzi?“ nad czém zastanawia się już od dawna, nie pewien, czy się ma w tym względzie na stronę racjonalizmu, czy sceptycyzmu przechylić. Hrabia Emil duma także nie o „uzasadnieniu poznania ludzkiego,“ lecz o równie niepojętém dla niego zachowaniu się pani Bożewskiej, która zamiast być tak uprzedzająco-grzeczną, pociągająco-gościinną, jak zwykle



matki dorosłych córek dla młodych ludzi zwanych „świetnemi partyjami“ bywają, okazywała mu przeciwnie konwencyonalną obojętność. Nawykły do tego, by go sobie wszędzie niemal wrywano, jest tém postępowaniem matki Heni mocno dotknięty, i czuje tém większą chęć pozyskania wzajemności córki.

(D. c. n.)

## KARTKA Z DZIEJÓW FILOZOFII.

Wspomnienie z odczytów hr. Wojc. Dzieduszyckiego.

☾ Początek tego roku zaznaczył się liczniej- szemi niż zwykle wykładami publicznemi na róż- ne cele dobroczynne. Oprócz odczytów na dochód Osady Rolnej w Studzieńcu, powtarza- jących się rok rocznie z ustalonem już powo- dzeniem i zasłużoną sławą, mieliśmy podobnie jak roku zeszłego szereg wykładów na dochód czytelnii bezpłatnych tutejszego Towarzystwa Dobroczynności, mamy wykłady na rzecz do- tkniętych głodem Szlązaków i innych nieszczęs- liwych, a wreszcie zapowiedziano jeszcze kilka prelekcij na dochód Stowarzyszenia Subjek- tów Handlowych, mającego na celu wspiera- nie się wzajemne i zabawę umysłową uczest- ników. W ogóle przez ciąg krótkiego karna- wału i postu zbierze się może około trzydziestu odczytów, pomiędzy którymi niejeden sięgał lub sięgnie po za granicę zwykłej popularyza- cyi rzeczy utartych w literaturze lub nauce. Do takich wyjątkowo niepospolitych wystąpień zaliczamy bez wahania przedewszystkiem wy- kłady Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, rozta- czane w sali Ratusza na dochód Osad Rol- nych w końcu zeszłego i w pierwszych dniach bieżącego miesiąca. Przedmiotem, obranym przez prelegenta z natchnienia Towarzystwa Osad Rolnych, dotąd nieporuszonym z katedry pub- licznej w Warszawie, było zarysowanie naj- wybitniejszych punktów wytycznych z dziejów filozofii, zaznajomienie szerszego koła publicz- ności z zadaniami i metodami téj nauki, z łamaniem się jój w przeciągu lat tysięcy i z dzisiej- szém położeniem w Europie. Zadanie było trudne mówić w kilku zaledwie godzinach o przedmiocie niezmiernie rozległym, zwracać się ku słuchaczom nieprzygotowanym do krą-

żenia w zawrotnych sferach abstrakcyi, wylusz- czać rzecz unikając właściwej przedmiotów terminologii, aby nie być opacznie zrozumia- nym, a jednak nie wyrzec się nadziei być po- żytecznym i téj nauce, którą się ukochało, i téj puliczności, której sprawa jak swoja wła- sna leży na sercu. Samó już nieuleknięcie się trudności przemawiania o „nauce niedostępnej a najważniejszej, będącej matką i podstawą wszelkich innych nauk,“ przemawianie, ażeby rozbroić „niechęć i lekceważenie twierdzących, że ta nauka jest rojeniem nieużytecznym i że nie ma w niej postępu,“—było niewątpliwie nietylko szlachetną odwagą, ale i poświęceniem. A skoro choć część słuchaczy odniosła z tego pożytek prawdziwy, to już tém samém poświę- cenie stało się zasługą, której nikt umiejący ważyć rzeczy na szali właściwej, nie odmówi hr. Dzieduszyckiemu.

Wykład swój rysu dziejów filozofii zaczął prelegent od początków filozofii greckiej, od prastarój szkoły jońskiej i przodownika jój Ta- lesa z Miletu, który żył na lat 600 przed Chry- stusem. Na Wschód dalszy i w głębszą przeszłość hr. Dzieduszycki sięgać nie chciał, oświadczając, iż ludzkość pierwotna nie znała właściwej filo- zofii, to jest obejmowania umysłem ogółu rze- czy za pomocą postrzegania i rozumowania. Wprawdzie szeroko dziś mówią o „filozofii starożytnego Wschodu,“ ale mówią według pre- legenta niewłaściwie; albowiem narody wschod- nie posiadały religię, posiadały „mądrość przekazaną,“ ale filozofii nigdy nie miały i nie mają. Tam zwykle nikt się nie pytał: dla czego tak a nie inaczej postępuje? podobnie jak dziewczyna na Ukrainie lub Pokuciu nie pyta: dla czego tak a nie inaczej haftuje, gdy krasną zdbi koszulę? Jeśli zaś nawet ktoś zapytał: dla czego coś tak albo owak się czy- ni? to otrzymywał jedną odpowiedź, iż taka jest wola bogów, przed wiekami przodkom ob- jawiona, i na tém poprzestawano. Na Wscho- dzie więc, gdy szło o jakikolwiek zagadnienia bytu, dawano sobie odpowiedź nie filozoficzną, ale teologiczną. W podaniach indyjskich, w wie- rze żydowskiej, której prawdy i do nas prze- szły, wielu chce upatrywać filozofię; ale zdanie to, jak stanowczego powiada hr. Dzieduszycki, jest z gruntu niesłuszne, i „tak teologia jak filozofia zastrzedz się przeciw niemu powin-

ny.“ Gdyby starożytne wiary Wschodu były filozofią, to byłby także filozofią, i tylko filozofią, nasz katechizm katolicki. Owoż z pewnością nie ma takiego prawowiernego księdza, któryby przystał na twierdzenie, że nasz katechizm jest *tylko* filozofią. Każdy powie, że filozofia to owoc ludzkiej myśli i ludzkiego badania, a katechizm to nauka objawiona. Rozum właściwemi sobie drogami i narzędziami może dowodzić prawdy i piękności téj nauki objawionéj, ale źródło jéj leży gdzieindziej. Dla tego też zarzuty robione prelegentowi przez niektórych sprawodawców za opuszczenie w wykładzie jego filozofii Wschodu, okazują się wobec takiego pojmovania rzeczy niezasadnemi.

Myśl badawcza zbudzona w Grekach przypatrywaniem się obyczajom i instytucjom różnych ludów, z któremi ustawicznie się stykali, o ile nasze wiadomości sięgają, po raz pierwszy w głowie Talesa pokusiła się o ogarnięcie całości zjawisk świata. Jakieś podobieństwo różnorodnych przedmiotów uderzało wyobraźnię Greka, a dostrzegłszy to podobieństwo, głosił z „młodzieńczą zarozumiałością,“ że odkrył istotę wszechrzeczy. Tak i Tales, upatrzwszy we wszystkiém płyny i ciecze, wywnioskował, że początkiem wszystkiego jest woda, że ziemia jest tylko wodą zgęszczoną, a powietrze i ogień wodą rozrzedzoną. Drogą podobnegoż zbyt szybkiego uogólniania, Anaksymander uznał za początek wszystkiego coś środkującego między powietrzem a wodą, Anaksymenes zaś samo powietrze. Ksenofanesowi się zdawało, iż jakaś jednolita materya kolista przybrała rozmaite postaci, barwy i kształty, nie zmieniając istoty jednolitego świata. Heraklit z niestałości rzeczy wywnioskował, że ogień jest obrazem świata, a zjawiska są tylko połyskiem jego niepochwytnych płomieni. Empedokles nauczał o czterech żywiołach, których części przyciągając się i odpychając, wytworzyły świat, bogów i ludzi. Nakoniec Demokryt począł nauczać o atomach z haczykami, tworzących „przypadkowo“ wszystkie rzeczy istniejące. Wykład swój o tych pierwszych mędrcach greckich hr. Dzieduszycki zamknął uwagą, że dzisiaj wchodzi we zwyczaj sławienie ich i wynoszenie nad Sokratesa, nad Platona i Arystotelesa. Powód łatwy do odgadnienia: owi mędracy uczący się alfabetu przyrody, na-

znaczali początek materyalny wszechświata, a w świecie ludzkim nie odróżniali ducha od ciała; są więc z tego względu podporą nowożytnych wyznawców doktryny materyalistycznej, mającój być niby „ostatnim wynikiem wiedzy.“ Sławienie ich dzisiaj, to przechwalanie się starożytnością rodu i oddawanie czci samym sobie pod wezwaniem Demokryta, rozprawiającego o atomach opatrzonych haczykami, czepiających się przypadkowo jeden drugiego jak oset sukni i tworzących tym sposobem zjawiska wszech świata!

Po owych starych mędrcach, których wielką zasługą jest jedynie to, że odważyli się na myśl samodzielną, ale nic więcej—stał przed nami w odczytach hr. Dzieduszyckiego znakomity przodownik trójcy wielkich mężów greckich, których myśl po dziś dzień tętni w filozofii. Mówimy o Pitagorasie, który będąc zawołanym wynalazcą w dziedzinie matematyki, jako filozof dopatrzył, że we wszystkich zjawiskach podpadających pod zmysły, wspólną własnością jest miara i liczba. Poprzednicy jego zgadywali na ślepo, a potem wierzyli w swój domysł; on dopiero był „pierwszym filozofem, który umożliwił prawdziwą naukę.“ Ale nie wszystko da się ująć w liczby, i nie liczbą da się wyrazić różnica zachodząca np. między uczuciem a wiedzą, lub między słowem a barwą. Nic więc dziwnego, że kiedy z jednej strony święcono za przewodem Pitagorasa urodziny astronomii, akustyki, kiedy rzeźbiarz Poliktet ułożył nawet kanon matematyczny kształtów pięknego ciała ludzkiego,—z drugiej strony następcy Pitagorasa, zamknawszy się w granicach liczb, zeszlizali powoli na sofistów, wykrętnie rozprawiających o pozorach rzeczy. Dla powściągnięcia tego rozpasania myśli urodził się około roku 470 przed Chr. Ateńczyk Sokrates, który i sam, i przez swoich uczniów najbardziej się starał o wynalezienie i ściśle określenie podstaw prawdy i obyczajowości. Sokrates pierwszy „wykrył naturę prawdy“ i oznaczył jéj kryterium; zastrzegłszy dokładne określenie wyrazów i pojęć do rozumowania wchodzących, umożliwił poznanie, „że jest o każdéj rzeczy coś prawdziwego, że coś innego o téjże rzeczy z pewnością jest fałszem, a co jest fałszem, nie jest prawdą.“ Skoro tę rzecz wypowiedziano, słusznie

zauważył prelegent—wydaje się ona tak prostą, iż nie potrzebuje dowodzenia; a jednak dopiero Sokrates postawił ją wyraźnie i przez to umożliwił ściśle myślenie. Na tej drodze, nieśmiertelny uczeń Sokratesa, „bozki” Plato, rozszerzył widnokrąg nauki, zacieśniony przedtem do matematyki i nauk wprost od niej zawisłych. Od niego wyszło orzeczenie, iż nie znamy rzeczy samych w sobie, lecz znamy tylko nasze o nich pojęcia, z kąd wzięła początek psychologia. On też określił cały pochód uogólniania pojęć, od jednostki aż do Istoty wszech rzeczy, i dał przez to wskazówkę, jak rozliczne nauki budować się mają, choć sam nie zawsze był szczęśliwym budowniczym. Szerokie skrzydła wyobraźni porywały go nieraz i unosiły po za granice rzeczywistości dostępnej rozumowi. Oddzielenie prawdziwej jego nauki od marzeń było dziełem jego ucznia Arystotelesa, urodzonego w Stagirze w roku 384 przed Chrystusem.

Plato ubóstwiał pojęcia ogólne, w nich tylko widział prawdę, w nich jedynie uznał rzeczy godne nauki, światem zaś rzeczywistym wzgardził. Przeciwnie Arystoteles, zapobiegając, ażeby filozofia na skrzydłach platońskich myśli nie znikła wśród nieuchwytnych obłoków, „musiał ją ściągnąć na ziemię.” Twórca logiki formalnej—narzędzia nie do nauczania kogoś myśleć, ale do nauczania, jak ma sprawdzać przebyte drogi myślenia,—wykazał, że kto pozna jedynie pojęcia ogólne i oderwane, ten jeszcze nie pozna całej prawdy, ten pozna tylko jęć cień i ramy, a im pojęcia będą ogólniejsze, tym obraz stawać się będzie bledszym i ramy cieńszymi. Ztąd poszły owe sławne „kategorie” Arystotelesa, których jako wtycznych wszelkiego rozmyślenia o rzeczach, po dziś dzień uczą się w szkołach. Prelegent jasno i dostępnie wyjaśnił drogi postrzegania i rozumowania wskazane przez Arystotelesa, ażeby w końcu postawić twierdzenie: iż „nauki dzisiejsze wzbily się niezawodnie nadzwyczaj wysoko, ale Arystoteles jest ich ojcem, on pierwszy określił ich ramy, on pierwszy do nich przyłożył badawczą rękę, on pierwszy kazał się bacznie przypatrywać naturze rzeczy i kolei zdarzeń, on wreszcie umożliwił naukę udowodnienia i praktykę ich zastosowania, gdy utworzył swą logikę.” Przez lat prawie dwa tysiące

po Arystotelesie nikt według hr. Dzieduszyckiego nie popchnął naprzód filozofii, jako nauki poznawania prawdy, aż dopiero w wieku XVI naszej ery sporo do tej nauki przyczynił Bakon werulamski przez naukowe wytłómaczenie metody indukcyjnej.

Jedną z największych zasług Arystotelesa było wyłuszczenie stosunku przyczyny do skutku. Zagadnienie „przyczynowości,” rozszerzone przez ogniwa aż ku pierwszej Przyczynie wszech rzeczy i ostatecznemu ich celowi, jest niewątpliwie najtrudniejszym w filozofii, ztąd też dzisiaj, jak wszystko co trudne, bywa bez ceremonii odrzucane przez szkołę materialistyczną. Hrabia Dzieduszycki jak najbardziej jest przeciwny takiemu postępowaniu z nauką. Dzisiaj, powiada, kto chce być mądrym nad miarę, przeczy wbrew oczywistości istnieniu przyczyn końcowych i zamiarów w przyrodzie, chcąc tym samym zaprzeczyć istnieniu przewodniej Myśli świata i najwyższej Woli. Jeśli komu dobrze z tym, niech się cieszy myślą, że krzywdy, które przemoc wykonywa w dziejach, zostaną niepomniejszone, że mają słusność ci, którzy wierząc tylko w moc przyczyn poruszających i dokonanych faktów, wołają: „Siła przed prawem.” Niech się cieszy nadzieją czy rzekomą pewnością, że za czyny swoje jest niepoczytalnym, skoro one nie są objawem świadomego zamiaru i skoro są konieczne jak poruszenia martwego mechanizmu. I niechaj pamięta dniem i nocą, że cierpienia jego i zawody, że trudy jego życia, i praca pokoleń, i lzy milionów echa nie mają, na nic się nie zdadzą, są skutkiem ślepej konieczności, co władnie bez kresu i bez końca. Ale choć zawsze takie opinie znajdować będą zwolenników, nigdy nie odniosą zwycięstwa, i nigdy nie wydadzą się prawdziwymi poważnej nauce. Zresztą jeśli kto chce sprawę przyczyn końcowych dalej badać, niech czyta tom pierwszy *Filozofii Nieświadomego* Hartmann'a, rzecz nadzwyczaj zajmująco napisaną, a ciekawszą, bardziej filozoficzną i bardziej pouczającą od dzieł Büchner'a.

Z Arystotelesem dokonała filozofia starożytna swego zadania, spełniła swój zamiar dziejowy i urzeczywistniła swój ideał. Czy filozofia nowożytna miała już także swojego Arystotelesa? albo ma go choć teraz dopiero? albo przynajmniej mieć będzie w rychłej przyszłości? Na to

wykład hr. Dzieduszyckiego tyle tylko odpowiedział, że filozofia nowożytna jeszcze swojego Arystotelesa nie miała. Przesuwał się przed umysłem słuchaczy Kartezjusz, „prawdziwy twórca nowożytnej filozofii,” który naprzeciw powątpiewaniu o wszystkim, znalazł broń w słowach Św. Augustyna: „Myślę, więc jestem.“ Szła po nim cała szkoła filozoficzna zwana francuzką, która pracowała nad określeniem stosunku ducha do ciała i wszechświata do Boga, której nie należy mieszać z tak zwanymi filozofami XVIII w., a wśród której był i Żyd hollenderski Spinoza, i Niemiec Leibnitz, uważany przez niektórych za Słowianina. Szła potem szkoła angielska prowadzona przez Locke’a, Berkeley’a i Hume’a po nowych wertepach zwątpienia, ale nie spuszczać z oka światelka prawdy duchowej. Przyszła szkoła niemiecka, której pierwszym wyrazem był Kant, drugim Fichte, a najwyuzdańszym marzycielem Hegel. Przyszła na koniec pozytywna szkoła materialistyczna, dziedziczka panteizmu heglowskiego w odwrotnym kierunku; za nią idzie bezgraniczne zwątpienie i rozpacz „posepnego“ Schopenhauer’a,—a tymczasem gmach filozofii raz po raz budowany, raz po raz kładzie się w gruzy do tej pory. Każdy prawie zastęp pracowników przyczyniał materiału do budowy, cegły doświadczenia są coraz liczniejsze, a i cement rozumowania może delikatniejszy; ale owego architekta, któremu będzie na imię Arystoteles Drugi, dotąd nie widać. Owszem, jeżeli kto, to materialści dzisiejsi najmniej mogą mieć nadziei, że się zbawca filozoficznego myślenia w pośrodku nich urodzi. Szkoła francuzka i szkoła angielska wieku XVII i XVIII, według przekonania prelegenta, stały nierównie wyżej naukowo, aniżeli szkoła transcendentalna niemiecka od końca zeszłego wieku i córa jej szkoła materialistyczna współczesna. Cofnięcie się też od nich na stanowisko Sokratesowe w określaniu wyrazów, a następnie podjęcie wątku filozoficznego zerwanego z wygaśnięciem szkoły francuzkiej i angielskiej, zapewne będzie początkiem odrodzenia filozofii.

W szkole francuzkiej i angielskiej wieku XVII i XVIII, gdy chciano dowieść naukowo jakiej rzeczy, stwierdzano za pomocą doświadczenia co stwierdzić się dało, a następnie na podstawie doświadczeń usiłowano budować hipotezy jasne i dobitne jak dowody matematyczne.

Uważano, że taki tylko układ rzeczy na świecie jest prawdopodobny, który się wydaje godnym dzieła najpotężniejszego i najmądrszego umysłu. Szukano w dziełach Bożych logicznego rozkładu, estetycznej piękności, madrego zastosowania do celów i końców godnych Stwórcy. I na zasadzie takiej filozofii zbadano niejedną tajemnicę umysłu ludzkiego, wynaleziono sprawiedliwą podstawę prawodawstw, wyznaczono dziejom ludzkim świadome, idealne a sprawiedliwe cele, odkryto mechanikę niebieską, utworzono prostszą fizykę i chemię, przeprowadzono klasyfikację tworów organicznych, ugruntowano anatomię porównawczą i geologię. Dziś filozofia, „matka nauk,” stanowczo na inne weszła tory, i przywołuje coraz głośniej nauki, swe córki, ażeby za nią podążały. Według nowej filozofii, konieczność mechaniczna panuje wszędzie, a świat rozwinął się sam z siebie za pomocą tej ślepej konieczności jak kłębek nici puszczony samopas po posadzce. Pewną ma być tylko nauka, która twierdzi, że to jedynie prawdą być może, co przeczy istnieniu celów rozumnych, co we wszystkim widzi grę przyczyn i skutków działających na ślepo, a w duszy upatruje głuchą mechanikę mózgową, zupełnie podobną do budowy pierwszej lepszej maszyny żelaznej. Ludzkość według tej teorii jakoby wyrosła już z tego, by miała wierzyć w istnienie Boga, i wolnej woli, i odpowiedzialności ludzkiej, i sprawiedliwej w dziejach Opatrzności. Na początku istniały rozigrane atomy—z nich złożyły się systemata planetarne—na nich pod wpływem przyjaznych okoliczności fizycznych powstało życie organiczne,—i oto świat nasz ziemski już gotów. Ale przyjazne owe okoliczności jak przyszły na oślepek tak i odchodzą—słońca wygasają, planety stają się pustkami—noc wieczna roztacza się na olbrzymich bryłach lodu krążących pośród wszechświata,—nakoniec i te bryły znowu pryskają na atomy, by znowu kiedyś złączyć się w systemata planetarne, i znowu wydać życie organiczne, i znowu je skazać na zgubę... bez końca i bez celu! Otoż ostatnie słowo dzisiejszej filozofii materialistycznej, przezuwającej wielkie odkrycia naukowe, chępiaczej się nimi, ale nieumiejącej dać do nich jakiegokolwiek podniety. Wiadomo bowiem, że sama nawet rozgłośna teoria przyrodnicza ewolucji, na której ta filozofia zawisła, pochodzi

z innej epoki i z pod technienia innych wpływów: jest ona pomysłem Lamarck'a, pisarza urodzonego, wychowanego i zestarzałego w wieku XVIII. Wiadomo także, iż sam Darwin, przynajmniej w pierwszych swych dziełach, obiecał za punkt wyjścia ewolucji stworzenie pierwszych komórek przez Boga.

Filozofia transcendentalna niemiecka zstąpiła już do grobu, a iści się w politycznych czynach księcia kanclerza niemieckiego. Filozofia materyalistyczna, mieniąca się pozytywną, siedzi na stolicy, ale starzeje się już w spekulacji, i z łoskotem dopomina się godeł demokracji socyalnej. Tymczasem ostatni rezultat zabiera się wyciągnąć filozofia pesymistyczna, ażeby w dziedzinie rzeczywistości spłodzić—*nihił*. Ale duch ludzki, duch Europy wychowanej przez chrześcijaństwo, na takich indyjskich drogach do przepaści długo utrzymać się nie może. Więc też hr. Dzieduszycki nie bez mocnego powodu utrzymuje, że po trzech szkołach filozofii nowożytniej urzemy rychło czwartą—po francuzkiej, angielskiej i niemieckiej, słowiańską... polską. Snadź nie przypadkiem się stało, że między przekładami Arystotelesa na języki żyjące europejskie, najpierwsze zabrał miejsce przekład polski Petrycego, dokonany około początku XVII stulecia. I snadź nie dziełem przypadku to było, że kiedy cała Europa śniła trójkami Hegla, kiedy i polscy myśliciele byli porwani wirami jego systematu, wśród nas pierwszych największy filozof między poetami, Zygmunt Krasiński, podniósł głos przeciwko zacieraniu poczucia słuszności w ludziach przez filozofię niemiecką. I snadź nie co innego, tylko nieprzewartana potrzeba wyjścia z mgły panteizmu, nie pozwoliła Kremerowi w jego logice naśladowanej z Hegla, zatrzymać się na panteistycznej Idei Bezwzględnej, lecz zniewoliła szukać u szczytu wszechświata pojęcia Boga Osobistego. I snadź nie bez powodu umysł polski, niezarażony cudzoziemszczyzną, z takim wstrętem odpycha narzucające mu dzisiaj doktryny ślepego materyalizmu, z jego mniemaniami ostatnimi wynikami wiedzy. Jaki bądź zresztą naród europejski wyda nowego Arystotelesa, który naukę nauk na doskonalsze wprowadzi tory — pewność jego zjawienia się wynieśliśmy z odczytów hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, i za to niech będą mu

dzięki w imieniu wszystkich ukojonych umysłów.

## SILVA RERUM.

Wspominaliśmy już dawniej o projekcie założenia *Kassy przezorności i pomocy dla nauczycieli prywatnych*, opracowanym i podanym do zatwierdzenia władzy przez Dyrektora instytutu ociemniałych Papłońskiego, prof. Miklaszewskiego i mecenasa Wierzeńskiego. Obecnie dodajemy jeszcze, że rozwój materyalny tej wielce potrzebnej i pożytecznej instytucji zależy od znacznej liczby jej honorowych członków, każdy bowiem z takowych obowiązany jest wносить jednorazowo rs sto lub opłacać rocznie rs. 5. Zdaje się, że nie brak w kraju naszym ludzi dobrej woli, ilekroć idzie o znaczne cele, nie wątpimy więc, że i tu znajdzie się odpowiednie ze wszęch stron poparcie.

Sprawozdanie \*  
\*  
\*  
Towarzystwa Osad Rolnych, z czynności zeszlórocznych, podaje do wiadomości powszechniej, że wykończone zabudowania i przygotowane w zupełności wewnętrzne urządzenie Osady Studzienickiej, pozwoliły w tym roku otworzyć ośm oddziałów, t. j. pomieszczenie dla 120 chłopców, przez sądy Królestwa mogących być skazywanych na kary więzienia, a w zamian takowej na poprawę i naukę do Studzienca. Liczba ta jednak, możebna przy obecnym stanie zabudowań, kompletną nie była. W końcu r. 1879 znajdowało się tylko 103 wychowanców. Ruch ludności Osady przedstawia się jak następuje:

Wszystkich skazanych przez sądy od otwarcia w połowie 1876 r. Osady Studzienickiej do d. 15 stycznia 1880 r., o ile o tém zarząd Towarzystwa został urzędownie zawiadomiony, było 258.

Z téj liczby zarząd zdecydował przyjąć w tymże czasie 148; w samym zaś roku 1879 przyjął nowych 49, a mianowicie: z Warszawy 9, z gubernij Królestwa 40, z wyroków sądów okręgowych 6, zjazdów sędziów pokoju 3, sędziów pokoju 13, sądów gminnych 27. Niżej lat 11 było 2, do lat 12—8, 13—7, 14—15, 15—9, 16—8. Według terminu kary, na jaką zostali skazani: do 18 roku życia 13, na 6 lat 5, 4—8, 3½—1, 2—8, 2½—2, 2—12.

Odmówiono przyjęcia 45 skazanym.

Od początku otwarcia Osady do d. 13 stycznia 1880 r. uwolniono po skończonym terminie kary 35.

W roku ubiegłym umieszczono w Warszawie 19, na prowincyi w różnych miejscowościach 20 wychowanców uwolnionych i poprawionych.

Z nich uczy się stolarstwa 9, kołodziejstwa 7, piekarstwa 2, w służbie gospodarczej 7, zwrócono rodzicom wedle żądania 4.

\* \* \*

Dla zapobieżenia nędzy materialnej pracowników pióra, w miejsce oddzielnej instytucji, którą na ten cel zakładać miano, utworzono kasę zapomogową i tę oddano pod zarząd Towarzystwa Dobroczynności. Funduszem jej rozporządza wydział wybierany corocznie z grona członków Towarzystwa, a złożony z redaktorów tutejszej prasy. Pożyczki dawane na mały procent za poręczeniem, mogą tu nie jednemu przynieść pomoc i ocalenie od nędzy w razie choroby lub innego nieszczęścia.

\* \* \*

Jak wiadomo, w pierwszych dniach Kwietnia r. b. Muzeum przemysłowe w nowym swoim lokalu, w pałacu Brühlowskim, otwiera *Wystawę tkacką*, obejmującą wszelkie wyroby, tak fabryczne jak i ręczne i ze wszelkiej przędzy zwierzęcego lub roślinnego pochodzenia, oraz wystawę wszelkich wyrobów gotowych, z krajowych tkackich materiałów, jako to: białinę, wyroby włóczkowe, pończosznicze, hafty i t. p. Skutkiem tego „*Ekonomista*,” dbały o ożywienie stosunków przemysłowych i handlowych, ogłasza, że pomieści w numerze, który wyjdzie na otwarcie wystawy, obok rysu historycznego tkactwa w Polsce i innych bieżących artykułów, kompletny Katalog tej wystawy, i przez cały czas jej trwania sprzedawać go będzie u wejścia, by służył za przewodnik po wystawie.

\* \* \*

Zdając sprawę z czynności komitetu głodowego na Szlaku, prezes jego Miarka powiada co następuje:

W zapasie mamy tyle, że wystarczymy jeszcze na Marzec i Kwiecień; zresztą, spuszcza się na Opatrzność Bożą i na szlachetne serca rodaków, które dotąd cudów dokazały.

Z początku rozdawaliśmy i pieniądze, a także zakupiliśmy za 5,000 marek obuwia i materii na ubiory dla dziatwy szkolnej; lecz teraz, podług rady i prośby wszystkich komitetów, zbieramy grosz na zakupienie zasiewu: ziemniaków, owsa, jęczmienia, tataraki i grochu, gdyż tego potrzeba dla Górnego Szlaka przynajmniej półtora miliona centarów, a rządowe fundusze nie dostarczą ani połowy.

W podróżach naszych po kraju poznaliśmy biedę i rzeczywisty głód; o tak okropnej nędzy nie mieliśmy wyobrażenia, aż naocześnie przekonaliśmy się, że bez ratunku wymarłaby głodem przynajmniej połowa mieszkańców. Od Bogunia aż do Koźła, 9 mil wzdłuż Odry, nie zebrali całe wioski ani jednego centnara

siana, ani wiązanki owsa, lub innego zboża, ani korca ziemniaków; buraki przeznaczone na cukier, kupują ludzie w fabrykach cukrowych na żywienie rodzin, i tę biedną strawę pożywają z mąką, albo z kaszą z kukurydzy, nawet z otrębami.

Na domiar nieszczęścia zatamowały się lody na Odrze i pobocznych rzekach, i nawet przez oddziały pionierów nie dały się usunąć tak prędko, ażeby kra poruszyła się z wodą. Nastąpił nowy wylew, który lody wynosił z rzek na pola i łąki, gdzie osiadały tak grubo, że bodaj w Maju stopnieją i pewnie zniszczą oziminy; w każdym zaś razie nie pozwolą gospodarzom wczesnej uprawy roli. Powódź była tak nagła i gwałtowna, że kilkanaście wiosek nad brzegiem Odry zostało zatopionych; ponieważ wylew nastąpił w nocy, ludzie ocalili za ledwie życie, uciekając półnago na wzgórze, była nawet nie mogąc zabrać z sobą. Pod gołym niebem przepędzili noc o zimnie i głodzie, płacząc o opuszczone bydło, które i głodem i lodowatą wodą trapione, przeraźliwym rykiem przyzywało pomocy. Dopiero dnia trzeciego mogli powrócić do domów swych, gdzie znaleźli inwentarz częścią utopiony, częścią zaś z głodu tak osłabiony, że się ledwie ruszał.

Przedstawcie sobie rozpaczliwe położenie gospodarzy, którzy uprzątnąwszy z mieszkań i chlewów lód i resztki wody, mieszkają teraz w przemokłych chatkach, podziurawionych i okropnie uszkodzonych wylewem. Do tego doduczka brak opału, lasów nie ma, a jeden centnar węgla kosztuje w Raciborzu 2 marki 20 fenigów, dowieziony do wioski 3 marki 50 f. W skutek wilgotnego mieszkania pojawia się tu coraz większy tyfus, który i młodych, i starych zabiera do grobu. Serce się kraje na widok obecnej nędzy, a cóż dopiero wiosna przyniesie?

Cały świat podziwia szlachetną ofiarnością rodaków dla braci górno-szlazkich; toć cudowny, objaw najświętszej miłości we wszystkich parafiach odprawiają się codziennie modły za dobrodziejów, a lud uprasza u duchowieństwa o uroczyste nabożeństwa, z płaczem i łkaniem modląc się o błogosławieństwo za naród, który mu dotąd zwykle przedstawiano w najgorszym świetle. Ofiarności wasza rozbija gęstą mgłę, którą was sztucznie pokrywano, i pokazuje was, jako najszlachetniejszy naród, który nie słowami, lecz czynem stwierdza swe cnoty. Wierście mi, że mi ciężko ponawiać prośby o dalsze ofiary, a jednak nie widzę przed sobą innej drogi do ratowania nieszczęśliwych Górnoszlazaków. Dajcie, ile można, a Bóg Wszechmogący pewnie nagrodzi wasze miłosierdzie, wyświadczone braciom nieszczęśliwym.

Oprócz żywności również potrzeba: owsa i ziemniaków, także jęczmienia, grochu, tatar-

ki, fasoli i prosa, przedewszystkiém jednak *ow-  
sa i ziemniaków*, bo nasze ziarno nie dojrzało  
i potrzeba wszelkie kupować nasienie, inaczej  
połowa roli będzie leżała próżno, gdyż rządowa  
pomoc nie pokrywa ani połowy potrzeby.

Wszelkie przesyłki prosimy adresować: „Noth-  
stands - Komite für einzelne Kreise Oberschle-  
siens, Herrn Carl Miarka in Nicolai, Ober-  
schlesien.” Bóg z wami!

\* \* \*

Nauka ekonomiczna utraciła w ostatnich  
czasach we Francji jednego z najwierniejszych  
swych tłómaczów i najznakomitszych przed-  
stawicieli w zmarłym niedawno w Paryżu Lu-  
dwiku Reybaud. Z młodych lat poświęciwszy  
się zawodowi handlowemu udał się na Wschód,  
niezadługo wszakże po odbyciu tej podróży,  
osiadł stale w kraju, i począł pisywać do ów-  
czesnych dzienników liberalnych. Zajawszy się  
później poważniejszą pracą, napisał studjum nad  
ówczesnymi reformatorami czyli nad nowoczes-  
nymi socyalistami. *Etudes sur les reforma-  
teurs contemporains*, w którym okazał się zdol-  
nym ekonomistą i głębokim myślicielem, dając  
dokładny rys historyczny socyalistycznych sy-  
stemów: Saint-Simona, Fourier'a i Roberta  
Owen'a, z gruntowną ich oceną i krytyką peł-  
ną humoru. Dzieło to uwieńczone przez Aka-  
demię Francuską otworzyło mu karierę poli-  
tyczną. Wysłany przez Marsylię do izby de-  
putowanych, zasiadał w grupie dynastycznej  
opozycyji. Po rewolucyi w 1848 roku był  
członkiem zgromadzenia konstytucyjnego a na-  
stępnie prawodawczego, wierny swym prze-  
koniom zachowawczym i liberalnym. W 1851  
roku usunął się z widowni politycznej podob-  
nie jak wielu ludzi wybitniejszych tej epoki,  
poświęcając się głównie pracom ekonomicz-  
nym i literackim. Pomiędzy temi ostatnimi  
niemały rozgłos zjednała mu doskonała po-  
wieść obyczajowa, pod tytułem: *Jerôme Patu-  
rot à la recherche d'une position sociale* (Hie-  
ronim Paturot poszukujący stanowiska spo-  
łecznego). Późniejsze jego prace jak: *L'indus-  
trie en Europe, Etudes sur la regimes de ma-  
nufactures, Les Economistes modernes*, oraz ra-  
porta składane Akademii nauk moralnych, i poli-  
tycznych o warunkach moralnych, intelle-  
ktualnych i materyalnych klass robotniczych  
we Francyi, postawiły go w rzędzie najpierw-  
szych współczesnych ekonomistów. Pisarz wy-  
kwintny, głęboki myśliciel, obdarzony zmysłem  
spozstrzegawczym i rzadkim docipem posia-  
dał wszystkie przymioty jednające mu uzna-  
nie intelligentnych czytelników.

\* \* \*

Z pośród mnóstwa prelekcij paryzkich, jed-  
ną z bardziej zajmujących była niedawno prelek-

cyja p. Nicolay, adwokata, który wziął za przed-  
miot: rycerstwo (chevalerie). Wymowny prelegent  
rozpoczął określeniem ducha rycerskości, jako  
wykwitu uczuć szlacheckich i wspaniałych, ja-  
kie znaleźć można u wszystkich ludów wszel-  
kich epok, w których istniało właściwe rycer-  
stwo, instytucya feudalna, oparta stale na do-  
kładnie określonych zasadach. P. Nicolay u  
starożytnych Germanów upatruje początku ry-  
cerstwa, poznając je po dwóch rysach charak-  
terystycznych, stanowiących niejako jego isto-  
tę: po przyodzianiu w zbroję (*investiture des  
armes*) i po czci dla kobiet. Następnie mów-  
ca pobieżnie dotyka głównych przebiegów w wy-  
kształceniu i w życiu rycerza. Dziecię od lat  
siedmiu zostaje paziem w zamku obcego jego  
rodziny pana; od czternastu lat z pazia prze-  
chodzi na giermka; po pierwszej uroczystości  
symbolicznej rycerskiej, giermek staje się jak-  
by sprzymierzonym bliżej z całym życiem  
domowem pana zamku i towarzyszem jego  
w bojach. W dwudziestu jednym latach młodzie-  
niec mógł być pasowanym na rycerza. Obrzęd  
uzbrojenia zarazem religijny i feudalny wpa-  
jał w ducha i serce nowego rycerza głębokie  
uczucie obowiązków świeżo zaciąganych wzglę-  
dem Boga, względem króla, względem pći  
słabiej, przy wstąpieniu do zakonu rycerstwa.  
Dalej p. Nicolay opowiadał niezmiernie zaj-  
mujące szczegóły o prawach i zwyczajach ry-  
cerskich, o turniejach, o pojedynkach i pró-  
bach ognia i wody, o sądach niewieścich, któ-  
rym podlegały pewne kwestye literackie i ry-  
cerstwo błędne. W końcu prelegent wspo-  
mniał o ważności rycerstwa, o wielkich usługach  
jego i o wpływach jego nie tylko na wieki  
średnie, ale i na późniejsze czasy. W owych  
średnich wiekach ono to zużytkowywało dzie-  
lnie, ale nieokiełznane ich siły ku obronie wia-  
ry, ojczyzny i uciśnionej słabości, — a teraż-  
niejsze jemu są winne ducha szlachetności  
uprzejmiej, nieistniejącego u najbardziej oświe-  
conych narodów starożytnych.

Pan N. wszakże rodowód rycerstwa od Germa-  
nów wywodzi, kiedy historyczne tradycje wy-  
wodzą ducha jego genezy z głębi gór Asturyi.  
Bo jakkolwiek zbroja i cześć dla niewiast były  
zewnątrznemi jego cechami, przecięż istotą  
jego rzeczywistą było zaparcie się siebie dla  
idei. Biorąc rzeczy z gruntu znalazł się za-  
pewne i tu, jak wszędzie na dnie sprawy, „ko-  
bieta,“ — ale tylko tak jak wszędzie. Tą ko-  
bieta była Florinda la Cava; Zła-Florka, jak-  
by ją nazwały nasze kroniki, gdyby jej się  
dano nad Wisłą urodzić córką wojewody ja-  
kiego. Ale ponieważ działo się to w Hisz-  
panii, około r. 710, tedy owa kobieta zwała  
się Florindą, była córką hrabiego Juliana gu-  
bernatora Andaluzji. Znane są powszechnie  
dzieje zemsty hrabiego Juliana; wiadomo, że

wydał najprzód Maurom warowną Ceutę w Afryce na górze Abyla, jednej z kolumn Herkulesa, a potem wpuścił Arabów i do samej Hiszpanii. Wódz ich Tarik, wylądowawszy przy pomocy Juliana pod górą Calpe, palił okręty, które przybyły, aby żołnierzy swych zmusić do zwycięstwa rozpaczą, i po mniejszych utarczkach wydaje stanowczą bitwę hiszpańskiemu królowi pod Xeres-de-la-Frontera. Bitwa (711) trwała dni dziewięć; ale w trzecim już król Roderyk padł na placu boju. Tarik obwarował górę Calpe i nazwał ją Górą Tarika: Gib-el-Tarik, dziś Gibraltar. Od owej chwili Hiszpania stała się widownią siedmiowiekowej walki zawziętej. Arabska potęga olbrzymia, o dwie części świata stopami oparta, gniotła obu dłońmi w trzeciej świata części maleńkie Asturyjskie królestwo, utworzone skutkiem dalszego biegu wypadków przez Pelagiusza, walecznego wodza Hiszpanów, sięgając przez nie w głąb Francji. Ale nie była to potęga dzikięj przemocy, bo Maurowie w owym czasie świetnie umysłowym rozkwitem barwistym a błyskotnym tak bardzo, że pod wielu względami nawet starożytny grecki rozwój umysłowy musi ustąpić mu pierwszeństwa. Z drugiej strony, w owym maleńkiem Asturyjskiem królestwie trzeba było koniecznie do howi rozbudzać się i rozzarzać marzeniem o nadziei i wierze, aby się w nadziei i wierze utrzymać, aby niemi żyć i z nich czerpać siły. Ze starcia to tych dwóch potęg: umysłowej i serdecznej, obu pełnych młodocianego zapалу, wykwitł wedle najpopularniejszych danych historycznych ów poetyczny kwiat paproci: rycerstwo. Trubadurowie, opiewający epizody owej walki, przyszli później; minnezingery i niemieckie rycerstwo, wbrew panu Nikolay, jeszcze później. Tak mówi pospolita historia; a kto zastanowi się nad ową wiekową walką i wielkiem zwycięstwem serca nad umysłem, ten zapewne powie tak samo.

## NEKROLOGIA.

W połowie zeszłego miesiąca zmarł w Krakowie ś. p. *Aleksander Kremer*, brat zaszczytnie znanego w piśmiennictwie naszym nieodżałowanej pamięci Józefa Kremera. Urodzony w 1813 r., po ukończeniu szkół i wydziału medycznego na uniwersytecie Jagiellońskim, jako doktor medycyny i chirurgii, wysłany

był dla dalszego kształcenia się za granicę. Owocem dokonanych tamże studyów było dzieło: *O zastosowaniu słuchu do rozpoznawania chorób*, w którym ów sposób, podówczas nowy, a dziś powszechnie przyjęty, po raz pierwszy w polskim języku był traktowany.

Osiadł następnie w Kamieńcu Podolskim, otrzymawszy tam posadę lekarza rządowego przy gimnazyum, i wkrótce stał się powagą lekarską na Podolu, gdzie dwadzieścia kilka lat przebywał. Razem z innymi powołał do życia Towarzystwo Lekarzy Podolskich, którego był ciągłym prezesem, a dom jego stał się ogniskiem, w którym gromadziła się wykształcenijsza część towarzystwa miejscowego. Oprócz prac pomniejszych, zajął się razem z Gustawem Belkem przekładem wielkiego dzieła Cuvier'a: *Historja nauk przyrodzonych*, które dopełnił wiadomościami odnoszącemi się do rozwoju tych nauk w Polsce; przetłómaczył Wspomnienia ks. Huca i ułożył słownik łacińsko-polski wyrazów lekarskich; pozostawił też niektóre prace w rękopismach.

Przed piętnastu laty powrócił do rodzinnego Krakowa, gdzie razem z drugimi zajął się założeniem Towarzystwa Lekarskiego, którego pierwszym został przewodniczącym, i pracował także w komisjach Towarzystwa Naukowego, a następnie Akademii Umiejętności.

W życiu prywatnym odznaczał się wielką zacnością charakteru. Współ z professorem Helclem założył stowarzyszenie katolickie pod nazwą: *Warownia Krzyża*, które wydawało pismo poświęcone interesom religijnym. Umarł jako wierny syn Kościoła.

Na nabożeństwie odbytém za spokój jego duszy w kościele Ś-go Piotra, biskup krakowski ks. Dunajewski przedstawił zasługi zmarłego w mowie poczynającej się od słów Pisma: „Czcij lekarza, bo od Boga jest wszelkie lekarstwo. Nauka lekarzowa podwyższy głowę jego, a przed obliczem wielkich chwalon będzie.“ (Ks. Ekl. 38 w. 1—3).

Redaktorka i Wydawczyni A. z Ch. Borkowska.